ORATORIANA

nr 60

marzec 2008

POLSKA FEDERACJA ORATORIUM ŚW. FILIPA NERI

ORATORIANA nr 60
(marzec 2008)

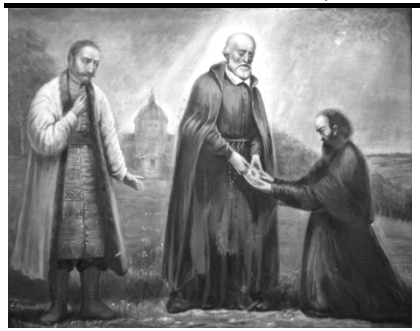

Ks. Henryk Brzozowski COr
Ks. Dariusz Dąbrowski COr

FUNDACJA PIERWSZEJ KONGREGACJI ŚW. FILIPA NERI W POLSCE

W tym roku mija 340 lat od czasu założenia Kongregacji św. Filipa Neri na Świętej Górze pod Gostyniem. Rocznica powstania pierwszej w Polsce wspólnoty filipińskiej stała się inspiracją do napisania niniejszego artykułu, ukazującego różne okoliczności związane z jej początkami. Głównym materiałem źródłowym do dziejów Kongregacji w Gostyniu jest kronika ks. Kaspra Dominikowskiego napisana w latach 1827 – 1836.

Postać św. Filipa Neri i założone przez niego wspólnoty znane były w XVII wieku w środowiskach kościelnych i świeckich. Z wielkimi czcią odnosili się do św. Filipa królowie polscy Władysław IV i Jan Kazimierz, któremu wystawili kaplicę na Zamku Warszawskim. Przeszczepieniem Kongregacji na grunt polski interesowała się kapituła krakowska i lwowska. Nie brakowało funduszy, ale nie było ludzi zdolnych do podjęcia wspólnego życia według Instytutów św. Filipa.

Pierwszy podjął zamiar założenia Kongregacji ks. Szczęsny Duraniusz, kustosz sanktuarium maryjnego w Borku Wlkp[1]. Jednakże jego śmierć w 1642 r. przeszkodziła w realizacji pobożnego zamiaru. Następca w sanktuarium boreckim, ks. Adam Budziecki kontynuował ideę zaprowadzenia Kongregacji. On to założył wspólnotę św. Józefa na wzór wspólnoty filipińskiej, składającą się z siedmiu kapłanów. Ich wspólnym celem była posługa kaznodziejska i penitencjarna przy sanktuarium. Po śmierci ks. Adama Budzieckiego w 1657 r., jego następca ks. Jan Trzemiński przekształcił wspólnotę św. Józefa w Kongregację Mariańską, która już niewiele miała wspólnego z Kongregacją św. Filipa[2].

[1] B. Latosińska, B. Weber, *Sanktuarium Matki Bożej Pocieszenia na Zdzieżu w Borku Wlkp.,* Kraków 1995, s. 39.

Drugim miejscem, gdzie próbowano założyć Kongregację był Poznań i kościół św. Małgorzaty na Śródce. Sprawy tej usiłował dokonać ks. Stanisław Grudowicz. W czasie swego pobytu w Rzymie zapoznał się z Kongregacją na Valicelli. Na początek w kościele śródeckim zaprowadził nabożeństwo do św. Filipa i wystawił w 1652 r. ołtarz pod wezwaniem świętego. Dla idei Oratorium zjednał przychylność Archidiakona Poznańskiego i Oficjała Generalnego ks. Wojciecha Dobrzelewskiego. W 1664 r. Oficjał Generalny zorganizował zjazd dziekanów archidiakonatu poznańskiego w celu omówienia zaprowadzenia Kongregacji na Śródce. Z uwagi na zdecydowany sprzeciw dziekana grodziskiego idea powstania Oratorium w Poznaniu nie tyle upadła, co odłożona została na czasy późniejsze[3].

Ideę założenia Kongregacji św. Filipa Neri uskuteczniono dopiero na Świętej Górze pod Gostyniem w miejscu słynącym z cudownego wizerunku Matki Boskiej. Zanim to jednak nastąpiło przy kościele na Świętej Górze próbowano osiedlić najpierw zakon franciszkański i bernardyński. Ziemia, na której znajdował się kościół z niezwykłym wizerunkiem należała wówczas po części do wielkopolskiego rodu Gostyńskich oraz do nieznanego bliżej Wężyka Osińskiego. Według ówczesnego prawa tzw. „patronatu" właścicielom miejsca, na którym stał kościół, czyli Patronom przysługiwał przywilej obsadzania stanowisk duchownych. Biskup poznański Wojciech Tolibowski mając na uwadze wzmożony ruch pielgrzymkowy i chcąc zapewnić pątnikom dobrą obsługę duszpasterską, zamierzał sprowadzić na Świętą Górę zakon franciszkański Ojców Reformatów[4]. Wojciech Tolibowski objął biskupstwo poznańskie w 1655 r., zmarł w 1663 r. Znany był jako ofiarny i gorliwy pasterz oraz fundator zakonu Reformatów ma Śródce w Poznaniu[5]. Do dzisiaj zachował sie w skarbcu katedry znakomitej jakości artystycznej złoty kielich jego fundacji, wykonany przez wybitnego mistrza poznańskiego

[2] K. Dominikowski, *Zbiór wiadomości o Świętej Górze pod Gostyniem osiadłej przez Kongregacją Oratorij Świętego Filippa Neriusza ukończony 21. Września 1836 Roku,* Kronika (XVI – XIX w.) pisana w latach 1827 – 1836, egzemplarz I, AFG A 11, s. 24-38.
[3] Tamże, s. 51-53.
[4] Tamże, s. 46.
[5] J. Nowacki, *Archidiecezja Poznańska w granicach historycznych i jej ustrój,* Poznań 1964, t. II, s.107.

Stanisława Szwarca[6]. Wydawało się, że sposobna chwila nadeszła, gdy tenże biskup w 1658 r. przebywał na Świętej Górze i poświęcał w dzień św. Katarzyny pięć ołtarzy. Dziedzic miasta i części kościoła świętogórskiego Andrzej Gostyński, zamierzając poślubić Helenę z Pudliszek, poprosił biskupa o indult zwalniający od publicznych zapowiedzi. Biskup przychylił sie do prośby prosząc w zamian o zrzeczenie się patronatu do kościoła na rzecz Ojców Reformatów. Kronika miejscowa podaję, że Gostyński wolał publicznie ogłosić swe zaręczyny, aniżeli oddać ten *Familijny Klejnot* uważany powszechnie za najdroższą cząstkę dziedzictwa[7]. Przywilej Patronatu uważano za tak zaszczytny i święty, że odstępowano go tylko na zasadzie dobrowolnej ofiary. Odsprzedawanie go uchodziło za czyn niegodny czy wręcz świętokradzki. Bezskuteczne też pozostały zabiegi Alberta Konarzewskiego o zaprowadzenie na to miejsce Ojców Bernardynów. Ks. A. Brzeziński w publikacji z 1869 r. podaje informację niepotwierdzoną przez inne źródła, o zakończonych niepowodzeniem próbach przejęcie kościoła świętogórskiego przez zakon Dominikanów[8].

Powstanie Kongregacji na Świętej Górze związane jest z dwoma ludźmi o niezwykłych walorach duchowych: doktorem filozofii ks. Stanisławem Grudowiczem i magnatem wielkopolskim Adamem Florianem Konarzewskim. Pierwszy z nich położył fundament duchowy, a drugi zapewnił uposażenie materialne. Ks. Grudowicz zachwycony ideą życia wspólnego według statutów św. Filipa starał się już od dłuższego czasu założyć Kongregację. Adam Florian Konarzewski doznawszy łaski uzdrowienia za pośrednictwem Matki Boskiej ze Świętej Góry ślubował zbudować na tym niezwykłym miejscu piękny kościół godny Królowej Niebios i obsadzić przy nim zgromadzenie zakonne. Do spotkania obu fundatorów doszło jesienią 1667 r. w pałacu Konarzewskich w Chociszewicach (Pępowo). Ks. Grudowicz przekazał Konarzewskiemu, przetłumaczoną przez siebie na język łaciński książkę: *Zbawiennych nauk św. Filippa Neriusza*[9]. Spotkanie stało się początkiem wielkiej przyjaźni księdza i magnata.

[6] Z. Kurzawa, A. Kusztelski, *Historyczne kościoły Poznania. Przewodnik,* Poznań 2006, s. 65, il. na s. 44.
[7] K. Dominikowski, dz. cyt., s. 14, 54.
[8] A. Brzeziński, *Pamiątka jubileuszu dwuchsetletniego Zgromadzenia XX. Filipinów na Górze Świętej Gostyńskiej Roku Pańskiego MDCCCLXVIII,* t. I, Poznań 1869, s. 73.
[9] K. Dominikowski, dz. cyt., s. 46.

Aby mogła powstać nowa Kongregacja należało najpierw rozwiązać trzy problemy:
1) prawo patronatu, czyli własności miejsca,
2) zapewnić fundusze materialne,
3) uzyskać bullę aprobacyjną od Stolicy Apostolskiej.

Adam Konarzewski wiedząc o niechęci dziedzica Świętej Góry Andrzeja Gostyńskiego do zakonów, zaproponował mu obsadzenie kościoła na Świętej Górze przez księży świeckich zrzeszonych w Kongregacji Oratorium św. Filipa Neri oraz podjął się negocjacji celem zrzeczenia się patronatu nad kościołem świętogórskim. Zachował się odpis listu Adama Konarzewskiego adresowany do dziedzica Gostynia z dnia 11 marca 1668 r., wystawiony w Dusinie[10], w którym przedstawia zalety nowej Kongregacji i zwraca się z prośbą do dziedzica o przekazanie miejsca na Świętej Górze na chwałę Bożą. [Aneks 1]

Zręczna dyplomacja Adama Konarzewskiego przyniosła nadzwyczajny skutek. Andrzej Gostyński w obecności Adama Konarzewskiego Aktem Grodzkim w Poznaniu dnia 26 kwietnia 1668 r. przekazał ks. Stanisławowi Grudowiczowi prawo patronatu nad kościołem Najświętszej Maryi Panny pod Gostyniem[11]. Urzędowe akty prawne załatwiano wówczas w Sądzie Grodzkim na Wzgórzu Przemysła w Poznaniu. Najpoważniejsza przeszkoda została usunięta. Należało także przejąć prawo patronatu od drugiego właściciela Wężyka Osińskiego na ten czas nieobecnego w kraju, a którego reprezentował przyjazny założeniu Kongregacji Stanisław Radzewski z Bnina. W dniu 8 czerwca 1668 r. Aktem Grodzkim Poznańskim dokonano przekazania prawa patronatu przez Stanisława Radzewskiego[12]. Przybyły w późniejszym czasie sam Wężyk Osiński urzędowo potwierdził akt darowizny.

O uposażenie majątkowe dla nowej Kongregacji zadbał Adam Konarzewski zapisując Aktem Grodzkim Poznańskim dnia 11 maja 1668 r. fundusz 13000 oraz 5000 złotych polskich[13]. Sumę zapisano na wsi Bodzewko prawem dzierżawy zastawnej, a oddana została w rzeczywistą posiadłość ks. St. Grudowiczowi 17 sierpnia 1668 r.[14]

[10] *Dokumenta starożytne,* Archiwum Filipinów w Gostyniu [dalej: AFG] A 5, f. 16; K. Dominikowski, dz. cyt., s. 54-55.
[11] *Dokumenta starożytne*, AFG A 5, f. 22; K. Dominikowski, dz. cyt., *Dopisy*, s. 21, nr VII.
[12] Tamże, AFG A 5, b.p.; K. Dominikowski, dz. cyt., *Dopisy*, s. 22, nr VIII.
[13] Odpis dokumentu zamieszcza Dominikowski, dz. cyt., *Dopisy*, s. 23, nr IX.
[14] Odpis dokumentu zamieszcza Dominikowski, dz. cyt., *Dopisy*, s. 24, nr X.

Starania wobec Konsystorza Rzymskiego rozpoczął znacznie wcześniej ks. Stanisław Grudowicz. Dużą pomoc okazali filipini z Kongregacji na Valicelli oraz inne wpływowe osoby. Papież Klemens IX wydał bullę z dnia 21 stycznia 1668 r. aprobującą Kongregację Oratorium św. Filipa Neri na Świętej Górze[15].

Wstępne warunki prawne zostały spełnione, czyli przejęcie prawa patronatu, uposażenie majątkowe i bulla aprobacyjna wydana przez Stolicę Apostolską. Dalsze czynności zmierzające do zaistnienia Kongregacji należało kontynuować już na płaszczyźnie diecezjalnej, uzyskując aprobatę i pozwolenie miejscowego biskupa. Biskupem poznańskim od 1663 r. był Stefan Wierzbowski z Wielkiego Chrząstowa. Jako pierwszy z biskupów poznańskich rezydował na stałe w Warszawie i zarządzał diecezją przez swoich pełnomocników - wikariuszy generalnych[16]. Adam Konarzewski wystosował list z datą 29 maja 1668 r. do biskupa Stefana Wierzbowskiego. Z listu dowiadujemy się miedzy innymi o zaniedbanym, drewnianym kościele świętogórskim obsługiwanym przez jednego kapłana oraz o zamiarach zaprowadzenia Kongregacji Św. Filipa Neri na Świętej Górze koło Gostynia oraz o zbudowaniu nowej, większej świątyni[17].

Fundator przewidując trudności wysłał z listem ks. Grudowicza. Biskup Stefan Wierzbowski podczas pierwszego spotkania ustosunkował się przychylnie do powstania nowego zgromadzenia oraz wyraził radość z tego powodu, że jego diecezja posiada tak szlachetnych ludzi zabiegających o większą chwałę Bożą i zdolnych do dużych ofiar na rzecz rozwoju kultu religijnego. Jednakże z nieznanych przyczyn, podczas drugiego spotkania nastawienie biskupa zmieniło się radykalnie i ks. Grudowicz wysłuchał sporo przykrych słów. Między innymi biskup Wierzbowski wysunął zarzuty, że w diecezji coraz więcej pojawia się zakonów wyjętych spod władzy biskupa miejscowego, które umniejszają, a także z czasem mogą nawet górować nad uprawnieniami biskupimi. Biskup Wierzbowski niechętnie odniósł się do powstania nowego zgromadzenia wyjętego spod jego władzy i wydawało się, że rozmowa zakończy się fiaskiem. Ks. Grudowicz nie złożył jednak broni, ponownie we właściwym świetle przedstawił Instytut św. Filipa i przekonał biskupa do powstającej fundacji. Biskup obiecał

[15] K. Dominikowski, s. 58. Kronikarz wspomina tylko o bulli, do której już wtedy nie miał dostępu.
[16] J. Nowacki, dz. cyt., s. 108.
[17] K. Dominikowskim, dz. cyt., s. 59.

ustanowić Komisarza Diecezjalnego, który by zajął się sprawą erekcji Kongregacji. Ks. Grudowicz znał niestałość ludzkich nastrojów i wiedział doskonale, że między słowem, a rzeczywistością jest niekiedy długa i pusta przestrzeń. Słusznie bowiem przewidywał, że ułożenie pisma przez urzędników kurialnych może potrwać bardzo długo. Sam zatem zredagował dokument i poprosił biskupa o zatwierdzenie. Komisarzem Diecezjalnym do erygowania i zaprowadzenia Kongregacji mianowano ks. Wojciecha Dobrzelewskiego archidiakona i oficjała poznańskiego. Biskup skreślił także krótki list do Adama Konarzewskiego:

Mości Panie Konarzewski! Moy Wielce M Panie y Bracie! Nie mogę tylko się cieszyć wielce z tego, ysz pobożne votum i chwalebna Intencja WMM Pana i Brata w fundaciey Oratorii pod Gostyniem pożądany bierze skutek. Dla czegoż ja z wielką chęcią posyłam moją Commisią ad approbandam nunc fundationem na JK Officjała mego Generalnego Poznańskiego, życząc z serca aby Matka Boska, której cultum et laudem zelose. WMM Pan promovere raczysz largos ze Skarbnicy Boskiey na zacny dom WMM Pana effundat benedictiones, przy których y ja moje przesyłam Pasterskie Błogosławieństwo. Zostaję WMM Pana życzliwy Brat y Sługa Stefan Wierzbowski Biskup Poznański – w Warszawie 16 Junii 1668
Memu Wielce Mościwemu Panu y Bratu – Jego Mości Adamowi Konarzewskiemu do oddania[18].

Biskup Stefan Wierzbowski nie tylko okazał przychylność i aprobatę dla Kongregacji św. Filipa Neri, ale zainteresował się nowym zgromadzeniem. W swojej rodowej miejscowości Górze pod Warszawą założył Klawarię nazywając ją Nową Jerozolimą[19]. Do obsługi pielgrzymów w 1672 r. założył zgromadzenie księży, przekazując im statuty św. Filipa Neri dostosowane do miejscowych warunków[20]. Zgromadzenie nie wytrzymało próby czasu i już w 1683 r. uległo rozwiązaniu.

Rozpoczęto starania o erekcję Kongregacji św. Filipa Neri w Konsystorzu Poznańskim. Jak trudne to było zadanie, świadczyć mogą liczne trudności, jakie pojawiły się w wielu środowiskach wielkopolskich. Z relacji

[18] *Dokumenta Starożytne,* AFG A 5, f. 18; K. Dominikowskim, dz. cyt., s. 61.
[19] A. Mitkowska, *Polskie Kalwarie,* Wrocław 2003, s. 209-212.
[20] H. Jaromin, *Zarys historii Kongregacji Oratorium św. Filipa Neri w Polsce (1668 – 1968). Studia z dziejów kościoła i kultury katolickiej w Polsce,* Nasza Przeszłość, XXXII, 1970, s. 86–91.

Adama Konarzewskiego o ks. Stanisławie Grudowiczu dowiadujemy się między innymi:

Trudności, które ten Szanowny Ojciec napotkał tak w Poznaniu jak i w Gostyniu były nie do policzenia. Ilu ludzi tylu miał przeciwników, a najszczególniej Księża, Proboszczowie, Dziekani nie chcieli na żaden sposób dopuścić, aby Kongregacja Oratorii miała bydź erigowana, mniemając onę bydź z krzywdą swoich Kościołów – wcale nieużyteczną – i ile tylko mogli, stawali na zawadzie. Zamilczam wielu Prałatów srodze nienawistnych Świętemu Filippowi. Zakonnicy aż z ambon ohydzili Jego Instytut, jak sam słyszałem, a jeżeli natrafili kogo przychylnego Kongregacyi, usadzali się, aby go przeistoczyć, rzucając aż obelgi na samego Świętego Patriarchę. O Boże mój! Ileż to potwarzy i oszczerstw potrzeba było znosić, iluż ludzi strzec się, ilom zmilczeć, ilom sprawiać się[21].

Ks. Grudowicz szukając duchowego wsparcia, udał się na pielgrzymkę do cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej i do relikwii św. Filipa Neri, które na Jasnej Górze złożył król Władysław IV. Konsystorz Poznański wyznaczył dzień 9 lipca 1668 r. na zawyrokowanie o erekcji Kongregacji. Procedura wymagała, aby wcześniej odczytać w kościele farnym i świętogórskim tzw. *List Zapoznawalny*. Pismo odczytano w świątyni farnej 1 lipca, a w drugim kościele nazajutrz, w dzień Nawiedzenia NMP. W dokumencie podano do publicznej wiadomości o zamiarze powstania Kongregacji Oratorium św. Filipa Neri na Świętej Górze. Wszystkich tych, którzy by sprzeciwiali się powstaniu Kongregacji, poproszono o przybycie w dniu 9 lipca przed Sąd Komisarski. *List Zapoznawalny* zredagował ks. Stanisław Grudowicz:

Podaję do wiadomości, komu wiedzieć należy, że Jaśnie Wielmożny Jegomość Ksiądz Stefan Wierzbowski Biskup Poznański za Instancją i Promocją Ichmościów Panów Gostyńskich i Ichmościów Panów Radzewskich Dziedziców Gostynia, a Kollatorów i Patronów Kościoła Najświętszej Panny MARYI Niepokalanie poczętej, na Górze tu pod Gostyniem i za osobliwszą także Instancją i Fundację Jegomość Pana Adama Konarzewskiego, podawszy Komisarza Jegomość Księdza Wojciecha Dobrzelewskiego, Prawa Obojga Doktora, Stolicy Apostolskiej Protonotarza, Archidiakona i Officjała Jeneralnego Poznańskiego, Proboszcza Przyczyńskiego, daje Jegomości moc i władzę, aby erigował i wprowadził Kapłanów Świeckich

[21] Cytat za K. Dominikowskim, dz. cyt., s. 63.

Kongregacyi Oratorii Świętego Filippa Neriusza, do Kościoła Najświętszej Panny MARYI Niepokalanie Poczętej, będącego na Górze pod Gostyniem. Więc żeby się niezdało komu praeiudicium, albo bezprawie, wydaje pomieniony Jegomość Ksiądz Officjał Poznański jako Komisarz Krydę (?) od pomienionego Jaśnie Wielmożnego Jegomości Księdza Biskupa Poznańskiego, sobie podaną na wszystkich, którzyby chcieli temu przeczyć, aby obecnie stanęli w Poznaniu przed Sąd Kommissarski pomienionego Jegomości Księdza Officjała na dzień dziewiąty Miesiąca Lipca, który będzie dzień Poniedziałkowy i tam racje prawne, a nie lada jakie dali, czemuby przeczyć mieli, i czemuby Erekcja kongregacji nie miała dochodzić[22].

Można sądzić, że odczytanie listu z ambon spotkało się z dużym oporem. Aby mieć pewność, że list zostanie publicznie odczytany, ks. Grudowicz przedłożył administratorowi kościoła farnego do podpisania deklarację zaświadczającą o podaniu do publicznej wiadomości treści pisma w wyznaczonym terminie i w wymienionych kościołach.

Stronnictwo przeciwne nowemu zgromadzeniu usiłowało nakłonić dziedzica miasta Gostynia - Andrzej Gostyńskiego do cofnięcia decyzji o zrzeczeniu się prawa patronatu do kościoła świętogórskiego. W tej sprawie Andrzej Gostyński napisał list do swojego brata ks. Franciszka, kanonika przy katedrze w Poznaniu, znanego z przychylności dla Kongregacji. Kanonik nie ukrywał wzburzenia i w odpowiedzi upomniał brata, żeby nie sprzeciwiał się sprawie Bożej, a przez upór nie sprowadził na ród nieszczęścia albo całkowitej zagłady.

W wyznaczonym dniu 9 lipca 1668 r. rozpoczęła się sprawa „filipińska" w Sądzie Konsystorskim. Partię opozycjonistów reprezentował sławny adwokat Gembicz, dotychczas niepokonany obrońca spraw cywilnych. On to po pierwsze domagał się ujawnienia listu Andrzeja Gostyńskiego do swego brata. Kanonik Franciszek członek Sądu Konsystorskiego odparł, że to rodzinna korespondencja, do której nikt nie ma prawa wglądu. Drugim poważnym argumentem wykorzystanym przez adwokata Gembicza był zarzut braku Fiskata Konsystorskiego, wymaganego prawem dla ważności procesu. Wydawało się, ze proces zostanie przerwany, ale sytuację uratowała bystrość umysłu ks. Grudowicza. On to słusznie zauważył, że władzę powołania Fiskata posiada obecny tutaj Komisarz Biskupi ks. Wojciech Dobrzelewski. Pozostałe argumenty przeciwne powołaniu Kongregacji, nie

[22] Cytat za K. Dominikowski, dz. cyt., s. 65.

miały już większego znaczenia. Adwokat Gembicz musiał uznać swą porażkę, o czym świadczą słowa skierowane do ks. Grudowicza *Zwyciężyłeś, Galilejczyku! Zwyciężyłeś* (słowa przypisywane cesarzowi rzymskiemu Julianowi Apostacie)*!*[23]

Po zakończeniu procesu Komisarz Biskupi ogłosił uroczyście na Konsystorzu Poznańskim 9 lipca 1668 r. erekcję Kongregacji Oratorium św. Filipa Neri na Świętej Górze pod Gostyniem[24]. Dla podkreślenia rangi tego wydarzenia, otwierającego nowy rozdział historii filipinów w Polsce, w kronice klasztornej zapisano:

Tak więc, właściwa Epoka powstania Kongregacji Gostyńskiej przypada w Dniu Dziewiątym Lipca Roku Pańskiego 1668. Naprzod za szczególną Dobroczynnością, Staraniem i Opieką Adama Floriana Konarzewskiego a tem samem Najpierwszego, Istotnego i Jedynego Jej Fundatora i Ojca. Powtóre. W czasie zasiadywania na Stolicy Apostolskiej Klemensa IX Papieża Roku Drugiego po Jego Koronacji. Potrzecie. Za panowania Augusta Leopolda Cesarze Rzymskiego. Poczwarte. W czasach nieszczęśliwego władztwa Koroną Polską przez Jana Kazimierza z Rodu ostatniego Jagiellończyka i to już tylko ze krwi Żeńskiej. Popiąte. Za czasów Stefana z Wielkiego Chrząstowa Wierzbowskiego Biskupa Poznańskiego. Poszóste wreszcie za czasów Dziedzictwa Miasta Gostynia, na jednej połowie Domu Faltenberg Gostyńskich, na drugiej Domu z Bnina Radzewskich[25].

Decyzja o powstaniu Kongregacji Gostyńskiej wydana przez Konsystorz Poznański nie usunęła wszystkich przeszkód. Nieprzyjazna atmosfera nadal trwała w Gostyniu. Wiele jeszcze doświadczyli nieprzyjemności ks. Stanisław Grudowicz i Adam Konarzewski. Jedną z przyczyn niechęci miejscowego środowiska, a także odwlekania Introdukcji, czyli uroczystego wprowadzenia Kongregacji na Świętej Górze, była klauzula pozwalająca dotychczasowym administratorom kościoła zachować dożywotnio posiadłość i dochody. Administratorem kościoła był wtedy proboszcz gostyński ks. Paweł Czapulewicz, który z dużą rezerwą odnosił się do Kongregacji. Z jego polecenia przy kościele świętogórskim zamieszkiwali księża Mansjonarze sprawujący posługę duszpasterską. Ks. Grudowicz złożył wizytę miejscowemu proboszczowi i poprosił, aby on sam przeprowadził uroczyste wprowadzenie Kongregacji do kościoła świętogórskiego. Po

[23] K. Dominikowski, dz. cyt., s. 67.
[24] K. Dominikowski, dz. cyt., s. 67; *Dopisy*, s. 27, nr XIII.
[25] Tamże, s. 68.

długiej rozmowie ks. Czapulewicz zgodził się osobiście wprowadzić ks. Grudowicza i przekazać prawo własności. Doszło także w dniu 16 sierpnia 1668 r. do spisania *Ugody*, która gwarantowała ks. Czapulewiczowi dożywotnie przywileje i dochody związane ze świętogórskim kościołem[26]. [Aneks 2]

Trudności z objęciem Świętej Góry wynikały także z niedostatków lokalowych dla członków większej wspólnoty. Przy kościele z bardzo małym placem stał tylko jeden budynek, który mógł pomieścić dwóch księży, a kościół otaczały małe działki pól kilku właścicieli. W budynku wcześniej zamieszkiwali księża Mansjonarze. Z dużym trudem odkupiono kilka działek dla pobudowania koniecznych pomieszczeń mieszkalnych i gospodarczych. Jedną z pierwszych przy granicy drzęczewskiej nabył Adam Konarzewski od mieszczanina gostyńskiego Sztuarta.

Wikariusz Generalny ks. Wojciech Dobrzelewski opóźniał przeprowadzenie uroczystej Introdukcji obawiając się publicznych zamieszek i protestów ze strony przeciwników. Jednakże po ugodzie z miejscowym proboszczem wyznaczono dzień św. Franciszka z Asyżu - 4 października 1668 r. Kronika świętogórska ks. Kaspra Dominikowskiego podaje, że tego dnia niezliczona rzesza ludzi nawiedziła miasto Gostyń. Jedni przybyli z powodu niecodziennej uroczystości, innych ściągnął Wielki Jarmark, który przywilejem króla Jana Kazimierza pierwszy raz miał odbyć się w dniu św. Franciszka 1668 roku. Przywilej królewski był formą wynagrodzenia za straty, jakie mieszkańcy Gostynia doznali w 1665 roku, gdy wojska królewskie ścigając rokoszanina, księcia Jerzego Lubomirskiego, rozłożyły się obozem na polach gostyńskich niszcząc stojące jeszcze zboże[27].

Na dzień Introdukcji przyjechał przedstawiciel biskupa poznańskiego Wikariusz Generalny ks. Wojciech Dobrzelewski oraz licznie zaproszone przez ks. Grudowicza duchowieństwo. Uroczystości rozpoczęły się w kościele farnym Mszą św. z kazaniem o św. Filipie Neri wygłoszonym przez dziekana śremskiego ks. Marcina Łękowskiego. Około godziny dziesiątej wyruszyła procesja z obrazem św. Filipa na Świętą Górę. Obraz ufundowany przez Adama Konarzewskiego wykonał zamieszkały przy katedrze poznańskiej nieznany bliżej malarz Franciszek. Małżonka fundatora Zofia z Opalińskich przybrała wizerunek świętego w złote klejnoty, perły i szla-

[26] *Dokumenta Starożytne*, AFG A 5, b.p.; K. Dominikowskim, dz. cyt., s. 70-71.
[27] K. Dominikowski, dz. cyt., s. 74.

chetne kamienie. Miasto nabrało odświętnego wyglądu. Wysprzątano błotniste zazwyczaj ulice, udekorowano je licznymi chorągwiami, a jasne promienie słońca zwiastowały niezwykłe wydarzenie. W czasie procesji śpiewano litanię do Wszystkich Świętych przeplataną graniem muzyki i częstymi hukami wystrzałów. Pośród niezliczonego ludu i znakomitych osób z rodziny fundatorów, szedł orszak złożony z dwóch rzędów kapłanów w komżach. Za nimi czterech kapłanów w dalmatykach niosło obraz św. Filipa osadzony w bogatej ramie, a dalej podążało ośmiu księży ubranych we wspaniałe kapy. Na końcu orszaku postępował w pięknej kapie główny celebrans wikariusz generalny ks. Wojciech Dobrzelewski otoczony asystą. Gdy procesja dotarła do świętogórskiego kościoła, główny celebrans zaintonował przed ołtarzem hymn św. Ambrożego *Ciebie Boże wysławiamy* podjęty przez wszystkich wiernych. Po odśpiewaniu hymnu odmówił modlitwy dziękczynne, a mając oddać to święte miejsce w posiadanie nowym właścicielom, ucałował ołtarz, położył na nim rękę i donośnym głosem zapytał: *Kto z obecnych składa Kongregacją Świętego Filippa Neriusza?*[28]

Pierwszy, który to uczynił był ks. Stanisław Grudowicz. Wolę wstąpienia zadeklarował ks. Piotr Adam Smoszewski syn Jana i Eleonory z Czarnkowskich kasztelanów Santockich, właściciel dziedzicznej wsi Łopienno. W szeregi nowego zgromadzenia wstąpił także ks. Jan Woniecki penitencjarz Katedralny Poznański. Tenże związany był ze świętogórską Kongregacją jedynie w sposób duchowy, gdyż zamieszkiwał na stałe przy katedrze poznańskiej. Swoje powołanie oratoryjne w pełni zrealizował później, zapisując się do Kongregacji w Poznaniu na Śródce i tam zmarł pełniąc urząd przełożonego. Na członka Kongregacji zgłosił się również kuśnierz z Gostynia Mateusz Rospędzki zostając pierwszym bratem w historii filipinów polskich. Brat Mateusz nazwany „Ojcem ubogich" zmarł w 1701 r. Gotowość zapisu do Kongregacji zgłosił także proboszcz z Miejskiej Górki ks. Stanisław Sanner. Z uwagi na uczyniony wcześniej ślub wstąpienia do zakonu, wstrzymał się aż do czasu otrzymania dyspensy od Stolicy Apostolskiej. Po zwolnieniu ze ślubów wstąpił do Kongregacji gostyńskiej i był jej przełożonym przez osiem lat, aż do śmierci w 1695 r. Warto zaznaczyć, że ks. Stanisław Sanner i ks. Piotr Adam Smoszewski wraz z ks. Stanisławem Grudowiczem tworzyli także Kongregację Studziańską[29]. Dobrą wolę

[28] Tamże, s. 75.
[29] W. Nater, S. Stanik, *Dzieje Sanktuarium Matki Boskiej Świętorodzinnej w Studziannie,* Studzianna 1992, s. 49–50.

wstąpienia w poczet uczniów św. Filipa wyraził wspomniany wyżej kanonik katedralny ks. Franciszek Gostyński, brat Andrzeja Gostyńskiego. Jednakże ważne zadania, jakie pełnił w Konsystorzu Poznańskim nie pozwoliły mu opuścić urzędu[30]. Jednak w innym miejscu kroniki dowiadujemy się, że był zapisany na członka Kongregacji należąc do niej duchem i sercem, ale w niej nie zamieszkiwał. Zmarł w 1679 r. i został pochowany w podziemiach świętogórskiej świątyni[31]. O jego przynależności do kapłanów Kongregacji zaświadcza *Księga zmarłych*[32].

Oficjał poznański Wojciech Dobrzelewski tak ukonstytuowanej wspólnocie przekazał w posiadanie Świętą Górę. Członkowie wspólnoty ucałowali ołtarz i położyli na nim ręce na znak przejęcia dziedzictwa. Z obecnych w świątyni nikt nie wyraził sprzeciwu. Potem ks. Oficjał odprawił uroczystą Mszę św. a kazanie wygłosił kapłan z zakonu Karmelitów Bosych w Poznaniu. W następnym dniu ks. Dobrzelewski zwizytował dom Mansjonarzy przekazując go również Kongregacji. W dekrecie zastrzeżono, że jedno mieszkanie przeznaczone jest dożywotnio do dyspozycji proboszcza farnego lub jednego z dotychczasowych Mansjonarzy[33].

Dokument Introdukcji oraz Dekret Erekcji podpisane przez biskupa Stefana Wierzbowskiego wystawiono jednak dopiero dnia 11 września 1671 r.[34] Stolica Apostolska erygowała nową Kongregację bullą wydaną przez Klemensa X z dnia 10 grudnia 1670 r.[35] Opóźnienie było wynikiem śmierci papieża Klemensa IX w dniu 9 grudnia 1669 r. Konklawe trwało ponad cztery miesiące zanim wybrano 29 kwietnia w roku 1670 papieża, który przybrał imię Klemensa X[36]. Oficjał poznański Wojciech Dobrzelewski podpisem i pieczęcią potwierdził autentyczność bulli papieskiej. [Aneks 3]

Bulla jest uroczystym pismem papieskim w sprawach wielkiej wagi, sporządzonym w wzniosłym stylu z przyczepioną na jedwabnych lub konopnych sznurkach ołowianą pieczęcią[37]. Bulla zatwierdzająca Kongregację była jednak nie tylko aktem wymaganym prawem kanonicznym lecz

[30] K. Dominikowski, dz. cyt., s. 75.
[31] K. Dominikowski, dz. cyt., s. 192.
[32] *Liber Defunctorum,* AFG, A 1.
[33] K. Dominikowski, dz. cyt., *Dopisy,* nr XV, s. 31.
[34] Obydwa dokumenty zaginęły. K. Dominikowskiemu korzystał tylko z fragmentów zamieszczając je w *Dopisach* pod nr XVI, s. 32.
[35] *Dokumenty*, AFG B 18.
[36] K. Dopierała, *Księga Papieży,* Poznań 1996, s. 347.
[37] I. Subera, *Historia źródeł i nauki prawa kanonicznego*, Warszawa 1977, s. 17.

także stanowiła potwierdzenie przez najwyższy autorytet kościelny, że jej powstanie jest pożyteczne dla całego Kościoła, a ci którzy podejmują życie w tym Instytucie odnajdą w nim stosowne środki do osiągnięcia doskonałości chrześcijańskiej[38].

W archiwum świętogórskim zachowała się jeszcze druga bulla papieska erygująca i aprobująca Kongregację Gostyńską, udzielona przez papieża Klemensa XI w dniu 27 października 1702 r.[39] Wystawienie powtórnej bulli wiązało się z okolicznościami spowodowanymi przez syna fundatora Filipa Konarzewskiego, który zamierzał podważyć fundację swego ojca. Filip urodzony 27 maja 1671 r. w dzieciństwie został oddany na wychowanie kapłanom Kongregacji Gostyńskiej, aby ta zaszczepiła w nim wszelkie cnoty i mądrość. Gdy w 1695 r. ożenił się z Teofilą Leszczyńską wojewodzianką podlaską i wszedł w posiadłość dóbr ojcowskich, jawnie wystąpił przeciw Kongregacji. Wspólnota filipińska zatrwożona prześladowaniami i zamachami ze strony Filipa wystarała się u Stolicy Apostolskiej o Mandat Inhibicyjny datowany na 9 kwietnia 1701 r.[40] Dokument pod karą 500 dukatów i klątwy kościelnej zagrażał tym, którzy by ważyli się w jakikolwiek sposób niepokoić Kongregację. Mandat Inhibicyjny potwierdził też bullę papieża Klemensa X erygującą Kongregację Gostyńską. Problemy powoli wygasły wraz ze śmiercią Filipa Konarzewskiego w 1703 r. Kronika Dominikowskiego nie podaje szczegółów zaistniałego konfliktu. Zagadkowo też brzmi zapis w *Księdze Zmarłych* nazywając Filipa *Miłośnikiem Sprawiedliwości,* który umarł w 32 roku życia i pochowany został w podziemiach świętogórskiego kościoła[41].

Początki Kongregacji Oratorium św. Filipa Neri na ziemiach polskich nie były łatwe. Wiele trudności sprawiali duchowni, od których można by się spodziewać co najmniej życzliwości w tworzeniu dzieła Bożego. Jednak taki scenariusz wydarzeń potwierdza Boże autorstwo tej idei, która 340 lat temu dzięki głębokiej wierze i determinacji w działaniu Adama Konarzewskiego, ks. Stanisława Grudowicza i jego współtowarzyszy znalazła zwieńczenie w akcie powstania Kongregacji świętogórskiej.

Szczególnym wyrazem Bożego błogosławieństwa i wstawiennictwa św. Filipa były niezwykłe wydarzenia, jakie miały miejsce w dniu Introdukcji[42], które ostatecznie potwierdzają Boży zamysł. W kronice czytamy o zagubionym diamencie, który pożyczony od Zofii Konarzewskiej zdobił obraz św. Filipa podczas procesji z fary na Świętą Górę. Leżąc na drodze, którą przeszło za obrazem czterdziestu kapłanów dostrzegł go dopiero ks. Oficjał, przez co uchronił nowo powstającą Kongregację od *wielkiego ambarasu*. Drugim cudownym zdarzeniem było nawrócenie z kalwinizmu *znakomitej Pani*, która przyjechała do Gostynia z okazji Wielkiego Jarmarku. Przy tej okazji była świadkiem uroczystej procesji, która obudziła w niej tak gwałtowne pragnienie wyznania wiary katolickiej, że jeszcze tego samego dnia wyspowiadała się i przyjęła komunię św. Trzeci cud był natury medycznej. Doświadczyła go szlachcianka Teresa Zagocka, która po niefortunnym upadku z powozu miała wybitą rękę. Lekarze nie byli w stanie jej pomóc, *a raczej zwiększali tylko jej dokuczliwości*. Po namowie przyjaciółki zdecydowała ofiarować się św. Filipowi w geście wyciągniętych rąk w kierunku kościoła. To wystarczyło, żeby wszelki ból minął. Czwartego cudu doznali małżonkowie: Małgorzata i Stanisław z Leszna. Ich córeczka Katarzyna znajdowała się od czterech dni w agonii, a rodzice utracili już wszelką nadzieję życia dla niej. Wtedy to ówczesny proboszcz leszczyński ks. Jerzy Kerber poradził rodzicom, aby ofiarowali swoją córkę Matce Bożej spod Gostynia. Gdy to uczynili mała Kasia natychmiast ożyła, a dniem kiedy to nastąpiło, był dzień Introdukcji. *Tak Pan Bóg widoczną łaską swoją uświetnił sam początek istnienia tej Kongregacji*[43].

Aneks 1

List Adama Konarzewskiego do Andrzeja Gostyńskiego

Mnie Wielce Miłościwy Panie Gostyński ! Mnie Wielce Miłościwy Panie y Bracie ! Bardzom sobie życzył, oddać usługi moje Braterskie Waszmości Mościwemu Panu dnia wczorajszego, y oraz conferre w pewnej sprawie, która ab arbitrio Waszmości Mościwemu Panu dependet ratione Kościołowi Najświętszej Panny, abym tam vota mea mógł promovere za promotią Waszmości Mościwego Pana przy tym mieyscu, y in custodiam jego wprowadzić Oratorium Vallicellense Świętego Filippa Congregatij, którego Approbatia y incorporatia do Rzymskiego Oratorium multis curis do tych czas przez pewne osoby promowowana stanęła Deo volente 21 Januarij w Rzymie do Korony Polski, a że sposobu snadnieyszego i do promowowa-

[38] Por. J.R. Bar, *Prawo zakonne, po oborze Watykańskim II*, Warszawa 1977, s. 71.
[39] *Dokumenty*, AFG B 7.
[40] K. Dominikowski, dz. cyt., *Dopisy* nr LXXXV, s. 140.
[41] *Liber Defunctorum,* AFG A1.
[42] K. Dominikowski, dz. cyt., s. 78-79.
[43] Tamże, s. 79.

nia tych rzeczy mieysca bliższego i sposobnieyszego znaleźć niemożemy, tylko Górę Gostyńską, przychodzi nam do Waszmości Mościwego Pana recurrere, abyś Waszmość Mościwy Pan, promotorem votorum nostrorum bydź raczył, y tę pamiątkę w wiecznej chwale sobie zostawił, y Domowi swojemu: żeś został Gospodarzem Domu Bożego, y pierwsze reclinatorium u Waszmości Mościwego Pana tak wielki Święty obrał sobie y znalazł, niech się przy tym nikt nieobawia, aby przez to Fara szwankować miała, która owszem przez to bardziej promovebitur, poniewasz Oratorium ad detrimentum, sed ad ornamentum et juvamen far mere est fundowane, nec alia mens fundatoris była, tylko clerum ad majorem charitatem animare, które że jest ordinata, y do tego solum hoc różni się od innych institutum; nic tedy nie wątpię, że to mieysce commutabis tylko Waszmość Mościwy Pan, z Panem Bogiem za insze pomyślne fortuny, y że za ten mały plac szerokimi nagrodzi to Pan Bóg Waszmości Mościwemu Panu włościami, y że za to, że y Collatią samego Kościołka Waszmość Mościwy Pan Świętemu Philippowi darujesz, bez czego zacząć nic nie możemy, nagrodzi to Pan Bóg, a Święty Philip uprosi u Pana Boga to, czego Waszmość Mościwy Pan in presenti et in futuro sobie naybardziwy życzy, od którego ja Deklaratij Braterskiey czekając, jego się łasce jako naypilniey z usługami memi oddając, zostawam Waszmości mościwego Pana Życzliwym Bratem i Sługą.

Adam Konarzewski w Dusinie 11 Martij 1668

Nie niewątpię, że tesz i dawne Waszmości Mościwego Pana obietnice teraz się w skutku pokazać bendą chciały: w któtycheś mi Waszmość Mościwy Pan zawsze suam w tey mierze facilitatem obiecował. Mnie Wielce Mościwemu Panu y Bratu Jego Mości Andrzejowi z Gostynia Gostyńskiemu, Mościwemu Panu Dobrodziejowi w Zalesiu

Aneks 2

Ugoda między ks. Stanisławem Grudowiczem a ks. Pawłem Czapulewiczem

Między Wielebnym Ichmością Księdzem Pawłem Czapulewiczem Proboszczem Gostyńskim, z jednej z drugiej zaś strony miedzy Wielebnym Jegomością Księdzem Stanisławem Grudowiczem Penitenciarzem Tomskim, Promotorem Oratorii Congregationis Sancti Philippi Nerii i Sukcessorami jego, stało się pewne nieodmienne w ten niżej opisany sposób postanowienie, a naprzód: że Ichmościowie ab utrinque stosując sie do Dekretu Jegomości Księdza Komissarza i Officjała Poznańskiego, de dato et actu die Lune Nona

Mensis July, Anno Domino Milessimo Sexcentesimo Sexagesimo Octavo ferowanego, który to Dekret Jegomości Księdza Proboszcza jako Possesora teraźniejszego Gostyńskiego, in omni jure, proventu, apparatu, Rosario, et in omnibus Rosario servientibus Offertoris, Elecmosinis(?) et quibusuis pertinentiis, uti in tempore et modo possidet, usque ad vita tempore ipsius, jako i Mansionarzów w tymże Dekrecie specyfikowanych, et alios Presbyteros sub eiusdem regimine, et pro tempore existentes, in toto zachować submituje się in praesentia Ichmościów Przyjaciół z obydwu stron wysadzonych. Obliguje się nadto Jegomość Ksiądz Stanisław Grudowicz Penitencjarz Tomski, approbacją tego kontraktu u Jegomości Księdza Officjała Poznańskiego wyjednać z ręki jego podpisem. Praecavet i to sobie Jegomość Ksiądz Proboszcz Gostyński teraźniejszy, że żadnego impedimentu tak w Nabożeństwie Kościoła Farnego, jako et in aliis Accidentibus Parochialibus, tudzież i Kościółka Najświętszej Panny czynić nie będą powinni Presbyteri Oratorij Sancti Philippi, które to Punkta Ichmościowie ad utrinque tam in toto, quam in minima parte strzymać, ziścić, wypełnić będą powinni sub nullitate actus istius et paena Excommunicationis, a co sobie Forum Spirituale Posnaniense naznaczają. Na co się dla lepszej powagi rękami własnymi i Przyjaciół niżej podpisanych podpisują. Działo się na Gruncie Gostyńskim przy Kościółku Najświętszej Panny MARYI Immaculate Conceptionis. Die Decima Sexta Augusti Anno Domini Millesimo Sexcentesimo Sexagesimo Octavo. Paulus Albertus Czapulewicz Prepositus Ecclesiarum Gostinensium mmp. Stanislaus Grudowicz Ecclesia Cathedralis Posnaniensis Penitentiarius, Oratorij Congregationis Sancti Philippi Nerij Promotor mmp. Albertus Malczewski Subuidex Terrestris et Judex Surrogatus Wschovensis. Albertus de Mielżyn Mielżyński. Andreas Gostyński. Stanislaus Radzewski. Approbatur Authoritate Officii Nostri Die 3 Septembris 1668 Posnaniae. Albertus Dobrzelewski Archidiaconus et Officialis Posnaniensis Generalis.

Aneks 3

PAPIEŻ KLEMENS X
Na wieczną rzeczy pamiątkę

Odkąd Boży Majestat wyniósł nas acz niegodnych na szczyt pasterskiego urzędu, staliśmy się, na ile stać nas było, ufni w pomoc z wysoka, aby rosła chwała Boża i wzrost wiary katolickiej oraz dusz zbawienia możliwie najlepszymi środkami; i dlatego, pragnąc żeby to czyniły zrzeszenia kapłańskie z całym przekonaniem popieramy i ustanawiamy i obdarzamy je

przywilejami i łaskami odpowiednimi tak jak uważamy, że już to wykonują zbawiennie w Panu.

Skoro więc dowiedzieliśmy się, że Kongregacja Kapłanów Świeckich Oratorium św. Filipa Neriusza została utworzona i zatwierdzona powagą biskupa w kościele pod tytułem Niepokalanego Poczęcia Matki Boskiej o milę włoską od miasteczka Gostynia w diecezji poznańskiej i że tam ciż kapłani słuchają spowiedzi wiernych, udzielają sakramentów świętych, miewają nauki dla ludu, nawiedzają chorych i pragną wykonywać inne dzieła pobożności i miłosierdzia nie bez znacznej religijnej pociechy dusz i wzrostu kultu Bożego – wedle pobożnej ich reguły; i ponieważ oni jak najbardziej pragną, żeby dla podtrzymania i ważności tej fundacji wzmocnić ją zatwierdzeniem i mocą naszą apostolską.

My chcąc obdarzyć wyżej wspomnianych kapłanów i braci specjalnym względem i łaskami, żeby się okazali jeszcze bardziej skorzy do wykonywania tychże dzieł i żeby przynieśli jeszcze bujniejsze owoce na przyszłość jak to już wiele przynieśli dotąd w winnicy Pańskiej, i uważając, że poszczególne ich osoby są wolne od jakichkolwiek ekskomunik, suspens, interdyktów i innych zasądzeń, od cenzur i kar nałożonych z prawa albo przez sędziego z jakiejkolwiek okazji i spraw, gdyby byli w jakikolwiek sposób obciążeni, to jeśli chodzi przynajmniej o dostąpienie tych łask uwalniając ich rzeczywiście i sądząc, że będą oni z nich uwolnieni – skłonni uczynić ich prośbom pokornie do nas zaniesionym, mianowicie o erekcję kanonicznie i instytucję wyżej przerzeczonej fundacji, o ile tylko została formalnie zapoczątkowana. Naszą powagą apostolską niniejszym pismem aprobujemy i zatwierdzamy i przypisujemy jej wieczystą i nienaruszalną moc z prawa apostolskiego oraz uzupełniamy wszelakie i poszczególne braki tak z prawa jak i z faktu, jeśliby zaszły w jakikolwiek sposób; niemniej w tymże kościele pod tytułem Niepokalanego Poczęcia wspomnianej diecezji powagą i treścią wieczyście erygujemy i ustanawiamy Kongregację kapłanów świeckich wyżej wspomnianych, żeby byli przyjmowani do niej w swoim czasie na wzór pierwotnej Kongregacji w kościele św. Marii na Valicelli i Grzegorza z Miasta, już z dawniejsza zaistniałych z ustanowienia papieskiego, byle jednak kapłani i bracia przyjęli regułę i statuty Domu Kongregacji Oratorium, względnie innych zatwierdzonych przez ś.p. naszego poprzednika papieża Pawła V – i żeby wedle sił starali się je zachować.

Prepozytowi i księżom jak i innym z Kongregacji tej od nowa erygowanej, którzy będą aprobowani przez biskupa, żeby mogli słuchać spowiedzi

kogokolwiek z przystępujących o każdej porze roku zadając im należną za grzechy pokutę względnie inne stosowne czynności do wykonania i udzielić zbawiennego rozgrzeszenia.

Kapłani zaś przyjęci do tej Kongregacji nie będą podlegać wcale proboszczom i ich jurysdykcji żeby mogli udzielać sobie nawzajem jakichkolwiek sakramentów corocznie i w paschalnym czasie Zmartwychwstania w zastępstwie i w miejsce proboszcza; przełożeni tejże Kongregacji ustanowionej niniejszym pismem żeby mogli sami przez się lub przez innych ze swej strony wyznaczonych kapłanów uwalniać swych poddanych od cenzur, ale nie z rezerwatów zastrzeżonych Stolicy Apostolskiej, ani też zawartych w książkach czytanych „w dniu Wieczerzy Pańskiej" i nakładać należną pokutę.

Ci również przełożeni mogą i upoważnieni są karać nieposłusznych współbraci i wykraczających przeciw Konstytucji Kongregacji i okładać ich pokutą - na miarę winy - wedle swego uznania, według wskazań i reguł tej Kongregacji; a jeśli by uważali, że za zgodą większej części przerzeczonej Kongregacji należałoby usunąć jakiegoś winowajcę, to nawet mogą swobodnie i prawnie wezwać władzę świecką, gdyby zaszła potrzeba; na co im dajemy zezwolenia i prawa.

A w końcu wieczyście stanowimy i zarządzamy równocześnie, żeby Kongregacja erygowana niniejszym pismem była wieczyście podległa wszelkiej jurysdykcji aktualnego biskupa poznańskiego, który jednak nie może żadną miarą zmieniać lub przekształcać Konstytucji i wskazań przerzeczonej Kongregacji.

Stanowimy również, że niniejsze pismo ma być wieczyście ważne i skuteczne i ma zyskiwać swoje pełne i całkowite skutki, i że ma być zachowane od wszelkich skażeń, i tak też ma być osądzone i określone przez jakichkolwiek sędziów i komisarzy obdarzonych jakąkolwiek władzą, jak Audytorów Spraw Pałacu Apostolskiego i Kardynałów Świętego Kościoła Rzymskiego; natomiast nierozważne jest i czcze wszystko, co by inaczej zdarzyło się decydować poza tym świadomie albo nieświadomie przez jakąkolwiek władzę.

A ponadto, żeby tak erygowany kościół Kongregacji był we większej czci i był uczęszczany z należytym nabożeństwem przez wiernych, a także inni kapłani byli bardziej zachęcani naszym pismem do wstępowania do Kongregacji przez nas erygowanej – wieczyście udzielamy i nadajemy odpust zupełny wszystkim i poszczególnym kapłanom, którzy zresztą wejdą do tejże Kongregacji w pierwszym dniu ich wstąpienia, jeśli tylko pokutujący i wy-

spowiadani przyjmą Najświętszą Eucharystię; również innym kapłanom teraz czy kiedykolwiek zamieszkałym w domu, jako też innym konwiktorom tejże Kongregacji na godzinę ich śmierci, jeśli sercem wezwą imię Jezus gdyby nie mogli ustami; nadajemy również odpust zupełny także i innym wiernym obojga płci szczerze pokutującym i wyspowiadanym po przyjęciu Komunii, którzy w uroczystości św. Filipa Neriusza od pierwszych nieszporów aż do zachodu słońca tegoż świętego w to święto i to po wszystkie lata pobożnie nawiedzą kościół erygowanej przez nas Kongregacji i zaniosą tam pobożne modlitwy do Boga za zgodę książąt chrześcijańskich, o wytępienie herezji i wywyższenie Św. Matki Kościoła – Ci wszyscy zyskują również odpuszczenie i przebaczenie wszystkich grzechów swoich.

A także kapłanom i innym osobom tejże Kongregacji ilekroć zejdą się na słuchanie ćwiczeń duchownych jak i innym osobom obojga płci uczestniczącym w tychże ćwiczeniach udzielamy dziesięć lat [odpustu], a tym, którzy pobożnie nawiedzą kościół tejże Kongregacji w Narodzenie i Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny Niepokalanej i w Znalezienie Świętego Krzyża, św. Grzegorza od świętych nieszporów aż do zachodu słońca tychże świąt w poszczególne lata nawiedzą i pomodlą się to 7 lat i tyleż kwadragen; takiż odpust również kapłanom i innym członkom Kongregacji, ilekroć będą uczestniczyć w codziennych nabożeństwach w swoim kościele lub oratorium zwyczajem w/w Kongregacji, albo też spowiadającym się na publicznych albo prywatnych spotkaniach i doraźnych dla dokonania jakiegoś dzieła, albo będą pocieszać chorych lub przyjmą Najświętszy Sakrament Eucharystii, albo też roztrząsać będą swoje sumienie przed pójściem na spoczynek lub udręczą swoje ciało biczmi za pokutę, albo też zmówią pięć razy Modlitwę Pańską i tyleż razy Pozdrowienie Anielskie tak za dusze kapłanów oraz innych zmarłych tejże Kongregacji jak i innych zmarłych w Chrystusie, lub wreszcie naprowadzą kogoś na drogę zbawienia a pouczą nieznających przykazań Bożych tych prawd, które są potrzebne do zbawienia, albo też wykonają jakikolwiek czyn pobożności lub miłosierdzia, to im dajemy odpust tyluż dni za każde za każde pokuty im nałożone, tylekroć za każdy z tych pobożnych czynów 60 dni z nałożonych im lub jakichkolwiek innych z nałożonych im pokut we formie przyjętej w Kościele.

- choćby wchodził w grę nasz regulamin o udzieleniu łask i innych konstytucji i rezerwacji apostolskich, a tak samo wydanych na prowincjalnych albo diecezjalnych albo lokalnych zjazdach praw i zwyczajów, przywilejów jak i odpustów i cenzur apostolskich w jakimkolwiek brzmieniu i formie,

i z jakichkolwiek częściowych uchyleń, jako też skuteczniejszych i najskuteczniejszych a nawet niezwykłych zastrzeżeń i innych dekretów unieważniających w ogólności lub w szczególności lub też kiedykolwiek będących w jakiejś sprzeczności z którymkolwiek już nadanych, zatwierdzonych i sprotokółowanych = mimo tych wszystkich i poszczególnych chociażby powinna była być wzmianka poczyniona i zachowana o tych poszczególnych treściach specjalnych czy specyficznych, wyraźnych i jednostkowych i to dosłownych, i to nie tylko drogą zastrzeżeń ogólnych dotyczących podobnych spraw – albo też jakiś innych wyrażeń lub innej jakiejś wyszukanej formy.

Uznajemy tedy w/w treści za w pełni i dostatecznie wyrażone i do ksiąg włączone i mające zachować swą moc w stosunku do niniejszych rozporządzeń (gdy przynajmniej chodzi o ten wypadek) w jakowyś sposób i wyraźnie uchylonych jak i innych w ogóle przeciwne tej bulli zalecenia. Pragniemy również, żeby to niniejsze pismo załączonego, wydrukowanego i podpisanego ręką jakiegoś publicznego nadariusza i zaopatrzonego pieczęcią jakiejś hierarchicznej osoby – miało wręcz tę samą wiarę w sądzie i poza nim, jaką ma ten nasz oryginał, co ma się dołączyć i wykazywać wspólnie, jeśli to już nie nastąpiło wcześniej.

Dan w Rzymie u Matki Bożej Większej pod pierścieniem Rybaka dnia 10 grudnia 1670.

Tekst bulli w tłumaczeniu ks. Władysława Świdra

Ks. Mieczysław Stebart COr

NOTATKI Z NASZEJ PRZESZŁOŚCI

Obecny rok 2008 jest dla nas, polskich filipinów, rokiem ważnych rocznic. Najważniejszą nich, bez wątpienia, jest 340 rocznica powstania pierwszej na ziemiach polskich Kongregacji Oratorium na Świętej Górze. Stąd się wszystko zaczęło. Tej rocznicy na pewno będą poświęcone osobne opracowania. Nie zatrzymuję się na kilku innych rocznicach, które z pewnością będą omawiane w naszych „Oratorianach". Dla nas, filipinów tarnowskich, ważna jest 130 rocznica przybycia do Tarnowa Ojców wygnanych przez kulturkampf z Świętej Góry.

Na pewno niesłychanie cenne są dla nas wszelkie wiadomości o tych, którzy tu, w Tarnowie, byli przed nami, zwłaszcza o tych, których znamy prawie tylko z nazwiska, o których wiemy, że zostali wygnani z Świętej Góry w 1876 roku i po krótkim pobycie w Krakowie przenieśli się do Tarnowa i którym Kongregacja Tarnowska zawdzięcza swoje istnienie. Stąd bardzo ważne wydają się być odnalezione w tutejszym archiwum krótkie notatki trudnego do rozszyfrowania autora, ukazujące cechy osobowe niektórych z nich. Ciekawe są również krótkie notatki o przeżyciach księży filipinów w Tarnowie podczas pierwszej i drugiej wojny światowej. Notatki zostały uzupełnione kilku zapiskami ks. Franciszka Mroza COr (+1955) oraz obszerniejszymi nekrologami z tarnowskiego tygodnika politycznego i ekonomiczno-społecznego „Pogoń". Zachowana została pisownia oryginałów, w niektórych wypadkach niezgodna z dzisiejszą ortografią.

Pro memoria

Ks. Atanazy Szułczyński. (Wspomnienie pośmiertne). Nie tak dawny to czas, kiedy przybyli do nas księża Filipini, wygnańcy z Księstwa Poznańskiego. Podwójną korzyść odniosło miasto nasze z ich przybycia: materyalną i moralną, nie mówiąc już o tem, że wybudowawszy kościół i przyległy dom mieszkalny przyczynili się znacznie do upiększenia naszego nie zbyt pięknego Tarnowa. Większego znaczenia jest jeszcze ta korzyść moralna, którą z ich pracy cichej a wytrwałej odnosi ludność miejscowa i okoliczna. Na pięć i dalej mil w około poczciwy w gruncie nasz lud wiejski wie o tem, że w Tarnowie są księża „Filipiany" i że tam najprędzej można dostać się do spowiedzi. Czy to więc w wielkim poście, czy w innym czasie ściągają się gromadki ludu naszego, każdy z pewnym ciężarem na sumieniu, aby go ze siebie złożyć, każdy z dobrą wolą na przyszłość, aby się poprawić.

Do rzędu tych pracowników nad umoralnianiem naszej ludności należał ks. Atanazy Szułczyński. Cichy, cierpliwy, obowiązkom kapłańskim całą duszą oddany, przesiadywał nieustannie w konfesyonale, wychodził i na ambonę, chociaż szósty krzyżyk ciążył coraz bardziej na barkach spracowanych i siły go opuszczać zaczynały. Przed półrokiem rozwinęła się piersiowa choroba; starzec 63 letni musiał opuścić swój konfesyonał i ambonę; jeszcze jednak nie chciał opuścić ołtarza i modlitwy. Dopóki nogi utrzymać go mogły stawał przy pańskim ołtarzu, nie zapominając co znaczy jedna msza święta. Nakoniec choroba postępując dalej przykuła go do łoża, na

którem z bezprzykładną cierpliwością i spokojem oczekiwał ostatniej godziny. Godzina przyszła, duch uleciał z tego świata w tamten szczęśliwszy, do którego on zawsze był przygotowany. Na pogrzeb zebrało się całe nasze duchowieństwo, seminaryum, księża proboszczowie z okolicy, z Krakowa przybył ks. Biskup Janiszewski, kolega szkolny nieboszczyka i dwaj księża Jezuici: Wójcikowski i Hołubowicz. Prosta trumna stała na katafalku oświetlonym czterema świecami, mowy nie miało być żadnej, tak bowiem przepisuje zwyczaj praktykowany u księży Filipinów. Była jednak mowa, którą z własnej chęci wygłosił jeden z okolicznych proboszczów i tyle tylko w tej całej mowie powiedział, iż po życiu, które przeszło tak cicho, tak pięknie, tak pracowicie, można nietylko spokojnie ale i z radością umierać. Jeżeli bowiem tam dopiero czeka każdą cnotę uznanie i nagroda, ktoby się nie cieszył idąc po nagrodę?

Czy byłby się spodziewał ks. Atanazy jako wielkopolanin żyjąc i pracując tam, gdzie począł żyć i pracować, że nie w Gostyniu, ale w Tarnowie, w grobie odpocznie?

Wrogi naszego narodu, naszej wiary pędzą nas z miejsca na miejsce. W naszej własnej ojczyźnie musimy się jeszcze tułać. Lecz pociesz się księże Atanazy! i my twoimi braćmi jesteśmy, spoczywasz daleko od swej kolebki, wszakże jednak na ziemi ojczystej, a Galicyanie tembardziej będą cię mieli w pamięci, żeś wygnańcem będąc do nich przybył służyć im resztą swoich sił i świecić do ostatniej chwili pięknym przykładem[44].

Ks. Antoni Brzeziński. Data śmierci w spisie księży (1898). Znałem go jako student. Wysokiego wzrostu, szczupły, dobry kaznodzieja. Miał wielkie wzięcie u inteligencji w Tarnowie jako (jak mówiono) profesor były historii w seminarium w Poznaniu. On napisał historię klasztoru w Gostyniu jako pamiętnik „Jasnej Góry" (?). Zajmował się ubogimi jako członek towarzystwa Św. Wincentego a Paulo. Opiekował się i wspierał ubogich studentów, którzy go naciągali i jego dobroć i miłosierdzie wyzyskiwali. (Ks. Franciszek Mróz COr - +1955 r.).

Także tutaj warto przytoczyć dosyć obszerny i szczegółowy nekrolog, umieszczony w tygodniku „Pogoń" ze stycznia 1898 roku.

„Ks. Antoni Brzeziński, Filipin. Dnia 19 b. m. o godzinie 9.45 pożegnał się z tym światem ś. p. Antoni Brzeziński, członek Zgromadzenia XX. Fili-

[44] „Pogoń", Tarnów, 1 lutego 1884.

pinów w Tarnowie. W prostej czarnej trumnie, bez mowy pogrzebowej chowano śmiertelne szczątki tego zacnego robotnika Bożego. Ś. p. Antoni był synem mieszczańskim w Poznaniu. Urodził się w r. 1820 jako jedynak matki liczącej 50 lat przeszło. Po skończeniu nauk gimnazyalnych w Poznaniu, słuchał teologii w Bonn i w seminaryum gnieźnieńskiem. Był potem katechetą przy gimnazyum w Trzemesznie i gdy ruchy patryotyczne w r. 1846 i 1848 w Wielkopolsce zapanowały, brał w nich żywy udział jako kapelan wojsk polskich. Z krzyżem w ręku zagrzewał braci swych w bitwie pod Miłosławiem. Gdy Prusacy zwyciężyli, stracił nieboszczyk urząd katechety i za udział w komitecie narodowym miał proces z przymusową wysełką po za granice księstwa Poznańskiego. Bawił pod on czas w Berlinie. Wygrawszy proces wrócił do Wielkopolski i przyjął wikaryat w Swarzędzu, potem probostwo w Baszkowie. Wnet atoli powołał go ś. p. Arcybiskup Przyłuski do Poznania na profesora historyi i prawa kanonicznego w seminaryum duchownem, zrobił go swym radcą, spowiednikiem klasztoru PP. Urszulanek i prezesem wszystkich konferencyj św. Wincentego a Paulo. Za jego sprawą we wszystkich miastach znaczniejszych utworzyły się nowe konferencye i wydawano roczne sprawozdania z działania błogiego tych stowarzyszeń. Kształcąc młodzież duchowną, urabiał swe szlachetne serce przez styczność z ubóstwem coraz bardziej. Ceniony był jako kaznodzieja, przemawiający prostym, jędrnym stylem Skargowskim. Dwie tylko mowy ogłosił drukiem, jakoto: mowę na pogrzebie śp. Arcybiskupa Przyłuskiego i mowę przy zwłokach śp. Feliksa Kozłowskiego, prof. gnieźnieńskiego seminaryum. Przyjacielem był i doradcą śp. Bujanowskiego (sic!) Edmunda, pana święckiego i wielkiego serca, założyciel Zgromadzenia Służebniczek N.M. Panny. One też wieńcem otoczyły trumnę śp. Antoniego, czcząc w nim swego współzałożyciela i długoletniego komisarza biskupiego. Z prac literackich ogłosił: „Historyę Soboru Trydenckiego", dwutomową książkę p. n. Pamiątka jubileuszu dwuchsetniego Zgromadzenia XX. Filipinów w Gostyniu w r. 1869, tłomaczył „Szkoła doskonałości" Drużbickiego, wydał „Zbiorek modlitw" dla Zgromadzenia Służebniczek i dwa dziełka ascetyczne, nadto pozostawił kronikę XX. Filipinów w rękopisie.

Do Kongregacyi XX. Filipinów wstąpił w czasie administracyi X. prałata Brzezińskiego w Poznaniu przed objęciem stolicy Arcybiskupiej przez Arcyb. dzisiaj kardynała Ledóchowskiego. Jako Filipin objął dyrekcyę zakładu ks. demerytów w Osiecznie i swą łagodnością, pokorą wpływał

zbawiennie na swych poddanych. Doczekał się tej pociechy, że kiedy rząd rozwiązując zakład w r. 1875, publikował księżom zakładowym jako im wolno opuścić zakład, jeden w imieniu wszystkich odpowiedział: ks. Arcybiskup nas tu przysłał i on nas tylko zwolnić może nie rząd. Po rozwiązaniu i gwałtownem wydaleniu z kongregacyi Gostyńskiej udał się nieboszczyk wraz z braćmi najpierw do Krakowa, a potem do Tarnowa. Pociągająca to była postać, kapłan głębokiej pobożności, światły i tak dobry dla ubogich. Znał co cierpią „biedaczkowie", cicho czynił wiele dla nich, płyną łzy wdzięczności i żalu po zgasłym, bo nie zliczysz osób, rodzin, domów, gdzie zaglądał, wspierał i pocieszał. Wygnańcom z Księstwa wyrabiał urzęda i posady, chorym obiady, młodzieży torował drogę do kształcenia. Wszędzie znajdował posłuch i otwierano jego zamysłom serca i kieszenie. Grosz zebrany na probostwie w Baszkowie ciepłą ręką wydał przed laty na „Towarzystwo pomocy naukowej" w Poznaniu, na legaty pobożne w Baszkowie, Krotoszynie, a w kilku miejscach w Galicyi przyczynił się do powstania ochronek pod zarządem Służebniczek i innych. Któż zdoła wyliczyć wszystkie jego wsparcia starannie ukrywane! Zresztą znał go Tarnów i wspaniały pogrzeb świadczył, jaką cześć zjednał sobie ten kapłan prawy podług serca Boskiego żyjący. Światłość wiekuista niech mu świeci na zawsze!"[45].

Wstąpiłem do Kongregacji 1900 roku w pierwszych dniach miesiąca marca. Ze starszych księży zastałem ks. **Jana Sydowa.** Był to kapłan według Serca P. J. Pochodził rodem z Pomorza z Kaszubów, co poznać się dawało z jego mowy, zwłaszcza na ambonie. Człowiek wielkiej prostoty i dobrego serca, pobożny, gorliwy, pracowity. Wszyscy go kochali. Dawał hojnie jałmużny, cichy, spokojny, grzeczny, szczery przyjaciel ks. Preibisza.

Spowiadał bardzo pilnie, a cieszył się wielką ilością penitentów. Chociaż już tknięty atakiem paraliżu, nie opuszczał konfesjonału i zwyczajnie ostatni z niego wychodził, zadowolony z pracy nad duszami. Jeszcze niedługo przed drugim atakiem, który go spotkał w czasie obiadu, spowiadał do późnej godziny.

Był nadzwyczaj gościnny dla wszystkich, którzy go odwiedzali. Wiedzieli o tym księża z Tarnowa i przychodzili na dobre wino na imieniny.

[45] „Pogoń", Tarnów, 22 stycznia 1898.

Hojną dłonią dawał jałmużny na różne dobre cele n. p. internat św. Józefa, stowarzyszenie sług, towarzystwo św. Wincentego a Paulo.

Dla nas młodych księży był serdeczny i nie okazywał niczym, że jest starszy.

Po jego śmierci, za pieniądze pozostawione Kongregacji, jego serdeczny przyjaciel ś. p. ks. Bernard Preibisz zakupił w Paryżu stacje Drogi Krzyżowej do kościoła.

Przez szereg lat był spowiednikiem S.S. Urszulanek, które również wspierał datkami pieniężnymi w trudnych dla nich czasach.

Cieszył się zaufaniem księży, którzy do niego chodzili do spowiedzi.

Mszę świętą odprawiał do ostatniej chwili z wielką pobożnością.

A oto nekrolog z „Pogoni":

„Wspomnienie pośmiertne. Jeszcze w świeżej pamięci mamy wszyscy zgon ś. p. księdza Antoniego Brzezińskiego, a oto podobało się Bogu powołać do siebie ks. Jana Sydowa, członka Zgromadzenia XX. Filipinów dnia 7 b. m. w 67 roku życia, którego pogrzeb odbył się w sobotę 9 b. m. W orszaku pogrzebowym wzięła udział prześwietna Kapituła z ks. infułatem Walczyńskim na czele, duchowieństwo miejscowe i ze sąsiednich parafii, klerycy Seminaryum, OO. Bernardyni, stowarzyszenie „Praca" ze sztandarem i całe ubóstwo miasta Tarnowa. Nastrój był iście pogrzebowy, żal uwydatniał się na twarzach wszystkich. - Zmarły urodził się pod Wałczem w Prusach, kształcił się w gimnazyum w Trzemesznie i Ostrowie, zdawszy egzamin dojrzałości przeszedł seminaryum teologiczne w Poznaniu i praktyczne w Gnieźnie. Klerykiem będąc, wstąpił do kongregacyi XX. Filipinów w Gostyniu Poznańskiem, którą fundował magnat i wielbiciel św. Filipa Adam Konarzewski w r. 1669.

W roku 1875 rząd pruski zastosował do tej kongregacyi ustawę wojowniczą, rozwiązującą zgromadzenie. Członkowie przez żandarmów wyparci z własnej siedziby Gostyńskiej udali się do Krakowa w r. 1876, a ks. Sydow między nimi. W roku 1878 dnia 4 października przybył nieboszczyk z 8-ma członkami do Tarnowa. Kongregacya zbudowała tu kościół, a w nim śp. ks. Jan zajmował znany konfesyonał oblężony przez penitentów. Był to pracownik niezmordowany, cichy i pokorny, odznaczał się spokojem wewnętrznym i darem pocieszania strapionych. Acz służył przy wojsku pruskiem - posiadał miłosierne i czułe serce na wszelkie nędze duszy i ciała. Był ciągłym spowiednikiem kapłanów, zakonnic i ludu. Był prawy Izraelczyk bez zdrady, prostoty i serdeczności ujmującej, nie miał

też ani jednego nieprzyjaciela. W r. 1867 odbył pielgrzymkę do Rzymu. Opis tej podróży pozostał w rękopisie polskim. W r. 1875 zwiedził Oratorya we Francji i w Anglii. Władał językiem niemieckim, gdyż był z urodzenia Niemcem, duszą i sercem należał do nas. W styczniu r. p. zapadł ciężko na zdrowiu, tylko Bóg i starania Dra Skowrońskiego tak dalece zapobiegły, że się z łoża podźwignął, a nawet do pracy ulubionej w konfesyonale zasiadać począł. Jeszcze dnia 4 b. m. blisko do 12 spowiadał, nie przeczuwając, że za pół godziny położy Bóg palec na tętnie jego serca.

Udar sercowy ubezwładnił go na całą połowę ciała. Zachował mowę i przytomność jeszcze 2 dni, przyjął Sakramenta św., aż we czwartek o godzinie 3-ciej po południu uleciała piękna dusza jego do Pana, zostawiając na twarzy ślady dziwnego spokoju i zadowolenia.

Wieczne odpoczywanie, racz mu dać Panie![46]

Ks. Bernard Preibisz, długoletni Przełożony Zgromadzenia, bo wybierany kilkakrotnie, dożył 80 roku życia. Pochodził rodem z Kobylina. Był wysłany do Monachium na studia malarskie. Toteż zostawił po sobie obrazy. W kościele obraz P. Jezusa na krzyżu, Matki Boskiej i Św. Józefa; w refektarzu złożenie P. Jezusa do grobu i Św. Rodziny; w kaplicy obrazy Św. Filipa, Antoniego Grassi i J. Juwenalisa Anciny. U Urszulanek złożenie do grobu, w Krzyżu obraz P. Jezusa na krzyżu we wielkim ołtarzu. Kształcił się na malarza w Monachium. Odznaczał się energią i stanowczością. Był sumienny; przestrzegał instytutu. Co miesiąc była congregatio culparum, w czasie której starszy ksiądz (dziesięcioletni) miał egzortę, inni wyznawali błędy miesięczne i otrzymywali pokutę, między innymi pocałowanie nóg, służenie do stołu i t. p. Po jego śmierci ten pobożny zwyczaj znikł, a karteczki ktoś popalił. W czasie obiadu było również bardzo pożyteczne rozwiązywanie wypadków z teologii moralnej (casus conscientiae). On uratował część majątku, za który stworzono Kongregację w Tarnowie. Wybudowano dom, kościół, a w roku 1903 obecny klasztor. Pozornie był zimny, ale miał złote serce i dbał o rozwój Zgromadzenia, bronił praw i przywilejów nawet wobec biskupów, za co też cieszył się wielkim uznaniem księży biskupów Łobosia i Dr L. Wałęgi. Był przyjacielem i spowiednikiem ks. biskupa Łobosia, chodził z nim na przechadzki. Był także spowiednikiem Urszulanek i nauczycielem rysunków w ich szkole.

[46] „Pogoń", Tarnów, 17 lutego 1901.

Pracował do ostatniej chwili, malował obrazy, przekładał z języka włoskiego niektóre dzieła, spowiadał. Nie lubił zbytków w refektarzu, grymasów w jedzeniu i karcił surowo za nie młodszych księży.

Nabożeństwa odprawiał regularnie i nie spóźniał się na modlitwy. Dla wypoczynku udawał się do Zakopanego lub do Gastein w Tyrolu.

Umarł na uwiąd starczy. Jego ucieczka przed Prusakami jest opisana w innej kronice.

Śmierć była spokojna, bez boleści 27 września 1907 roku.

Dnia 31 grudnia 1907 roku odprowadziliśmy do grobu **ks. dr Jana Łukowskiego,** który zmarł po dłuższej chorobie dnia 29 grudnia. Rodem pochodził z Ostrowa Wlkp. Pracował w diecezji Gniezno. Cieszył się względami ks. kard. M. Ledóchowskiego i z jego poręki został prałatem domowym Jego Świątobliwości i jako zaufany rządził diecezją tajnie w czasie kulturkampfu. Później jednak zaszło nieporozumienie z ks. arcyb. Stablewskim. Opuszcza diecezję i wstępuje do XX. Filipinów w Tarnowie.

W Tarnowie zajmował się Towarzystwem Miłosierdzia Pań, a później towarzystwem sług, które już istniejące zorganizował, statut ułożył, opieką wielką otoczył i wiele dobrego zdziałał, chociaż odpłacono mu za to niewdzięcznością.

Był bardzo miłosierny, uczynny, towarzyski. Pisał do niektórych czasopism artykuły, a nawet jako oficjał napisał żywot Pana Jezusa (czy przełożył z niemieckiego).

Nota bene: W późniejszym czasie dla „Oratoriana" zostanie o ks. Janie Łukowskim opracowany obszerniejszy i źródłowy artykuł.

X. Bogusław Królikowski, utalentowany rysownik, turysta, niestety był to ksiądz nerwowy i skrupulatny. Mszę odprawiał powoli, spowiadał długo i skrupulatnie. Nie mógł sypiać i dlatego miał wewnątrz pokoju okiennice, aby nie słyszał turkotu i rozmów. Kapłan delikatnego sumienia, grzeczny w obejściu, a miłosierny dla ubogich. Był bardzo gościnny. Kazania starannie opracowywał, ale przed wygłoszeniem ich był niespokojny i tak też je wygłaszał; był bardzo zadowolony, gdy go inny ksiądz zastąpił. Na wakacje udawał się corocznie do Tatr albo Alp, skąd wracał uzdrowiony. Wiele pieniędzy dawał na ubogich i na stowarzyszenie sług.

Po śmierci ks. Preibisza był krótko przełożonym. Uprzejmy, grzeczny, hojny, gościnny. Znał się na estetyce i liczono się z jego zdaniem przy stawianiu ołtarza Matki Boskiej w kaplicy i przy zakładaniu okna, witraży

w kościele. Miał wielki zmysł estetyczny. Według jego projektu były zrobione śliczne witraże M. B. z Lourdes i Serca P. J., które w czasie pierwszej wojny bomba zniszczyła. O ile pamiętam (tak ks. Mróz) on podał plan całego ołtarza w kaplicy wraz z figurą M. B. i zrobiono go w Wiedniu. Nawet szczegóły są ładne tego ołtarza, ale trzeba zwrócić na nie uwagę. (Niestety, przy przebudowie kościoła te ołtarze zostały usunięte, M.S.).

On kierował malowaniem kościoła w 1912 roku. Malował zaś malarz z Tarnowa Gucwa.

Dnia 28 sierpnia 1914 roku wybuchła wojna światowa. Pozornie wojska austryjackie (sic!) odnosiły zwycięstwa, ale też cofały się. Pod wpływem wydarzeń 3 księża wyjechali do Wiednia. Dwaj wrócili w październiku, a trzeci dopiero w maju 1915 r. W domu naszym mieszkał ks. Kapelan ze Zbylitowskiej Góry ks. Alojzy Dwornik, p. Zorba i hr. Szczepan Tarnowski [...] ze Zgłobic, ale dopiero po zajęciu Tarnowa przez wojska rosyjskie dnia 19 listopada. Strach objął wszystkich mieszkańców, gdy 11 listopada rano wmaszerowały wojska rosyjskie, Czerkiesi, Kozacy. Były gorące bitwy na południe i zachód od Tarnowa.

Z początku nie było strat materialnych a o żywność w różny sposób się starano. Dopiero 18 lutego 1915 r. padła berta do ogrodu, gdzie obecnie stoi kamienica p. Sadowskiego na ulicy Legionów i wybiła szyby w całym domu. Dnia 26 lutego padła druga berta w domu Siódmaka, zabiła ludzi, wybiła okna w kościele, strąciła pająk, wybiła okna w domu a dwa odłamki wpadły do mieszkania ks. Mroza i ks. Muchowicza. Okna w domu zaprawiono, w kościele zasłonięto prześcieradłami wojskowymi, a później, w maju włożono na miejsce rozbitych witraży szyby.

Z początkiem maja 1915 r. rozpętała się wielka bitwa, w której przełamano linie rosyjskie między Gorlicami a Tarnowem i dnia 7 maja wojska austriackie przyszły do Tarnowa, przyjęte owacyjnie przez ludność.

Linia bojowa przesunęła się na wschód, a do domu naszego wprowadziła komenda kancelarie wojskowe, kasę i zamieszkał kapitan Martynowicz. Tak było dalej i przez przeciąg wojny z Rosją, aż do pokoju zawartego w Rydze. Były różne niedogodności, które trzeba było cierpliwie znosić.

W roku 1919 w marcu **ks. Witek** i **ks. Muchowicz** wyjechali do Gostynia i Poznania do kardynała ks. E. Dalbora, wówczas jeszcze arcybiskupa, na wywiad, czy by nie dało się odzyskać kościoła i dóbr w Gostyniu. Ks. Kardynał chętnie księży przyjął i zgodził się na powrót XX. Filipinów do Gostynia.

Księża Witek i Muchowicz wyjechali we wrześniu i objęli klasztor z rąk ks. Olejniczaka, a później dobra za zgodą ówczesnych władz w Poznaniu. Niemcy dzierżawcy ze smutkiem opuszczali dwory, lasy klasztorne, gdyż ciągnęli stąd wielkie zyski.

Otworzyli konwikt, do którego zgłaszało się wiele młodzieży za opłatą i za darmo.

Wstąpili księża **Jan Pabis, Józef Smoliński,** a przedtem jeszcze ks. **Władysław Służałek** i ks. **Wojciech Helbich,** który po owocnej pracy na misjach i rekolekcjach i po pracy kilkoletniej duszpasterskiej w Studziannie, umarł dnia 2 stycznia 1937 r. w Gostyniu. Na pogrzebie było wielu księży z okolicy. Z Tarnowa był X. Mróz a ze Studzianny X. J. Witek. Zostawił pamięć gorliwego kapłana, gościnnego i uprzejmego.

Dnia 27 kwietnia 1937 r. zasnął w Panu ks. **Mateusz Muchowicz** w 76 roku życia a w 53 kapłaństwa. Jubilat ostatni po X. B. Preibiszu. Urodził się w Grybowie. Pochodził z bogatej mieszczańskiej rodziny. Ojciec jego był rzeźnikiem i właścicielem dwóch kamienic. Była to rodzina prawdziwie katolicka. Ks. Mateusz otrzymał od P. Boga talenty wielkie, tak ciała jak duszy. Miał dobry głos, śpiewał pięknie. Dobry kaznodzieja, do kazań sumiennie się przygotowywał. Jako skrupulat nie lubił spowiadać. Był skrupulatny w odprawianiu Mszy św. i odmawianiu brewiarza.

Dbał o rozwój Zgromadzenia. On był inicjatorem zakupu domu od Holzapflów i wybudowania nowego obecnego obszernego domu. Przy budowie doglądał wszystkiego sumiennie i na wszystko zwracał uwagę. Często ofiarował własne pieniądze na różne ulepszenia.

Gdy został wybrany na przełożonego, chętnie wybór przyjął, ale nie miał odwagi zwracać uwagi na niedociągnięcia.

Ustawicznie marzył o powrocie do Gostynia, co też nastąpiło w r. 1919 we wrześniu. Kiedy został komisarzem S. S. Służebniczek w Dębicy, oddał się całą duszą staraniom nad rozszerzeniem Zgromadzenia i podniesieniem duchownym. Był lubiany i powszechnie szanowany.

Już od początku roku 1939 chodziły pogłoski, że będzie wojna z Niemcami. Na konferencji Księży Biskupów w Warszawie w lutym 1939 r. otwarcie powiedział J. E. Ks. Prymas Hlond, że w jesieni będzie wojna, co się też stało. Piszący bawił w początkach sierpnia 1939 r. w Gostyniu i tam się dowiedział, że niektórych żołnierzy powołano do czynnej służby.

Dnia 1 września, w czasie rannej medytacji syrena dała znak, że jest nalot. Sądzono, że to próbny - niestety był prawdziwy, gdyż dał się słyszeć

wybuch bomby. Ludzie zgromadzeni na wotywę do Serca P.J. rozeszli się po większej części - wotywy nie było. Naloty się powtarzały, a bomby spadały na dworzec, tor kolejowy i zniszczyły kilka domów w sąsiedztwie toru, a obok tego szpital i dom dla nieuleczalnie chorych ucierpiały częściowo. Ludzie uciekali na wschód masowo. Księża Zgromadzenia zostali na miejscu wraz ze służbą i siostrami i uratowali dom od najazdu.

W czasie ucieczki mieszkali u nas krótko przez noc klerycy, świeccy i zakonni, księża z Krakowa i ludzie świeccy.

Dnia 7 września rano zjechały patrole niemieckie do Tarnowa, a około 10 rano wojsko zajęło miasto i wzięło 2 księży kanoników i 3 świeckich obywateli jako zakładników dla zapewnienia, że nie będzie rozruchów.

Odtąd dochodziły nas smutne wieści o ucieczce i cofaniu się wojsk polskich na wschód, o bitwach szalonych pod Warszawą i Lwowem, ale wysiłki były daremne wskutek zdrad, niedołęstwa wodza i ucieczki rządu do Rumunii i Francji.

Od wschodu uderzyli na Polskę Rosjanie i zajęli wielką część, rozumie się w porozumieniu z Niemcami. Polska straciła chwilowo byt polityczny. W drugiej połowie września rozpoczął się odwrót uchodźców ze wschodu na zachód do opuszczonych miast i wiosek. Znowu u nas mieszkali księża świeccy, zakonni, a na dole w rozmównicach świeccy z bagażami czekali na samochody, które odwoziły bezpłatnie ludzi do domów w Krakowie, na Śląsku, w Poznaniu i t.d.

Jeden z księży, ks. Ferdynand Machay, pracował w szpitalu, ale przez nieostrożne mowy dostał się do więzienia w Tarnowie, a potem w Krakowie, dnia 29 września i przebywał tamże kilka miesięcy. (Został zamordowany w Wiśniczu Nowym dnia 6 czerwca 1940 r. M.S.).

Z ucieczki na wschód wrócił do Tarnowa 28.IX. kleryk W. Wlekliński, a 30 września ks. K. Szeliga.

To tyle odnalezionych zapisków, jedne są zanotowane przez niezidentyfikowanego autora w małym, twardo oprawionym zeszyciku, w którym notowane były odprawiane przez poszczególnych księży intencje fundatorskie, inne są zapisane przez ks. Franciszka Mroza na luźnych kartkach, zachowanych w Kronice Kongregacji z lat 1925-1951. Cenne są też dosyć obszerne i szczegółowe nekrologi, jakie udało się odnaleźć w tarnowskim tygodniku „Pogoń".

oprac. Ks. Mieczysław Stebart COr

Ks. Zbigniew Starczewski COr

Jubileusz 80 – Lecia Koronacji Cudownego Obrazu Matki Bożej Świętogórskiej w Gostyniu i 40 – Lecia Koronacji Matki Bożej Świętorodzinnej w Studziannie zbiega się z Jubileuszem 340 lecia powstania na polskiej ziemi pierwszej Kongregacji Oratorium św. Filipa Neri na Świętej Górze w Gostyniu. Te historyczne wydarzenia skłaniają nas polskich filipinów do wdzięczności wobec Boga za powierzenie, właśnie nam, dwóch znaczących i sławnych Miejsc Świętych – Maryjnych Sanktuariów w Archidiecezji Poznańskiej w Gostyniu i w diecezji radomskiej w Studziannie. Fakt ten, że Boża Opatrzność powierzyła duszpasterskiej opiece filipińskiej te Sanktuaria odzwierciedla bardzo wyraźnie obecność Maryi na drodze duchowej św. Filipa, od niego to Oratorium odziedziczyło szczególne nabożeństwo do Matki Najświętszej, jak świadczą o tym nasze kościoły. Rzymski kościół Santa Maria in Vallicella, gostyńskie i studziańskie sanktuarium, kościół Królowej Świata w Radomiu, świątynia Matki Kościoła w Poznaniu - Świerczewie, tomaszowski kościół Świętej Rodziny z obrazem Studziańskim, potwierdzają tę prawdę. Ojciec Filip często mawiał do swoich synów duchowych: „Synowie moi, miejcie nabożeństwo do Matki Bożej, miejcie nabożeństwo do Maryi; wiem o czym wam mówię. Wiedzcie synowie, i uwierzcie mi, że wiem, iż nie ma dla was lepszego i potężniejszego środka do otrzymania łaski Bożej niż Najświętsza Panna. Aby wejść na drogi ducha i potem na nich trwać, żeby jak najszybciej dojść do doskonałości mówił: konieczne jest nabożeństwo do Najświętszej Dziewicy." (Droga Duchowa 136)

Jubileuszowe uroczystości w naszych filipińskich Sanktuariach Maryjnych w Gostyniu i Studziannie niech stają się dla nas szczególną okazją do wdzięczności wobec Boga i zawierzenia Bożej Matce naszych wspólnot kongregacyjnych, w których Maryjny duch służby i miłości inspiruje naszymi duszpasterstwami.

Ks. Leszek Woźnica COr

80 LECIE
KORONACJI OBRAZ MATKI BOŻEJ ŚWIĘTOGÓRSKIEJ

Dnia 22 czerwca 2003 r. na Świętej Górze w Gostyniu, podczas obchodów 75 – Lecia Koronacji Cudownego Obrazu Matki Bożej, Ks. Abp Stanisław Gądecki, Metropolita Poznański powiedział między innymi: „Myśląc z wdzięcznością o tamtej koronacji gostyńskiej sprzed 75 lat, wyrażamy dzisiaj Duchowi Świętemu podziękowanie za Jego natchnienia z tamtych lat. Za tych, którzy posłuszni Jego głosowi doprowadzili do koronacji Matki Bożej, Róży Duchownej ze Świętej Góry. Za wszystkich, którzy zbiegli się z różnych stron Polski na tamtą koronację. Wyrażamy też naszą szczególną wdzięczność Jezusowi Chrystusowi za to, że możemy żyć i modlić się w obliczu Jego Ukoronowanej Matki, pamiętając o tym, że my sami mamy stać się wspaniałą koroną w ręku Pana".

Ważne to słowa, które rzeczywiście w roku kolejnego Jubileuszu Koronacji każą nam iść do historii naszych praojców, którzy swoimi działaniami doprowadzili do tego błogosławionego wydarzenia. Myślimy tutaj o filipinach z początku XVIII wieku, którzy już wtedy, po koronacji Cudownego Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej w 1717 roku, myśleli i planowali w 1719 roku ukoronować papieskimi koronami Świętogórski Jej Wizerunek. Jednakże wówczas wydatki związane z budową kościoła, wydarzenia wojenne, później czasy zaborów, i w końcu kasata filipinów w 1876 roku nie pozwoliły na realizację zamierzonej ceremonii. Warto tu zauważyć, że przed zamknięciem kościoła i klasztoru przez władze pruskie na jednej z sesji Zgromadzenia w dniu 27 maja 1875 roku złożono ślubowanie, że jeżeli Pan Bóg i Matka Najświętsza pozwolą wrócić filipinom na Świętą Górę, to wówczas dołożą wszelkich starań, aby doprowadzić do uroczystej koronacji. I tak się stało po okresie kasacji, w którym filipini znaleźli miejsce zamieszkania w Tarnowie, właśnie stamtąd przybył w 1919 roku na Świętą Górę wskrzesiciel Kongregacji, ks. Józef Witek, a potem dołączyli inni i wspólnym wysiłkiem doprowadzili do realizacji przedwygnańczego ślubowania. Przystąpiono do wszczęcia procedury prawnej celem wystarania się u Stolicy Apostolskiej pozwolenia na przeprowadzenie koronacji papieskiej Cudownego Obrazu Matki Boskiej Świętogórskiej. A Stolica Apostolska dając pozytywną odpowiedź tak między innymi napisała w Dekrecie Koronacyjnym: „Kapitule naszej, do

której należy zaszczytny przywilej koronowania świętych obrazów Bogarodzicy, czczonych od dawna lub też cudami wsławionych, doniósł niedawno ks. Władysław Służałek M.T. i przełożony Oratorjum św. Filipa Nerjusza na Świętej Górze pod Gostyniem w Polsce, w archidiecezji gnieźnieńsko – poznańskiej, że doznaje tamże szczególniejszej czci bardzo sławny obraz Najświętszej Marji Dziewicy, Pani naszej, obraz malowany na drzewie. Wszyscy mieszkańcy tych, jak również odleglejszych okolic czczą z najgłębszą wiarą i gorliwością ów obraz tak ze względu na kult, w jakim pozostawał od wieków, jak i ze względu na cuda i łaski, jakiemi Dobra Matka darzyła obficie i ustawicznie swych wiernych czcicieli. Z tej przyczyny Wiel. O. Służałek przedłożył nam prośbę, aby cudowny ów obraz przyozdobić złotą koroną, jaką z polecenia naszej kapituły, wieńczy się cudowne obrazy Bogarodzicy. Ponieważ zawsze jak najgorliwiej zabiegamy o cześć Najświętszej Marji Panny, pragnąc, aby Ona wśród wszystkich narodów doznawała wiernej czci i wdzięczności, chętnie ze swej strony przychyliliśmy się do tych próśb. Przeto dnia 11 marca (1928) obecnego roku, zebrani w sali zgromadzeń naszej kapituły stwierdziwszy, że ów obraz posiada wszystkie cechy wymagane do uroczystej koronacji na większą cześć Twórcy Przenajświętszej, ku nowej chwale Najświętszej Marji Panny za jednomyślną zgodą postanowiliśmy i poleciliśmy, aby ów sławny oddawania cudami słynący obraz Najświętszej Marji Dziewicy, pani Naszej, uroczyście ozdobić złotą koroną. Dokonanie aktu koronacyjnego zleciliśmy Tobie, Najdostojniejszy Pasterzu, w dniu, w którym zechcesz i obecnem pismem Tobie tę sprawę zawierzamy. Dajemy Ci również możność powołania do pomocy innych biskupów stosownie do Twego upodobania".

Na mocy powyższego Dekretu dnia 24 czerwca w 1928 roku przy licznie zgromadzonym ludzie z różnych stron Polski oraz biskupów i duchowieństwa (była to pierwsza koronacja na Ziemi Wielkopolskiej) kard. August Hlond dokonał uroczystego aktu koronacji Świętogórskiego Wizerunku, nakładając korony na głowę Dzieciątka Jezus oraz na głowę Matki Najświętszej. W czasie tamtej uroczystości kaznodzieja, bp Karol Radoński, wołał: „Wielka Boga - Człowieka Matko!, Pani Najłaskawsza, oto przed Tobą wierny Twój lud! Przyjmij tę koronę w dowód poddaństwa naszego. Jeśli świat odwraca się od Boga, to my chcemy, aby panował nad nami Syn Twój, Chrystus – Król! Jarzmo Jego przesłodkie z radością bierzemy na siebie. I niech rządzi przez Ciebie, Najdroższa, Ukochana! Chcemy być jak niegdyś ojce wśród narodów świata Twoim narodem mariańskim. Dozwól nam Cię

chwalić, Panno Przenajświętsza, daj nam moc przeciw nieprzyjaciołom Twoim, o łaskawa, o litościwa, o słodka Matko, Orędowniczko, Królowo".

I taką wśród nas pozostała. Przez następne dziesięciolecia związane między innymi z okupacją hitlerowską, gdy Jej Cudowny Wizerunek w podziemiach był skrywany, a cenne korony na Ziemi Opoczyńskiej, i w czasach niewoli komunistycznej, gdy na Świętej Górze Siostry Elżbietanki były więzione, pomimo przeciwności rozmaitych i szykan zawsze tu była, jako nasza Matka i Królowa. Szczęśliwie pozwoliła doczekać też Złotego Jubileuszu Koronacji, dnia 25 czerwca 1978 roku, któremu przewodniczył, dzisiaj Sługa Boży, papież Jan Paweł II, a wtedy jeszcze kardynał krakowski, Karol Wojtyła. Dostojny Celebrans mówił do licznie zgromadzonych, przy nowo wybudowanym ołtarzu polowym, wiernych: „Bądź pozdrowiona… Zdrowaś… Przybyliśmy, ażeby te słowa wypowiedzieć na Świętej Górze Kościoła Archidiecezjalnego Poznańskiego… Aby się przejąć tymi słowami, jak Ona się przejęła… Przybywamy tutaj, ażeby zatrzymać się na tym skupieniu Maryi, przyjmującej słowo, Maryi poczynającej w swym dziewiczym łonie Słowo, Słowo Przedwieczne, Syna Ojca Przedwiecznego. Przyszyliśmy…, aby się skupić… Trzeba takiego skupienia, takiego wejścia w siebie…, ażeby przeżyć siebie, znaleźć odpowiedź na pytanie, kim ja, człowiek jestem? … Prawdy o człowieku można się nauczyć tylko w tym skupieniu Maryi, tylko w skupieniu przed Bogiem…". A za rok, na Placu Zwycięstwa w Warszawie, usłyszeliśmy jakby echo tych słów: „Człowiek nie zrozumie siebie inaczej jak tylko w Chrystusie".

Ubogaceni obecnością kardynała Wojtyły na Złotym Jubileuszu Koronacji wraz z Maryją poszliśmy w dalszą drogę, aby budować nie tylko dzieje Świętej Góry, ale nade wszystko dzieje świętości człowieka, które on tworzy w Bogu zwłaszcza przed Jej Wizerunkiem. Od tamtego Jubileuszu upłynęło następnych 25 lat i znowu obchodziliśmy już 75 - Lecie Koronacji Jej Wizerunku, które powtórnie na Świętej Górze zgromadziły lud Wielkopolskiej Ziemi. Tym razem uroczystościom przewodniczył Ks. Abp Stanisław Gądecki, Metropolita Poznański. On też we wspomnianym i cytowanym we wstępie kazaniu tak powiedział: „Ojciec, Syn i Duch Święty koronują Ją, jako prawowitą Władczynię Wszechświata, Aniołowie składają Jej cześć jako Jej poddani… i Patriarchowie, i Prorocy, i Apostołowie… i Męczennicy, i Wyznawcy, i Dziewice, i Wszyscy Święci… i wszyscy grzesznicy, i ty, i ja".

W duchu tych słów, jako grzeszni stajemy i w 80 Rocznicę Jej Koronacji jeszcze raz Trójcy Przenajświętszej dziękujemy za wielkie dary, jakie Jej ofiarował, a nam przez Jej wstawiennictwo. I Jej dziękujemy, że ciągle wiernie na Świętej Górze nam towarzyszy wpatrując się w nas swoim uważnym wzrokiem i wychowując nas. A także ludziom dziękujemy, którzy na przestrzeni wieków tutaj Jej służyli, i którzy przy różnych okazjach, a zwłaszcza tych koronacyjnych zapalali nas do wielkiej wobec Niej wdzięczności i miłości. Z takimi uczuciami stawmy się na Wzgórze Gostyńskie na kolejny Jubileusz Jej Koronacji i z takimi uczuciami zawsze przed Nią stawajmy.

Ks. Leszek Woźnica COr

Ks. Janusz Drewniak COr

40 LECIE
KORONACJI OBRAZU MATKI BOŻEJ ŚWIĘTORODZINNEJ

Wielki Jubileusz chrztu Polski poprzedzony 9 – cio letnią Nowenną z całym programem duszpasterskiej pracy Prymasa Tysiąclecia kard. Stefana Wyszyńskiego dla Kościoła w Ojczyźnie naszej szczególnie ukazywał rolę Bożej Matki w historii tegoż Kościoła i Jej macierzyńskiej troski o synów i córki – Polaków. W takim klimacie rodziły się plany i zamysły Kustoszy Sanktuarium Matki Bożej Świętorodzinnej w Studziannie, aby poprzez akt Koronacji Cudownego Obrazu dziękować z całym Narodem za 1000 lecie chrześcijaństwa i dar wiary na polskiej ziemi.

Ta myśl o Koronacji Cudownego Wizerunku koronami papieskimi nurtowała Studzińskich Filipinów. Dlatego na sesji generalnej 12 sierpnia 1965 roku Kongregacja Oratorium św. Filipa Neri w Studziannie podjęła decyzję : *„Uchwala się poczynić starania w sprawie Koronacji Cudownego Obrazu Matki Bożej Studziańskiej. Ponieważ w 1968 r. mają być w Diecezji Sandomierskiej Dni Maryjne, dlatego postanawia się, aby podsunąć x. Biskupowi Ordynariuszowi i Kurii sprawę Koronacji na rok 1968”*. A na innej sesji Kongregacja sprecyzowała motywy podjęcia Koronacji, a mianowicie:, *”że ma to być akt wdzięczności za powrót do starej Siedziby po latach wygnania, za ustawiczną opiekę Maryi, zwłaszcza w okresie 40 – lecia drugiego już pobytu (1928-1968), za opiekę i ocalenie ludu Studzińskiego i Zgromadzenia podczas ostatniej wojny (1939-1945)*.

W uroczystość św. Filipa 1966 r. na odpust zjechali do klasztoru goście. Kapłani specjalnie zaproszeni, aby omówić sprawy koronacyjne. Wśród

uczestników tego odpustowego spotkania byli: duszpasterze, księża kanonicy z Tomaszowa Mazowieckiego, z Wolborza, z Opoczna, ojcowie kapucyni z Nowego Miasta, z Mogielnicy oraz inni duszpasterze z okolicznych parafii. Po wspólnej modlitwie w kościele Studzińscy Kustosze przedstawili zaproszonym gościom zamierzenia i starania o dokonanie Koronacji Cudownego Obrazu Matki Bożej Świętorodzinnej. Od tego dnia coraz częściej dyskutowano, podejmowano różne plany związane z Koronacją Pani Studziańskiej. Dla Filipinów Studzińskich było wiadomym, że tak dom kongregacyjny, jak i kościół, i cała parafia Studziańska wymaga odpowiedniego przygotowania i podejmowania szereg inwestycji niezbędnych do przeprowadzenia i godnego przeżycia uroczystości koronacyjnych. Potrzeba było również przygotować odpowiednie dokumenty, opracowania świadczące o ciągłości kultu, o doznawanych łaskach i dobrodziejstwach uzyskiwanych za pośrednictwem Matki Boskiej Studziańskiej. W tym celu duszpasterze Studzińskiego Sanktuarium zaapelowali do wiernych, aby zgłaszali nadzwyczajne przypadki ingerencji Matki Bożej Studziańskiej w ich życie. Kilkanaście osób złożyło oficjalnie takie zeznania dotyczące świadectw nagłego odzyskania wzrok, wyleczenia dziecka z padaczki, wyproszenie daru macierzyństwa itp.

Zasadniczym i fundamentalnym wymogiem, zgodnie z ówczesnym Prawem Kanonicznym i Prawem Kościoła, w ubieganiu się o Koronację na Prawie Papieskim potrzebne było opracowanie studium historyczno – teologicznego dotyczącego dziejów i teologii Cudownego Obrazu. Pracę tę podjął Ks. Władysław Nater COr, który przez 75 dni dokonywał kwerendy historycznej, opracowując na 145 stronicach maszynopisu zatytułowanego: „Miraculosa Imago Sanctae Familiae sive Beatissimae Deipare «Sacrofamiliaris» in villa Studzianna – Sanctuarium” (Cudowny Obraz Świętej Rodziny, czyli Matki Boskiej Świętorodzinnej w osadzie Studzianna – Poświętne). To opracowanie obejmowało 4 działy: Historia Cudownego Obrazu, dzieje Kultu, cuda i łaski za przyczyną Cudownego Obrazu, obszerne przypisy, tłumaczenia itp.

Dnia 9 maja 1967 roku do Studzianny przybył administrator apostolski diecezji sandomierskiej, Ksiądz Biskup Piotr Gołębiowski. Po dłuższej modlitwie przed Obliczem Świętorodzinnej Matki spotkał się z Księżmi Filipinami, aby omówić sprawy przyszłej Koronacji Cudownego Obrazu. Jako gospodarz diecezji zapoznał się dokładnie z terenem otaczającym Sanktuarium, zainteresował się planowanymi pracami i inwestycjami, tak

w kościele, jak i w klasztorze, a także z żywym zainteresowaniem podejmował decyzje o potrzebie ufundowania koron, nowych sukienek dla obrazu, a także o wykonanie ogniotrwałej kasety dla Cudownego Obrazu. Ponadto zapoznał się z pracą Ks. Władysława Natera COr uwzględniającą wnioski, petycje skierowane do Rzymu w sprawie Koronacji. W czasie tej historycznej rozmowy został podjęty również temat tak bardzo przyziemny, a konieczny, jakim był problem finansowy – materialny. W tym celu Ksiądz Biskup wystosował odezwę i zarządził zbiórkę w diecezji na potrzeby organizacji uroczystości koronacyjnej w Studziannie. Wyraził także zgodę , aby Księża Filipini podjęli pracę kaznodziejską i informacyjną w parafiach diecezji i dokonywali zbiórki ofiar na ten cel. Do pracy tej włączyli się również filipini polscy, którzy przygotowywali w ten sposób duchowo lud na dzień Koronacji.

Ówczesny przełożony kongregacji O. Superior Jerzy Lewicki wraz z Księdzem Biskupem - administratorem diecezji ostatecznie ustalili datę koronacji wybierając na tę Uroczystość niedzielę po Uroczystości Wniebowzięcia NMP 18 sierpnia 1968 r. .Ks. bp Piotr Gołębiowski zobowiązał się zaprosić jako głównego koronatora Prymasa Polski Księdza Kardynała Stefana Wyszyńskiego a także wielu innych biskupów, których wykaz zamieszczamy na końcu.

W Uroczystość św. Filipa Neri 26 maja 1967 roku została skierowana oficjalna prośba do Stolicy Apostolskiej wraz z dokumentami i łacińskim opracowaniem autorstwa Ks. Władysława Natera COr o pozwolenie na koronowanie obrazu Matki Bożej Studziańskiej „koronami papieskimi".

Dnia 7 września w wigilię Narodzenia NMP Ksiądz Prymas Kardynał Stefan Wyszyński otrzymał prośbę, zbiór dokumentów – wniosków, o koronację do przekazania Stolicy Apostolskiej.

W kongregacji studziańskiej podjęto intensywne przygotowania tak z punktu widzenia duszpasterskiego, jak i materialno – organizacyjnego. Zostały stworzone zespoły robocze, komisje, które w zakresie swoich kompetencji rozpoczęły działanie. Dla pełniejszej orientacji podaję, że zostały utworzone komisje: liturgiczna, porządkowa, kwatermistrzowska, techniczna, sanitarna, artystyczna, informacyjno – propagandowa, muzyczno – wokalna oraz aprowizacyjna. W stosunkowo małej wspólnocie studziańskiej każdy z kapłanów włączył się w nurt prac przygotowawczych. Z pomocą przyszły również polskie wspólnoty kongregacyjne delegując kapłanów, kleryków i braci do wyznaczonych zadań.

Wybór miejsca dla ołtarza koronacyjnego i placu dla pielgrzymów, uwzględniając realia Studzińskie, nie był łatwy. Jednakże w miesiącach letnich w 1967 roku ostatecznie dokonano wyboru tak ważnej lokalizacji, i tak na szerokiej przestrzeni sadu klasztornego i otaczającego pola umieszczono ołtarz wsparty na południowej stronie muru przykościelnego. W założeniach samo podium ołtarzowe zaplanowano dla 600 osób.

Sam Cudowny Obraz Matki Bożej Świętorodzinnej wymagał odpowiedniego przygotowania, stąd zrodziła się wątpliwość w gronie kapłanów studziańskiej kongregacji. Czy usunąć sukienki, które dotąd zdobiły obraz i ukazać tak, jak to ma miejsce w obrazie gostyńskim, samą treść ikonograficzną? Czy dla celów dewocyjnych pozostawić sukienki? Ostateczną decyzję w tym względzie podjęto, by ufundować nowe sukienki na Cudowny Obraz. Pani prof. Irena Lorentowicz z Warszawy na prośbę Kongregacji Studziańskiej przygotowała projekt nowych sukienek a siostry Westiarki z Warszawy zrealizowały ten projekt wykonując wspaniałe dzieło sztuki dla Cudownego Obrazu.

Pierwotnie zadecydowano, by dotychczasowe korony z obrazu Studziańskiego zostały tylko oczyszczone, natomiast nową koronę dla Matce Bożej ufundował Ks. Kan. Piotr Dębowski proboszcz w Kunicach. Obraz Cudowny otrzymał nową kasetę pancerną i artystycznie wykonaną zasłonę z herbem filipińskim a także zainstalowano nowy napęd elektryczny dla odsłaniania i zasłaniania obrazu.

Dla bliższego zapoznania wiernych diecezji sandomierskiej ze Świętym Miejscem Studziańskiego Sanktuarium ks. Władysław Nater COr opracował czytanki majowe oraz wiele artykułów do czasopism religijnych. Ponadto przygotował montaże słowno – muzyczne i poezję maryjną konieczną na samą uroczystość koronacyjną.

W I niedzielę adwentu 3 grudnia 1967 roku został odczytany list pasterski Biskupa Piotra Gołębiowskiego skierowany, tak do Kongregacji, jako i parafian studziańskiej wspólnoty. Było to swoiste preludium pełne pasterskiej troski zapraszające do udziału w uroczystościach koronacyjnych. Cała diecezja sandomierska i sąsiadujące regiony diecezji warszawskiej, łódzkiej żyły zbliżającą się Koronacją w Studziannie. Od początku nowego 1968 roku coraz to bardziej gorączkowa atmosfera budzi zapał i pełne zaangażowanie Księży Kongregacji i ludzi pomagających w przygotowaniu kościoła i klasztoru na tę wyjątkową uroczystość. Podjęto prace elewacji kościoła, rozpoczęto prace niwelacji terenu i wybudowanie nowych schodów

– gradusów przed kościołem. Prace w otoczeniu kościoła rozpoczęto jesienią 1967 roku, jednakże ówczesne władze powiatowe wstrzymały je. Dopiero wiosną 1968 roku, dzięki wielu zabiegom, uzasadnieniom i naciskom, pozwolono kontynuować rozpoczęte prace i uporządkować teren przed kościołem.

Należy wspomnieć również o trudnościach i sytuacjach nerwowych, które towarzyszyły przygotowaniom do tej niecodziennej uroczystości. Kongregacja w czerwcu 1968 roku zmuszona była wymówić pracę ekipie murarzy z Warszawy, którzy bardzo niedbale wykonywali prace elewacyjne. W ostateczności dokończyli te prace murarze z niedalekiego Białaczowa. Entuzjazm, ofiarność, gotowość pomocy, radość towarzyszyły wszystkim zaangażowanych w prace organizacyjne – przygotowawcze.

Wielki wkład w sprawy dekoracyjne, artystyczne, a także bardzo istotne zajęcia prac kulinarnych podjęły się Siostry NMP Niepokalanej z prowincji katowickiej i wrocławskiej, także siostry Służki z Mariówki oraz Siostry Wspólnej Pracy z Inowłodza. Zadecydowano wówczas, że miejscem uroczystego posiłku będzie prowizorycznie stworzony „refektarz" dla 600 osób w ogrodzie klasztornym, który będzie odpowiednio zadaszony i ozdobiony.

Jako Kustosze Studzińskiego Sanktuarium w ostatnich tygodniach i dniach poprzedzonych samą uroczystość czuliśmy ogromne zmęczenie, ale też i wielką radość mobilizującą nas do jak najlepszego przygotowania i przeżycia Uroczystości Koronacji Cudownego Obrazu naszej Matki Świętorodzinnej. Mobilizacja całej parafii, współbraci z polskich domów filipińskich oraz samej kongregacji studziańskiej wydała dobre i radosne owoce, i przeżycia tej historycznej uroczystości.

W piątek 16 sierpnia 1968 roku w Sanktuarium Studziańskim odbył się wielki zjazd – pielgrzymka Sióstr Zakonnych pod przewodnictwem Ks. Bpa Bronisława Dąbrowskiego z Warszawy. Medytacje, konferencje w tym dniu głosił Ks. Olgierd Kokociński COr, przełożony polskich filipinów. Ten dzień stał się szczególną okazją do wspólnej modlitwy osób zakonnych, by sama uroczystość koronacyjna stała się rzeczywistą manifestacją wiary i odnowieniem moralnym, duchowym Ludu Bożego. Fundamenty zostały położone. Modlitwa, ofiary, wyrzeczenia, poświęcenia wydały plon stokrotny.

W sobotę 17 sierpnia w przeddzień Uroczystości Koronacyjnej od wczesnych godzin rannych nadciągali pielgrzymi w zorganizowanych grupach i pojedynczo, nie tylko z diecezji ale z całej bliższej i dalszej okolicy;

ze wszystkich dróg, wozami, rowerami, samochodami ciężarowymi, motocyklami , a także pociągiem do Radzic (4 pociągi na dobę bardzo wolno około 40 km na godzinę przewoziły pielgrzymów wypełniających nie tylko wagony, ale i na stopniach, na buforach, w ogromnym ścisku), aby tylko dojechać i uczestniczyć w tej wyjątkowej Uroczystości. Około godz. 16.00 przybył do Studzianny Biskup Piotr Gołębiowski, gospodarz i administrator apostolski diecezji. Towarzyszył mu Biskup Lucjan Bernacki z Gniezna. Popołudniowe Uroczystości inaugurował Pasterz Sandomierskiej Diecezji celebrując Nieszpory i głosząc kazanie do zgromadzonych już tłumów w kościele. O godz. 18.00 w kościółku św. Józefa odbyło się nabożeństwo różańcowe, a następnie została odprawiona Msza św. żałobna za fundatorów, dobrodziejów, budowniczych, pielgrzymów i duszpasterzy, którzy od początku na Świętym Miejscu w Domu Matki Świętorodzinnej Studziannie gromadzili wiernych. W godzinach wieczornych przy ołtarzu koronacyjnym odbyła się adoracja Najświętszego Sakramentu pod przewodnictwem superiora gostyńskiego ks. Józefa Jury COr, syna parafii studziańskiej.

O północy z 17/18 sierpnia 1968 roku rozdzwoniły się dzwony i zaczęła się formować procesja z Cudownym Obrazem, który miał być wyniesiony na ołtarz koronacyjny. Niestety pogoda pokrzyżowała plany. Bardzo rzęsisty deszcz uniemożliwił procesyjne wyjście z Obrazem do ołtarza polowego. Wobec tej sytuacji pod przewodnictwem Ks. Bpa Piotra Gołębiowskiego w kościele została odprawiona pasterka Maryjna, w czasie której kazanie wygłosił Ks. Bp Jan Zaręba z Włocławka.

Około godz. 2.00 Ks. Władysław Nater COr odczytał historyczny Dekret Prymasa Prażmowskiego z 1671 roku stwierdzający cudowność Studzińskiego Obrazu i świętość miejsca.

O godz. 6.00 uformowała się ponownie procesja pod przewodnictwem Arcypasterza Diecezji Sandomierskiej Bpa Piotra Gołębiowskiego i przeniesiono Obraz Pani Studziańskiej na podium ołtarza koronacyjnego, przy którym rozpoczęto sprawowanie Uroczystych Mszy św.. Msze te kolejno sprawowali Księża Biskupi: Lucjan Biernacki z Gniezna; Bogdan Sikorski z Płocka, Abp Antoni Baraniak Metropolita Poznański; Bp Jan Mazur z Lublina. Pielgrzymi całą ławą napływali wprost ze wszystkich stron do Sanktuarium. Samych samochodów naliczono pod 10.000. Dziewięćdziesięciu kapłanów na placu koronacyjnym wokół kościoła, a także i w samym kościele pełnili posługę w konfesjonałach. Około 40 tysięcy rozdano w samym tzw. „wieczerniku" Komunii św.

Główna Uroczystość Koronacyjna rozpoczęła się o godz. 11.00. Ponad 200 tysięczna rzesza wiernych wraz z kapłanami, duszpasterzami, których około 500 przybyło na tę uroczystość, witało dostojnych przedstawicieli Episkopatu Polski pod przewodnictwem Kard. Stefana Wyszyńskiego Prymasa Polski i Kard. Karola Wojtyły Metropolity Krakowskiego. Po krótkiej adoracji w świątyni uformował się procesyjny orszak do ołtarza koronacyjnego. Przy dźwiękach orkiestry z Toszka i śpiewu wiernych, kardynałowie, arcybiskupi i biskupi kroczyli do ołtarza, na którym odbywała się Uroczystość Koronacyjna.

Wciąż jeszcze żywe w pamięci są entuzjastyczne, potężne śpiewy, różnobarwne stroje regionalne, a także purpury i fiolety, habity i sutanny, oryginalne kornety sióstr zakonnych, odświętny strój przedstawicieli senatów katolickich uczelni, rozmaitość sztandarów, chorągwi, feretronów wśród wyszukanych rekwizytów, emblematów procesyjnej parady tworzyło niezapomnianą atmosferę pełną dostojeństwa, radości, opromienioną blaskiem słońca. Kiedy dostojnicy Kościoła wstępowali na podium ołtarza zabrzmiały instrumenty a zjednoczone chóry z Radomia, Opoczna, Studzianny odśpiewały potężne „Tu es Petrus". Przedstawiciele parafii Studzińskiej: ojców, matek, dzieci, młodzieży witali dostojnych gości; w imieniu Kongregacji Oratorium św. Filipa Neri słowo powitania wypowiedział Ks. Olgierd Kokociński z Tarnowa, na samym końcu witał zgromadzonych gości i wszystkich pielgrzymów Pasterz Kościoła Sandomierskiego Biskup Piotr Gołębiowski. Witał wszystkich z namaszczeniem i widocznym wzruszeniem, odczytał także telegram Ojca Świętego Pawła VI skierowany do wszystkich uczestników Koronacyjnej Uroczystości w Studziannie.

Nastąpił kulminacyjny punkt Uroczystości – Koronacja Cudownego Obrazu. Intradę koronacyjną na tę uroczystość skomponował prof. Stefan Wrocławski z Radomia, a słowa ułożył studziański duszpasterz Ks. Władysław Nater COr. Gdy umilkły instrumenty i chóry, do Cudownego Obrazu Matki Świętorodzinnej zbliżył się Kardynał Stefan Wyszyński, Kardynał Karol Wojtyła i Biskup Piotr Gołębiowski. Ksiądz Prymas poświęcił korony na głowę Dzieciątka i Matki Najświętszej oraz tzw. „klementynkę" na głowę św. Józefa. Przy dźwiękach fanfar z wielkim majestatem i namaszczeniem Ks. Kard. Prymas nałożył korony na głowę Matki Bożej i Dzieciątka Jezus oraz „klementynkę" na głowę św. Józefa. Ten gest powtórzyli współkoronatorzy po czym Ks. Kard Wojtyła wypowiedział nakładając koronę na głowę Bożego Dzieciątka te słowa: „Jak przez ręce nasze jesteś

koronowany na ziemi, tak od Ciebie zasłużyliśmy otrzymać korony czci i chwały w niebie". Kołpak na głowę św. Józefa nałożył Ks. Bp Piotr Gołębiowski i przy śpiewie tradycyjnej pieśni Studzińskiej: „Witaj Studziańska, Matko Jedyna" zgromadzeni pielgrzymi, dostojni goście wpatrywali się w Cudowny Obraz Bożej Matki Studziańskiej. Po dokonaniu aktu Koronacji Kustosze Studzińskiego Sanktuarium Księża Filipini wobec przedstawicieli Episkopatu Polski i zgromadzonych tłumów, pielgrzymów złożyli uroczyste przyrzeczenie wiernego strzeżenia powierzonego przez Opatrzność Bożą skarbu jakim jest Cudowny Obraz. Wspólne gromkie odśpiewanie „Te Deum Laudamus" – „Ciebie Boga wysławiamy" skierowane zostało ku Bogu. Uroczystą Msze św. kontynuował dostojny Celebrans Kard. Karol Wojtyła a kazanie wygłosił Prymas Polski Kardynał Stefan Wyszyński. Zatytułował to kazanie: „W pielgrzymim hołdzie Najświętszej Rodzinie". Główne tematy poruszane w czasie kazania to: rodzina i Kościół na straży istnienia Narodu; niebezpieczeństwa grożące rodzinie polskiej; w obronie nienarodzonych; nadzieje na przyszłość.

Po uroczystej sumie pontyfikalnej ks. bp Piotr Gołębiowski Pasterz diecezji oddał w opiekę Matce Bożej Świętorodzinnej wszystkie rodziny diecezji i całej okolicy. Na zakończenie wspólną modlitwą „Boże coś Polskę" zgromadzony wielotysięczny tłum polecał Bożej opiece umiłowaną Ojczyznę.

W godzinach popołudniowych przy ołtarzu koronacyjnym odbyło się szczególne nabożeństwo para liturgiczne: „Hołd składamy Świętej Rodzinie" w wykonaniu grup z parafii koneckiej, radomskiej, nowomiejskiej, opoczyńskiej i studziańskiej. Ostatnią w tym dniu uroczystą Mszę św. sprawował i kazanie wygłosił przełożony polskiej rodziny filipińskiej Ks. Olgierd Kokociński COr.

Zakończył się ten wielki dzień na stałe wpisany w historię Sanktuarium i Filipinów Studzińskich, a nade wszystko w serca ludu, tak licznie zgromadzonego na Świętym Miejscu w Studziannie.

Wciąż żywe pozostają w pamięci ogromne tłumy ludzi wielki entuzjazm, łzy, oddanie, powtórzone sceny z przeszłości - leżenie krzyżem, postawę pełną dziecięcej wiary, żarliwie rozmodlone wargi, cierpliwe czekanie w ciżbie, w długich kolejkach do konfesjonału, zapatrzone w obraz oczy starców i dzieci, mężczyzn i kobiet, dumnie wpatrzone oblicza młodych ludzi. Dostrzegało się lud wyczekujący bez skargi wielkiej chwili, zachowujący karność wśród niewygód, deszczu, tłoku, w bezsenności na klęczkach, w rozmodleniu i rozśpiewaniu, bez złośliwych uwag, awantur

czy pijaństwa. Przy niewątpliwym wielkim wkładzie pracy oficjalnych i ochotniczych ekip porządkowych odczuwało się jakąś niewidzialną opiekuńczą rękę Matki. W tym cichym zwykle zakątku Studziańskim, ogarniętym nagle nieoczekiwaną falą pielgrzymów, z ich potrzebami i rozgwarem była to manifestacja bijącego ciągle żywym rytmem serca Matki Bożej Studziańskiej jednoczącej wszystkich i gromadzących przy swym łaskami słynącym Obrazie.

W tym klimacie odczuwało się swoisty renesans kultu Pani Studziańskiej, zdynamizowanie duszpasterskiej posługi i życia religijnego w całej parafii. Tak bardzo chciało się wtedy wołać: chwilo, trwaj wiecznie. Matko uczyń, aby te dni, które przeżywaliśmy w czasie Twej Uroczystości Koronacyjnej stały się rzeczywistością następnych dni, miesięcy i lat.

Dla duszpasterzy Kustoszów studziańskiego Sanktuarium, szczególnie po złożeniu przyrzeczenia, rozpoczął się czas wytężonej pracy i czujności o rozgrzane wiarą i miłością serca tych, którzy przybywają do Studziańskiego Sanktuarium. Nie można spocząć na laurach, nie można tylko żyć wspomnieniami i pochlebnymi opiniami wywołanymi entuzjazmem Koronacyjnych przeżyć. O tym świadczy nadsyłana ze wszystkich stron do Studziannej korespondencja, dziękczynienie ze strony duchowieństwa i różnych sfer życia społecznego. Szczególnie zobowiązujące pozostały dla nas słowa pełne troski i wdzięczności Biskupa Piotra Gołębiowskiego, który wystosował w miesiąc po Koronacji specjalny list dziękczynny odczytany wiernym w niedzielę września 1968 roku.

Odtąd co roku odprawiana jest Nowenna do Świętej Rodziny w kolejne rocznice Koronacji. Poszukiwano i nadal poszukuje się nowych form dla ożywienia życia duszpasterskiego, religijnego wiernych i pielgrzymów, którzy nie tylko w warszawskiej pielgrzymce zatrzymują się w gościnnych progach Domu Matki Studziańskiej, ale i przybywają przy różnych okazjach w grupach zorganizowanych, pielgrzymkowych jak również i indywidualnie. Wszyscy czują się zaproszeni do stołu, gdzie Ona Matka usługuje i wskazuje na swego Syna, Chrystusa. Niech wspomnienie tamtych dni ożywia wszystkich przybywających do Studzianny, a Stróżom Filipinom Studziańskim niech dodaje sił tamto zobowiązanie wypowiedziane przed 40 laty, by czynić wszystko, aby chwała Boga i cześć Matki Najświętszej rozbrzmiewała dziś w Bazylice Studzińskiej, a nade wszystko w sercach tak kapłanów, jak i ludu wciąż wiernego i potrzebującego właściwej radosnej opieki duszpasterskiej.

KSIĘŻA BISKUPI UCZESTNICZĄCY W UROCZYSTOŚCI KORONACYJNEJ:

1. *Ks. Prymas Polski Kardynał Stefan Wyszyński*
2. *Ks. Kard. Karol Wojtyła – Kraków*
3. *Ks. Abp Antoni Baraniak – Poznań*
4. *Ks. Bp Jerzy Ablewicz – Tarnów*
5. *Ks. Bp Bogdan Sikorski – Płock*
6. *Ks. Bp Jan Mazur – Lublin*
7. *Ks. Bp Antoni Pawłowski – Włocławek*
8. *Ks. Bp Jan Zaręba – Włocławek*
9. *Ks. Bp Franciszek Jop – Opole*
10. *Ks. Bp Ignacy Tokarczuk – Przemyśl*
11. *Ks. Bp Jan Fądaliński – Łódź*
12. *Ks. Bp Zygfryd Kowalski – Pelplin*
13. *Ks. Bp Józef Kurpas – Katowice*
14. *Ks. Bp Aleksander Mościcki – Łomża*
15. *Ks. Bp Wacław Skoromucha – Siedlce*
16. *Ks. Bp Jan Obłąk – Olsztyn*
17. *Ks. Bp Walenty Wójcik – Sandomierz*
18. *Ks. Bp Piotr Gołębiowski – Gospodarz Miejsca*

Ks. Jakub Przybylski COr

ŚWIĘTA GÓRA
POMNIKIEM HISTORII PREZYDENTA RP

W grudniu 2006 roku przygotowywałem wniosek do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego o dofinansowanie prac związanych z remontem dachu na budynku klasztoru na Świętej Górze. Czytając regulamin Programu Operacyjnego Dziedzictwo kulturowe zwróciłem uwagę na kryteria, które są brane pod uwagę w przyznawaniu dotacji. Jednym z nich jest uznanie obiektu zabytkowego za Pomnik historii Prezydenta RP. Wcześniej słyszałem, że szczególnie wartościowe zabytki architektury są na tej zaszczytnej „liście prezydenckiej". Pomyślałem, dlaczego Święta Góra – perła polskiego baroku – nie mogłaby o taki tytuł się ubiegać? Poszedłem z tą myślą do Ojca Superiora i przedstawiłem sprawę. Przełożony zareagował z bardzo wielkim zainteresowaniem i poinformował mnie, że Pomnikami historii są rzeczywiście najcenniejsze obiekty w Polsce, ale jeszcze nie otrzymała takiego tytułu żadna świątynia na terenie Archidiecezji Po-

znańskiej, a w Wielkopolsce są tylko dwa Pomniki historii – Katedra w Gnieźnie oraz Biskupin. Tego popołudnia jeszcze długo rozmawialiśmy o naszym wspólnym marzeniu, przy kawie i słodyczach, analizując czy uda się nam tę sprawę pomyślnie sfinalizować. Superior mówił o pięknie świętogórskiej architektury, o bezwzględnie oczywistej kwalifikacji naszego filipińskiego dziedzictwa, ja o procedurach i legislacji. Postanowiliśmy rozpocząć pracę. Zostałem oddelegowany do prowadzenia tej sprawy. Jak się później okazało, warto było tego zadania się podjąć.

***

NOBILITACJA I NAJWYŻSZA FORMA OCHRONY PRAWNEJ W POLSCE

Zgodnie z ustawą z dnia 23 lipca 2003 roku o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami (Dz.U. 2003 nr 162 poz. 1568) istnieją następujące formy ochrony zabytków: 1) wpis do rejestru zabytków, 2) uznanie za pomnik historii, 3) utworzenie parku kulturowego, 4) ustalenie ochrony w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego. Zwykłą formą ochrony prawnej obiektu jest wpisanie go do rejestru zabytków. Takich zabytków mamy w Polsce 62. 878, z czego 11.760 to kategoria obiekty sakralne (stan krajowej ewidencji i rejestru zabytków na 31 grudnia 2007). Najwyższą formą ochrony prawnej zabytków w Polsce jest uznanie za Pomnik historii Prezydenta RP. Obiekty szczególnie wartościowe wpisywane są na listę prezydencką począwszy od 1994 roku, na mocy ustawy jeszcze z 15 lutego 1962 r. O randze i prestiżu włączenia do tej grupy obiektów świadczy także ich liczba. W skali kraju mamy zaledwie 33 Pomniki historii Prezydenta RP. Objęcie tym tytułem stanowi więc wielką nobilitację dla obiektu, gdyż ukazuje jego szczególną wartość jako świadka dziejów narodu, symbolu przeszłości i duchowego dziedzictwa. Z tego powodu Pomniki historii są zgłaszane do Międzynarodowego Rejestru Dóbr Kulturalnych Objętych Ochroną Specjalną na podstawie konwencji o ochronie dóbr kulturalnych w razie konfliktu zbrojnego, podpisanej w Hadze 14 maja 1954 roku.

Do tej pory za Pomnik historii Prezydenta RP uznano między innymi następujące prestiżowe obiekty w Polsce: Biskupin - rezerwat archeologiczny, Warszawa - historyczny zespół miasta z Traktem Królewskim i Wilanowem, Częstochowa - Jasna Góra, Frombork - zespół katedralny, Gniezno - katedra p.w. Wniebowzięcia NMP i św. Wojciecha, Kalwaria Zebrzydowska - krajobrazowy zespół manierystycznego parku pielgrzymkowego, Kazimierz Dolny, Kraków - historyczny zespół miasta, Krzeszów - zespół dawnego opactwa cystersów, Leżajsk - zespół klasztorny oo. Bernardynów, Łańcut - zespół zamkowo - parkowy, Toruń - Stare i Nowe Miasto, Wieliczka - kopalnia soli, Zamość - historyczny zespół miasta w zasięgu obwarowań XIX wieku. Warto wiedzieć, że na terenie Wielkopolski są tylko dwa Pomniki historii (Katedra w Gnieźnie i Biskupin). Oba obiekty uzyskały ten tytuł w 1994 roku, a więc 14 lat temu! Nominacja zespołu bazyliki i klasztoru na Świętej Górze stanowi na tym tle pewien przełom w strategii ochrony dziedzictwa kulturowego Wielkopolski.

Tytuł Pomnika historii upoważnia do ubiegania się o umieszczenie obiektu na Liście Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO. Wymaga to jednak opracowania planu strategicznego dla rozwoju Pomnika historii i złożenia stosownego wniosku do Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Ten z kolei może zgłosić kandydata do umieszczenia na tzw. międzynarodowej Liście Informacyjnej, która jest etapem do włączenia do UNESCO. Czas oczekiwania na tej Liście to minimum 1,5 roku.

Uznanie za Pomnik historii Prezydenta RP, a tym bardziej perspektywa umieszczenia na Liście UNESCO stanowi wyższą formę ochrony prawnej, daje możliwość promocji zabytku poprzez umieszczenie informacji w albumach, przewodnikach turystycznych i mapach oraz ułatwia otrzymanie dotacji na prace konserwatorskie i projekty o charakterze kulturalnym i społecznym realizowane na terenie Pomnika historii.

ŚWIĘTA GÓRA SPEŁNIA WSZELKIE KRYTERIA

Ubieganie się o tytuł Pomnika historii jest dla wnioskodawcy okazją, aby zobiektywizować dotychczasową wiedzę w odniesieniu do obiektu, podsumować wieloletnią pracę związaną z utrzymaniem i promocją zabytku oraz zyskać większe społeczno - kulturalne znaczenie. Istnieje szereg szczegółowych kryteriów, jakie musi spełniać obiekt kandydujący do odznaczenia. Zabytki nieruchome muszą:

- prezentować wybitne walory architektoniczne,
- stanowić przykład nowatorskich bądź unikatowych rozwiązań budowlanych i inżynierskich,
- być jednorodne stylowo lub o czytelnych i zharmonizowanych ze sobą nawarstwieniach,
- zawierają wybitny artystycznie wystrój i elementy wyposażenia związane historycznie z obiektem

We wniosku, który dla Kongregacji przygotowywali Teresa Palacz i Krzysztof Jodłowski z Regionalnego Ośrodka Badań i Dokumentacji Za-

bytków w Poznaniu, zostało zamieszczone wielostronicowe uzasadnienie, którego fragment niech stanowi potwierdzenie walorów Świętej Góry:

Zespół klasztorny Kongregacji Oratorium św. Filipa Neri w Gostyniu - Głogówku spełnia wszystkie kryteria stawiane obiektom proponowanym do uznania za pomnik historii. Wysoka klasa architektoniczna zespołu, z kościołem klasztornym na czele, jak również poziom artystyczny jego wystroju i wyposażenia nakazuje uznać, iż jest to obiekt o znaczeniu ponadregionalnym. Podziw dla architektury świątyni jako pierwszy, jeszcze przed jej ukończeniem wyraził biskup poznański Hieronim Wierzbowski, który podkreślił, iż zbudowano ją „w stylu niepospolitym i starożytnym, ale ozdobnym, któremu podobnego nie masz w naszych stronach". Obok wartości artystycznych zespół posiada duże wartości historyczne i naukowe.

Znaczenie Świętej Góry dla polskiego dziedzictwa kulturalnego jest niezaprzeczalne. Utrwalona w świadomości społecznej jako z jednej strony - centrum życia religijnego, najważniejsze sanktuarium maryjne w Wielkopolsce, z drugiej - wysokiej klasy zabytek - stanowi ona cel licznych pielgrzymek i znaczący punkt na turystycznej mapie kraju.

Od czasu swego powstania zespół filipiński stanowi inspirację dla kolejnych pokoleń. Podejmowane są jego badania naukowe, prowadzi się prace zmierzające do zachowania obiektów dla przyszłości. Sanktuarium jest miejscem, gdzie prowadzona jest nie tylko ożywiona działalność duszpasterska, ale podejmuje się też szeroką działalność społeczną oraz kulturalną. Od kilku lat działa Stowarzyszenie Miłośników Świętogórskich Zabytków oraz Stowarzyszenie Miłośników Muzyki Świętogórskiej im. Józefa Zeidlera.

Trzeba podkreślić, że uznanie za Pomnik historii to podsumowanie pracy wielu pokoleń kustoszy Świętej Góry i dopełnienie faktu podniesienia Bazyliki Świętogórskiej, jako jedynej świątyni w Archidiecezji poza Katedrą Poznańską, do godności Bazyliki Mniejszej w 1971 roku. Bez wysiłku podejmowanego przez dziesięciolecia w dziedzinie rozszerzania kultu religijnego, promocji, wielu publikacji książkowym i CD/DVD oraz troski o znacznie i aktywność społeczną, wreszcie bez troski o stan zachowania zabytku - z pewnością do nadania tego zaszczytnego tytułu by nie doszło. Ważnym argumentem przemawiającym za uznaniem Świętej Góry za Pomnik historii jest wyjątkowa w skali kraju oferta kulturalna, jaką stanowi działalność Stowarzyszenia Miłośników Muzyki Świętogórskiej im. Józefa Zeidlera, które przywraca do życia muzycznego dzieła znajdujące się

w klasztornej bibliotece. Festiwal Muzyki Oratoryjnej *Musica Sacromonata* staje się bowiem coraz bardziej rozpoznawalnym wydarzeniem w skali kraju, a to jest szczególnie spójne ze Strategią Rozwoju Kraju w zakresie polityki kulturalnej.

SKOMPLIKOWANE PROCEDURY

Zgodnie z aktualnie obowiązującym prawem, Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej na wniosek Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego może uznać jakiś obiekt architektoniczny za Pomnik historii. Procedura wygląda w ten sposób, że administrator zabytku przygotowuje odpowiedni wniosek, zgodnie z kryteriami i wytycznymi opracowanymi przez Krajowy Ośrodek Badań i Dokumentacji Zabytków. Wniosek zawierający szczegółowy opis historyczny, konserwatorski oraz uzasadnienie wraz z dołączonymi kilkoma tomami dokumentacji fotograficznej składa się do Departamentu Ochrony Zabytków w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Po wstępnej analizie formalnej i na wniosek Generalnego Konserwatora Zabytków trafia on pod obrady Rady Ochrony Zabytków i jeśli uzyskuje aprobatę rozpoczyna się dalsza procedura legislacyjna. Dokumentacja dotycząca Świętej Góry została złożona w marcu 2007 roku i została pozytywnie zaopiniowana w dniu 13 maja 2007 roku. Następnie KOBiDZ rozpoczął przygotowanie projektu rozporządzenia Prezydenta RP (tekst rozporządzenia, uzasadnienie, mapa sytuacyjna z granicami, itd.). Kolejnym etapem jest przedstawienie projektu w Kancelarii Prezydenta, gdzie musi on zyskać akceptację Biura Kultury, Nauki i Dziedzictwa Narodowego oraz ostateczny kształt, aby następnie można było przekazać rozporządzenie do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w celu uzyskania kontrasygnaty Premiera. Ostatnim krokiem procedury jest podpis Prezydenta RP i publikacja rozporządzenia w Dzienniku Ustaw.

Tak skomplikowana procedura wynika z faktu, że uznanie przez Prezydenta RP obiektu za Pomnik historii jest wysokiej rangi dokumentem państwowym i rzeczywistą nobilitacją dla zabytku w skali kraju.

WIELKIE ZOBOWIĄZANIE

Otrzymanie tego nobilitującego tytułu jest nie tylko podsumowaniem tego, co dotychczas uczyniono dla Świętej Góry, ale to także zobowiązaniem na przyszłość. Nie chodzi tylko o dążenie do umieszczenia obiektu na Liście UNESCO. Przede wszystkim Pomnik historii Prezydenta RP musi tętnić

życiem. Chodzi o stworzenie szerokiej oferty kulturalnej, o rozwój domu rekolekcyjnego z nowymi propozycjami w odniesieniu do duchowości filipińskiej. Święta Góra musi stać się jeszcze bardziej aktywnym centrum duchowości. Bezwzględnie konieczne jest także powstanie infrastruktury turystyki pielgrzymkowej oraz oznakowanie dróg wiodących do Gostynia z umieszczeniem tablic informacyjnych o zabytkach architektury, itd.

Dla kustoszy ten zaszczytny tytuł to wielka dziejowa szansa i tym samym bardzo poważne wyzwanie. Dla Federacji Kongregacji Oratorium Świętego Filipa Neri w Polce powodem do chluby, że Zgromadzenie posiada tak wspaniały obiekt. Warto dostrzec także i to, że wraz z przypadającą w tym roku 340. rocznicą powstania pierwszej Kongregacji św. Filipa Neri w Polsce, wzrasta w nas także świadomość, że Oratorium z całym swoim bogactwem duchowym i materialnym współtworzy nasze dziedzictwo narodowe. Cieszy fakt, że zostało to dostrzeżone przez obiektywnych ekspertów i najwyższe władze państwowe.

* * *

Po wielu miesiącach oczekiwania wraz z Superiorem i całą Wspólnotą możemy z radością uczynić podsumowanie**.** Decyzja w sensie merytorycznym już zapadła. Święta Góra będzie Pomnikiem historii Prezydenta RP. Rada Ochrony Zabytków jednogłośnie pozytywnie zaopiniowała wniosek Kongregacji Świętogórskiej. W chwili, gdy piszę te słowa rozporządzenie w sprawie Świętej Góry jest już pewnie gotowe i, czekając na podpis, leży na biurku Prezydenta RP. Zwyczajowo 18 kwietnia, podczas Światowego Dnia Ochrony Zabytków odbywa się wręczenie rozporządzenia.

Kiedy nadejdzie ten dzień, będzie można złożyć wspólne dziękczynienie Bogu przez ręce Matki Najświętszej za przeobfite dziedzictwo, które przed 340 laty zostało zapoczątkowane na polskiej ziemi przez Adama Konarzewskiego i ks. Stanisława Grudowicza i dziś jest w naszych rękach jako nasze wspólne zadanie - kończy ostatnią Sesję Generalną Ks. Superior Zbigniew Starczewski, w czasie której Wspólnota została poinformowana o pozytywnym finale naszej sprawy.

Ks. Jakub Przybylski COr

Wojciech Czemplik

I FESTYN MAJOWY
I BICIE REKORDU GUINNESSA NA ŚWIĘTEJ GÓRZE

Stowarzyszenie Miłośników Muzyki Świętogórskiej im. Józefa Zeidlera w Gostyniu zaprasza na I Festyn Majowy, który odbędzie się 1 maja 2008 roku na Świętej Górze w klasztorze Księży Filipinów. Przygotowywana przez nas „majówka" będzie propozycją kulturalną skierowaną do wszystkich, którzy chcieliby cały dzień spędzić w pięknym otoczeniu naszej wspaniałej bazyliki. W święto świętego Józefa – patrona rodziny i cieśli, będzie sporo atrakcji, koncertów, pokazów i oczywiście obok tego, co dla duszy, także to, co dla ciała.

W ramach festynu będzie miało miejsce niecodzienne wydarzenie muzyczne - uroczysty koncert z udziałem najwybitniejszych artystów grających na pile muzycznej, nazywanej również piłą śpiewającą. Przy akompaniamencie kwartetu smyczkowego „Capitol" z Wrocławia muzycy zademonstrują olbrzymie możliwości tego instrumentu i jego wszechstronne wykorzystanie od muzyki poważnej, przez kabaret do muzyki rozrywkowej. Swój udział zapowiedzieli mistrz świata w grze na tym instrumencie Wojciech Słuchań, wicemistrz świata Petr Dopita (Czechy) oraz gwiazda kabaretu z Niemiec, Katharina Bek. Szczególnym momentem tego wieczoru będzie próba bicia rekordu Guinnessa w zespołowej grze równoczesnej wszystkich artystów grających na pile. Stowarzyszenie jako organizator tego przedsięwzięcia zyskało już certyfikat Kapituły Księgi Rekordów Guinnessa w Londynie (nr 211038, *Largest Musical Saw Ansamble*). Wspólnie wykonana będzie pieśń „Po górach dolinach". W niecodzienny sposób rozpoczniemy więc maryjny miesiąc maj. Lista osób bijących rekord Guinnessa otwarta będzie aż do dnia koncertu. Zapraszamy więc wszystkich chętnych do wzięcia udziału.

* * * * * * *

Historia piły muzycznej może sięgać czasów narodzin Chrystusa. Być może wtedy św. Józef, jako cieśla z zawodu, uderzając młoteczkiem w metalowy przedmiot podobny do dzisiejszej piły usypiał małego Jezusa. Chociaż nie wspomina o tym Ewangelia, wśród grających na pile muzycznej krąży takie przekonanie. Piła muzyczna nazywana również piłą śpiewającą pochodzi z rodziny instrumentów perkusyjnych, stąd pierwotnie technika grania na tym instrumencie polegała na uderzaniu w piłę, która przy

równoczesnym uginaniu wydawała przedziwne dźwięki. Jim Leonard z USA podaje, że na początku XIX wieku może w górach Appalachach, może w lasach Ameryki południowej, a może w Skandynawii, robotnicy leśni odkryli możliwość zastosowania tego narzędzia w muzyce. Piła, przeciągając po niej smyczkiem i wprowadzając w wibrację, przypomina piękny kobiecy głos. Jej muzyczne możliwości zależą oczywiście od rodzaju stali, której użyto jako materiału. Może to być stal wysokogatunkowa, a mistrzowie używają nawet instrumentów pozłacanych. Pierwsza fabryka zajmująca się produkowaniem pił śpiewających powstała w USA w 1921 roku. Firma ta o nazwie Mussehl & Westphal w latach 20-tych produkowała na amerykański rynek muzyczny 30.000 sztuk rocznie! Charlie Blacklock jest chyba jednym z najstarszych żyjących artystów tego gatunku. Ten 90-letni muzyk jest prezydentem Saw Players Association, czyli stowarzyszenia muzyków grających na pile śpiewającej. Lata 20-te XX wieku to rozkwit zainteresowań tym instrumentem. Marlene Dietrich w musicalu „Brodway Berlin" z 1928 roku dawała popis swoich możliwości na pile. Dziś ponownie piła przeżywa swój renesans. Takie firmy jak Sandwick ze Szwecji, Parkstone z Anglii, czy Feldmann z Niemiec, mają w ofercie piły grające w skali od 2 do 2,5 oktaw. Piła muzyczna jest wykorzystywana m. in. w muzyce folklorystycznej, kabaretowej, czy też poważnej.

* * * * * * *

Poniżej przedstawiam program I Festynu Majowego i serdecznie zapraszam wszystkich Księży i Braci Filipinów z całej Polski wraz ze swoimi parafianami na majówkę do Gostynia.

I FESTYN MAJOWY

DZIEŃ ZE ŚWIĘTYM JÓZEFEM -PATRONEM CIEŚLI, DRWALI I LUDZI LASU

BICIE REKORDU GUINNESSA

W ZESPOŁOWEJ GRZE NA PILE MUZYCZNEJ

GOSTYŃ – ŚWIĘTA GÓRA, 1 MAJA 2008 ROKU

Program:

Godz. 9.00 – 13.30	JADŁO DRWALA - *Teatr Kulinarny z Słupska i Koło Gospodyń Wiejskich ze Smogorzewa.*
Godz. 11.00	Przyjazd i rejestracja uczestników TURNIEJU DRWALI

Godz. 12.00	Msza Święta w Bazylice w intencji cieśli, drwali i ludzi lasu (oprawa muzyczna Zespół Sygnalistów „DARZ BÓR" – Msza Święta Hubertowska według Reinholda STIEFA)
Godz. 13.00	Poświęcenie bryczek i powozów konnych UROCZYSTA PARADA wokół Bazyliki Świętogórskiej
Godz. 13.30-14.00	JADŁO DRWALA - finał *Teatru Kulinarnego* WSPÓLNY POSIŁEK Koncert Świętogórskiej Orkiestry Dętej
Godz. 13.00-18.00	KONKURS WIEDZY O LESIE (nagrody – sadzonki drzew) TURNIEJ DRWALI (Nadleśnictwo Piaski) „Z lasu do filharmonii" – czyli jak powstają skrzypce (pracownia lutnicza Krzysztofa Draba, koncert kwartetu smyczkowego - korytarz klasztorny) WYKONANIE PIŁĄ MOTOROWĄ RZEŹBY JÓZEFA ZEIDLERA Henryk Grudzień (artysta rzeźbiarz, Strzelce Krajeńskie)
BLOK DLA DZIECI –	spotkanie z iluzjonistą Jerzym Strzeleckim, bezpłatna nauka gry na pile, spektakl „Pioseneczki na smuteczki" i inne Prezentacja sygnałów myśliwskich – Zespół Sygnalistów „DARZ BÓR" WIELEBNY BLUES – koncert bluesowy
Godz. 18.30	Nabożeństwo Majowe – Bazylika
Godz. 19.00	Msza Święta w intencji Józefa Zeidlera, patrona Stowarzyszenia Miłośników Muzyki Świętogórskiej – Bazylika
Godz. 20.00	OD MOZARTA DO BEATLESÓW - koncert na piłach muzycznych Katharina Bek (Niemcy); Petr Dopita (Czechy); Wojciech Suchań (Polska, Mistrz Świata w grze na pile muzycznej);Valery Filipov (Ukraina) Towarzyszenie - kwartet smyczkowy CAPITOL (Wrocław)

BICE REKORDU GUINESSA w zespołowej grze na pile muzycznej
Wspólne wykonanie pieśni maryjnej „Po górach dolinach"

prowadzenie – Piotr Bałtroczyk (Warszawa)

W czasie festynu będą czynne stoiska z napojami, słodyczami, kawą i herbatą.

Organizatorzy:

Kongregacja Oratorium Świętego Filipa Neri w Gostyniu:
63-800 Gostyń, Głogówko 15, tel. 065 572 0014, www.filipini.gostyn.pl
***Nadleśnictwo Piaski**:*
63-820 Piaski, ul. Drzęczewska 1, tel. 0655739080,
http:piaski.lasypanstwowe.poznan.pl
***Stowarzyszenie Miłośników Muzyki Świętogórskiej im. Józefa Zeidlera**:*
63-800 Gostyń, Głogówko 15, www.jozefzeidler.eu

Osoby do kontaktu:

***Informacje ogólne:** ks. Jakub Przybylski COr, mobile: 601 057 131, e-mail: japrzyb@wp.pl*
***Sprawy organizacyjne:** Leszek Jankowski, mobile: 602 821 159l, e-mail: lj@interbit.pl*
***Sprawy muzyczne, artystyczne i bicie Rekordu Guinnessa:** Wojciech Czemplik, mobile: 600 220 658; e-mail: wojtekczemplik@poczta.onet.pl*
***Sprawy leśne i drzewne**: Nadleśnictwo Piaski - Tomasz Kwieciński, mobile: 601 148 2; e-mail: t.kwiecinski@poznan.lasy.gov.pl*

Ks. Jakub Przybylski COr

III FESTIWAL MUZYKI ORATORYJNEJ MUSICA SACROMONTANA 2008

Bogate dziedzictwo muzycznego archiwum Świętej Góry staje się z roku na rok coraz bardziej znane światu muzycznemu za sprawą Festiwalu Muzyki Oratoryjnej *Musica Sacromontana*. Cieszy fakt, że ta forma oratoryjnego duszpasterstwa się rozwija i jest zauważana i doceniania przez szerokie już grono melomanów, ludzi kultury i media. Świadczy to o zapotrzebowaniu na tego rodzaju koncerty i zainteresowaniu naszą przeszłością i tradycją muzyczną. Dowodem tego są liczne wyróżnienia, jakie otrzymują organizatorzy, miedzy innymi Srebrny Mikrofon Radia Merkury w Poznaniu oraz nominacja pofestiwalowej płyty do Fryderyka 2008 – nagrody Polskiej Agencji Fonograficznej.

Świętogórski festiwal oratoryjny jest wydarzeniem dobrze przygotowanym pod względem organizacyjnym i posiada wysokie walory artystyczne. Dzieje się tak za sprawą samej muzyki, która jest przywracana do życia koncertowego, wysokiej klasy wykonawców, a przede wszystkim przez zobowiązanie, jakie wynika z misji Stowarzyszenia Miłośników Muzyki Świętogórskiej im. Józefa Zeidlera. Jest nią ewangelizacja przez szeroko pojętą kulturę, wyrastająca z charyzmatu Oratorium. W tym kontekście kulturalna propozycja, jaką jest festiwal stanowi ogromną szansą promocji nie tylko samego miejsca, ale także duchowości św. Filipa. W zamierzeniu organizatorów, *Musica Sacomontana* ma być oratoryjnym świętem całej Federacji Kongregacji Św. Filipa Neri w Polsce. Z tego powodu warto o festiwalu mówić i zaplanować jesienne spotkanie w Gostyniu.

Postanowiliśmy, że będzie stała data Festiwalu Muzyki Oratoryjnej *Musica Sacromontana* – zawsze ostatni weekend września i pierwszy weekend października. W tym roku przypada to 27-28 IX i 4-5 X 2008.

Bardzo serdecznie zapraszam wszystkich Współbraci na Świętą Górę na nasz oratoryjny festiwal. O ile to możliwe, proszę informować ludzi objętych duszpasterstwem, zwłaszcza wtedy, gdy Współbracia otrzymają afisze drogą pocztową w połowie sierpnia.

Liczę na pomoc, zainteresowanie i obecność na festiwalu przedstawicieli wszystkich Kongregacji w Polsce, gdyż mam głębokie przekonanie, że promocja naszej tradycji muzycznej jest promocją naszej duchowości, naszego Zgromadzenia i szczególnym dopełnieniem tego wszystkiego, co

Współbracia czynią w swoich duszpasterstwach, aby oddziaływać przez szeroko pojętą kulturę.

PROGRAM

SOBOTA, 27.09.2008 r., godz. 20:30
Wolfgang Amadeusz Mozart – *Missa in D*
Opera sacra (spektakl operowy)
Wykonanie: **Orkiestra Filharmonii Poznańskiej im. Tadeusza Szeligowskiego**
Dyrygent: **Marek Pijarowski**

NIEDZIELA, 28.09.2008r., godz. 18.30
Ariel Ramirez „Missa Criola" [*Msza Kreolska*, 1964]
wykonawcy Chór Politechniki Gdańskiej pod dyr. Mariusz Mroza
Zespół Sierra Manta
Krzysztof Pelech – gitara

KAPELA ŚWIĘTOGÓRSKA (LITURGIA NIEDZIELNA O GODZINIE 12.00)

SOBOTA – 04.10.2008r., godz. 20:30
Józef Zeidler – *Nieszpory Vesperae Ex C*
Józef Zeidler – *Veni Creator Spiritus*
Józef Zeidler – *Pastorella Ex G*
Utwory ze zbiorów świętogórskich
Wykonanie: **Polska Orkiestra Radiowa oraz Chór Polskiego Radia**
Dyrygent: **Łukasz Borowicz**

NIEDZIELA – 05.10.2008r., godzina 18:30
Ludwig van Beethoven – *V Symfonia (w 200 lecie pierwszego wykonania)*
Maksymilian Koperski – *Missa in D*
Wykonanie: **Orkiestra Akademii Beethovenowskiej**
Chór Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego
Dyrygent: **Marcin Nałęcz-Niesołowski**

JUBILEUSZ 50 – LECIA KAPŁAŃSTWA KS. MARIANA GOSY COR

Obecny rok 2008 przeżywany w świętogórskiej Wspólnocie kongregacyjnej można wprost nazwać rokiem wielkich i małych jubileuszy. W 1040 rocznicę powstania pierwszej polskiej diecezji w Poznaniu wpisuje się 340 rocznica powstania pierwszej polskiej Kongregacji Oratorium św. Filipa Neri w Gostyniu. 80 - lecie Koronacji Matki Bożej Świętogórskiej w Gostyniu; 40 - lecie Koronacji Matki Bożej w Studziannie oraz kilka innych jeszcze jubileuszy, które zainteresowanych mobilizują do wdzięcznej modlitwy przed Bogiem. W ten klimat Jubileuszy wpisuje się Jubileusz 50 - lecia kapłaństwa Ks. Mariana Gosy COr, który urodził się 18 września 1934 roku w Brudzewicach - parafia Studziańska. Po szkole średniej - Liceum Ogólnokształcącym w Gostyniu, gdzie przebywał, jako konwiktor w klasztorze, wstąpił 28 maja 1953 roku do Kongregacji Oratorium św. Filipa Neri na Świętej Górze. Studia filozoficzno - teologiczne odbywał w Wyższym Seminarium Duchownym w Tarnowie. W Uroczystość Świętych Apostołów Piotra i Pawła dnia 29 czerwca 1958 roku w katedrze tarnowskiej otrzymał święcenia kapłańskie z rąk Ks. Biskupa Karola Pękali, sufragana tarnowskiego.

Po święceniach kapłańskich rozpoczął pracę duszpasterską na Świętej Górze w Gostyniu, a w szczególności pracę rekolekcyjno - misyjną. Przy boku wybitnych misjonarzy, rekolekcjonistów filipińskich takich jak: ks. Leopold Rachwał, ks. Olgierd Kokociński, ks. Jan Rataj, ks. Michał Smagacz zdobywał szliwy rekolekcjonisty, misjonarza, który na przestrzeni wielu lat kapłańskiej, kaznodziejskiej posługi przemierzał niemalże całą Polskę wzdłuż i w szerz. Nadmienić trzeba również fakt wielkiego zaangażowania Ks. Mariana Gosy w prace administracyjno - ekonomiczne domu świętogórskiego. Podejmował wiele inwencji duszpasterskich, sanktuaryjnych, opracował szereg kazań, przemówień wydanych w skryptach, maszynopisach a także i pozycjach książkowych.

Trudno w tym krótkim biogramie zawrzeć całość 50 letniej kapłańskiej posługi Ks. Jubilata Mariana Gosy dlatego razem z Nim pragniemy dziękować Bogu za dar kapłaństwa, za Jego posługę świadczoną na różnych odcinkach realizacji filipińskiej pracy.

Niech uroczystość Jubileuszowa, którą przeżywać będziemy w bazylice Świętogórskiej w liturgiczne Święto Apostołów Piotra i Pawła stanie się wspaniałą okazją do dziękczynienia Bogu i Matce Najświętszej za łaski i dary udzielane Dostojnemu Jubilatowi.

Ks. Zbigniew Starczewski COr

Ks. Kazimierz Sierpowski

WSPOMNIENIA KONWIKCIARZA
1945 - 1948

We wrześniu 1945 roku, po powrocie z wygnania, mimo że byliśmy potrzebni w gospodarstwie, wszyscy wyruszyliśmy do szkół. Ja z moim młodszym bratem Michałem, aby nie jeździć kolejką z Domachowa do Gostynia, zamieszkaliśmy w Konwikcie prowadzonym przez Księży Filipinów, stąd codziennie maszerowaliśmy do Gimnazjum gostyńskiego często ze śpiewem. Młodszy brat Janek skorzysta z Konwiktu nieco później, kiedy przekształci się już w internat. Atmosfera przez pierwsze trzy lata powojenne była trochę zbliżona do przedwojennej, wszystko zaczęło się psuć po 1948 roku, kiedy nastały czasy tzw. stalinowskie, które trwały do 1956 roku. Zlikwidowano wszelkie niezależne organizacje i partie. Całe życie zostało podporządkowane urzędowi bezpieczeństwa tzn. U.B.

Księża Filipini od prawie trzystu lat prowadzili dla chłopców z całej Polski coś więcej niż internat, była to szkoła połączona z wychowaniem przyszłych obywateli Rzeczpospolitej. Konwikt prowadzony przez Zgromadzenie Księży Filipinów nawiązywał do tego, który istniał już w XVII i XVIII wieku i do założonej przez nich przyklasztornej szkoły. Po wojnie usiłowano nawiązać do historii i swej chlubnej tradycji. Znalazło w nim miejsce wielu z rodzin przed wojną ziemiańskich, którzy po wojnie stracili wszystko i Konwikt stał się dla nich azylem. Można więc było w nim spotkać dwóch Radziwiłłów, jednego Potockiego, Małachowskiego, Stablewskiego, Morsztyna, Pileckiego, Dziębowskiego, Gładysza i innych. Trzymali się nieco z boku, chociaż niektórzy szli z prądem zapisując się do takich organizacji jak: OMTUR. Inną grupę tworzyli chłopacy z tak zwanych dołów społecznych, byłych pańszczyźnianych chłopów jak: Wolny, Kałmuczak, Markowski, Drewniak itp., Po wojnie nastąpiło wymieszanie i większe wyrównanie szans dla wszystkich.

My zdobywaliśmy wiedzę w świeckiej, ogólnokształcącej szkole. Po odbudowie Gimnazjum założonego przez ks. Olejniczaka, przenieśliśmy się z prowizorycznych pomieszczeń do nowego odbudowanego gmachu. Na frontonie budynku widniał napis „Bogu i Ojczyźnie Odrodzonej”, co nie spotkało się z aprobatą nowych władz, dlatego w okresie stalinowskim napis został usunięty. Jak już wspomniałem codziennie w szeregach maszerowaliśmy ze Świętej Góry , najczęściej śpiewając „Hej tam z góry”,

a potem przez całe miasto ze śpiewem różnych patriotycznych pieśni. W święta państwowe w mundurach i ze sztandarem drużyny. Większość z nas tworzyła bowiem drużynę harcerską, której drużynowym był Henryk Ostach, późniejszy kapłan i twórca Centrum Apiterapii w Kamiannej, odznaczony „Orderem Orła Białego”, a opiekunem duchowym, o pseudonimie „Czarny Kruk”, ks. Olgierd Kokociński. Pamiętam jak raz cała drużyna, ubrana w harcerskie mundurki, ze sztandarem maszerowała do miasta na jakąś narodową uroczystość. W pewnej chwili ktoś zaintonował „Marsz, marsz Polonia, nasz dzielny narodzie...”, wywołało to niezłą awanturę, Wojciech Pilecki, który jako chorąży niósł sztandar, na znak protestu, rzucił go na ziemię, dowodząc, że dopuszczono się profanacji narodowego hymnu, za ten czyn stanął do raportu i musiał się gęsto tłumaczyć. Harcerstwo jako organizacja samokształceniowa wywierała duży wpływ na samowychowanie. Drużyna podzielona na zastępy, poprzez zdobywanie różnych sprawności budziła zainteresowanie światem i miała wpływ na całe życie.

Ksiądz Olgierd Kokociński był opiekunem Konwiktu, często narzekał na bóle żołądka, podejrzewając u siebie raka, ale miał żyć jeszcze długo. Chłopacy byli w Niego zapatrzeni, był dla nich autorytetem, w refektarzu siadał u szczytu stołu i zawsze coś ciekawego opowiadał. Pewnego razu mówił o swoich wrażeniach z lotu samolotem z Poznania do Warszawy. Obok niego siedział jakiś dyrektor lecący ze Szczecina, ale co chwila wyciągał torebkę, bo mu się robiło niedobrze. Na pytanie dlaczego podróżuje samolotem odparł: „wolę przez dwie godziny lecieć do Rygi niż przez dwa dni jechać do Warszawy”. Mieszkałem w jednym pokoju z Henrykiem Ostachem, Marianem Sobczykiem, późniejszym pallotynem, proboszczem kościoła Pallotynów w Poznaniu i misjonarzem w Rwandzie. Był jeszcze czwarty Władysław, nazwiska już nie pamiętam, który później został nauczycielem. W 1946 r. pod przewodnictwem opiekunów, ks. Kokocińskiego i ks. Rataja, odbyliśmy pełną wrażeń wyprawę, zwiedzając Częstochowę, na Śląsku kopalnię, hutę, fabrykę nawozów. Wiele atrakcji doznawaliśmy w chorzowskim parku rozrywki. W Krakowie Wawel, Sukiennice z muzeum, kościół Mariacki i całe miasto. Była to bardzo pouczająca i interesująca wyprawa. Aż dziw, że nam na to pozwolono, po 1948 roku było by to nie do pomyślenia.

Z księży wspominam zawsze pogodnego i oczytanego księdza Rataja, który próbował pomagać ks. Kokocińskiemu; księdza Szczerbińskiego

o słabym wzroku, dziś wiem co było tego powodem sam cierpiąc na to samo, wydawał się surowy, budząc respekt; księdza Zgamę zajmującego się pasieką; księdza Rachwała pamiętałem jeszcze z czasów wojny, jak w tarnowskiej katedrze wygłaszał płomienne kazania, które ściągały tłumy wiernych, mówiono, że po wojnie ukrył się u Filipinów prześladowany przez UB. Księża konwikciarze to: ks. Władysław Nater, który w czasie wojny otrzymał święcenia i obchodził swoje Prymicje w Tarnowie w otoczeniu wysiedlonych do tego miasta; Wichłacz, nie pamiętam imienia; wspomniany Henryk Ostach; Małachowski; Mroczek; Jura Józef i jego młodszy brat; Marian Sobczyk; Nagel; Tadeusz Neumann. W cieniu konwiktu wyrośli Zygmunt i Marian Zielińscy, jako, że ich ojcem był kościelny klasztornego kościoła, a także piszący te wspomnienia.

Z gostyńskich profesorów pamiętam dyrektora Gruchałę, który choć niskiego wzrostu odznaczał się dużą energią, dzięki niej gostyńskie gimnazjum zostało dość sprawnie odbudowane. Jego żona uczyła języka francuskiego. Przeniesieni zostali później do Piły, gdzie też trzeba było budować. Pani profesor Kaczmarska polonistka, dawała przykład pobożności. Natomiast postrachem młodzieży był uczący łaciny profesor Rybski.

Konwiktowa brać miała swój plan zajęć, który regulowały dzwonki na budzenie się, mycie, posiłki, odrabianie lekcji, modlitwę, Mszę św., rekreację. Wszystko to, z chłopaków przyjeżdżających z różnych stron Polski, potrafiło wytworzyć dość zintegrowaną grupę, która bez zewnętrznych nacisków potrafiła kierować się jakimiś wartościami. Wyszło z tej grupy, jak widzieliśmy, wielu wartościowych ludzi tak świeckich jak i kapłanów. Niestety po rozwiązaniu Konwiktu przez władze komunistyczne młodzież uległa rozproszeniu. Rozpoczął się okres stalinowski, w którym wszystko, a zwłaszcza kształcenie młodzieży musiało być pod ścisłą kontrolą. Grupa moich kolegów i ja, po zdaniu „małej matury" czyli ukończeniu Gimnazjum, przenieśliśmy się do Liceum, do Krotoszyna.

Ks. Kazimierz Sierpowski

OPRACOWANIA

Antonio Cistellini COr

SONETY ŚW. FILIPA NERI

Pośród niewielu pism św. Filipa Neri są wymienione trzy sonety, dzięki którym także on został zaliczony do poetów swojego czasu. Członek Akademii „Arcadia" G. M. Crescimbeni (1663-1728) wręcz utrzymuje, że Filip był pierwszym, po reformie poezji w języku potocznym, dokonanej przez Bembo i przez innych, który poetycko opracowywał „zagadnienia teologiczne, z tym samym wykwintnym smakiem, z jakim tematy platońskie traktował wielki Petrarka". *Commentari intorno alla storia della volgar poesia* (v. 10, lib. IV, c. 15). To, że ojciec Filip rozkoszował się układaniem wierszy, nie było rzeczą, na którą by zwracano jakąś szczególną uwagę: wszyscy, w środowisku kościelnym i szkolnym, w jakiś sposób pisali poezje. A nawet wiadomo, że od początku tego wieku w klasztorach i w seminariach, w szkołach i kolegiach, było powszechne ćwiczenie poetyckie, zarówno jako praktyka szkolna, jak i jako przyjemność i rozrywka. Zatem Filip pisywał poezje, i to, jak inni, z wielkim i spontanicznym zapałem. Maffa, który był tak blisko niego, utrzymywał, że Ojciec, „oprócz znajomości literatury pięknej w języku potocznym, także lubił pisać improwizowane wiersze" *Processo,* II, 88. I to nie tylko w wieku młodzieńczym, jak twierdził Capecelatro. Maffa jeszcze zapewniał, że nieomal w przeddzień wyboru Klemensa VIII (30.I.1592), w odpowiedzi na sonet Giovanniego Angela Papio (1515-1595), który poetycko wzywał go do modlitwy o dobry wybór, Ojciec odpowiedział mu innym sonetem, w którym przepowiadał wybór papieża Klemensa. Tamże 92.

Ze stowarzyszenia oratorianów nie tylko Filip był poetą. Na przykład, pochodzący z Arezzo Fausto Roselli (+ 1589), młody kapłan z pierwszego naboru, przez antonomazję był nazywany „poetuńciem". Wierszokletą był także o. Giovan Francesco Bordini, autor zbioru dystychów na cześć Sykstusa V; i, niejako w współzawodnictwie z nim, Giovenale Ancina, wszechstronny i oryginalny talent, którego poetycka działalność nie zawsze spotykała się z aprobatą Ojca. Właśnie stało się tak, że Ojciec nie pozwolił, aby skomponowana także przez Ancinę pieśń z dźwięcznych heksametrów na cześć Papieża, posłana do Rzymu w pięknie oprawionej i ozdobionej książeczce, dotarła do adresata. Autor się z tego powodu zupełnie nie obu-

rzył; wprost przeciwnie, okazał bardzo piękny dowód cnoty, przyjmując zakaz z pokornym spokojem ducha, a nawet z wyraźnymi uczuciami synowskiego posłuszeństwa. Jego wartość poetycka została jednak uznana przez Arcybiskupa Neapolu, który powierzył mu skomponowanie hymnów dla odprawiania nabożeństw ku czci św. Januarego i Towarzyszy męczenników. Kiedy indziej, jeszcze jako rekonwalescent po bardzo ciężkiej chorobie, z Neapolu wysłał swoje sonety w hołdzie dla pani Lavinii della Rovere, całkowicie oddanej Vallicelli, ale ojciec Filip interweniował wyperswadowaniem mu tej działalności literackiej, według niego, szkodliwej dla zdrowia. „Ponieważ, jak ojciec wie - przesłał mu zalecenie za pośrednictwem o. Fedeli 27 października 1589 roku -, poezja jest męcząca i w konsekwencji nie może przyczynić się do powrotu do zdrowia, produkując melancholijny nastrój i inne szkody, które rzeczony Ojciec poznał u wielu, którzy oddawali się podobnym zajęciom, do tego jeszcze uważa on, że szkodzi to, lub przynajmniej wcale nie pomaga, ich duszy, mimo, że układają wiersze w sprawach dobrych i duchowych". ACN, 163.3, 36; SFN, I, 653.

Z trzech sonetów, które są przypisywane Filipowi, tylko jeden - „Se l'anima ha da Dio l'esser perfetto..." - został opublikowany na końcu „Żywota" Bacciego jako autentyczny. Oryginalny autograf znajduje się na odwrocie listu Elżbiety do brata, z 5.IX.1581. Pozostałe dwa sonety są napisane po obydwu stronach małej kartki; w nagłówku jest napis: *Di Mr. Filippo del Nero*, podczas gdy w nagłówku drugiego inni napisali: *Del Padre Filippo Nerio*. Czyżby obydwa miały należeć do syna Barona del Nero, Filipa, jak sądzą Ponnelle i Bordet? Jednakże byłoby tu wymagane dokładniejsze badanie pisma, które nie różni się od pisma ojca Filipa. Kartka ta, oprawiona w ramki, wisi na ścianie w pokoju Świętego na Vallicelli.

Tłum. x MS

(Rozdział z książki: San Filippo Neri, Gli Scritti e le Massime, a cura di Antonio Cistellini d. O., Editrice La Scuola, Brescia 1994, ss. 183-184).

Uwaga

Poniżej przytaczamy trzy sonety św. Filipa, po raz pierwszy i chyba jedyny, przetłumaczone literacko na język polski. Zupełnie przypadkowo natrafiono na nie w znajdującej się w archiwum Kongregacji w Tarnowie kronice kleryckiej z lat 1953-62. Sonety są napisane na maszynie na dwóch cienkich kartkach, wklejonych do kroniki. Pod nimi została zapisana uwaga: „Przekład powyższych sonetów znaleziono w jednym z życiorysów św. Filipa w bibliotece XX. Filipinów w Tarnowie, dnia 10. III. 1959 r.". Wielkie dzięki należą się ówczesnemu kleryckiemu kronikarzowi za uratowanie tych kartek.

Autorem przekładu jest pisarz i publicysta, autor wielu powieści, Jerzy Bandrowski (1883-1940), brat znanego pisarza Juliusza Kadena Bandrowskiego. Studiował slawistykę i filozofię na UJ i w uniwersytecie w Pradze. W latach 1915-19 przebywał w Rosji, był współorganizatorem Dywizji Syberyjskiej i wiceprezesem Polskiego Komitetu Wojennego. Po powrocie mieszkał we Lwowie, a następnie w Poznaniu, skąd został przez Niemców wysiedlony i przeniósł się do Krakowa.

Nie wiemy, kto, kiedy i na jakiej zasadzie zlecił mu tłumaczenie tych sonetów i prawdopodobnie pozostanie to tajemnicą na zawsze. W każdym razie język tłumaczenia zdaje się wskazywać mniej więcej na początek XX wieku.

TRZY SONETY ŚW. FILIPA NERJUSZA FLORENTCZYKA

Tłumaczył Jerzy Bandrowski

I

Se l'anima ha da Dio l'essere perfetto...

Jeśli dusza od Boga ma swą doskonałość,
Będąc, jak jest, stworzona w jednem okamgnieniu,
Nie zaś dzięki rozlicznych przyczyn współpłynieniu,
Jakżeby ją pęt śmierci wiązać mogła małość?
A przecie patrz: Nadzieja, żądza, radość, żałość,
Tak ją oszołomiły w jej ciemnem więzieniu,
Że, choć czuje, nie widzi Tego w swem omdleniu,
Którego widok sam już daje szczęścia trwałość.
Jakże mogą te nędze burzyć się zuchwale

Przeciw wyższej istocie, łamać jej rozkazy?
Ona ma słuchać - one panować wspaniale?
I jakiego to lochu tak ją wiążą głazy,
By nie mogła, frunąwszy przez tłum gwiazd na niebie,
Żyć wiecznie tylko w Bogu, umarłszy dla siebie?

II

Amo, e non posso amarvi...

Kocham cię i nie mogę nie kochać, tak mocna
Jest miłość ma i takie ogromne pragnienie,
By nastało zupełne nasze zjednoczenie,
Bym ja w Tobie, Ty we mnie rozpłynął się do cna.
Przecie chciałbym doczekać, kiedy ciemność mocna
Pierzchnie, kiedy wypuści mnie srogie więzienie,
Gdy szalone i ślepe minie odrętwienie
I wygnańca pochłonie kraina północna.
Śmieje się ziemia, niebo, przestworze i drzewa,
Ucichły dzikie burze, śpią spokojnie fale,
Słoneczko przenajzłotsze rozkosznie przygrzewa,
A ptaszkowie świegocą wdzięcznie: - Kto nie śpiewa?
Kto nie kocha? - A na to: - Ja. Bowiem ni radość,
Ni siły me nie czynią mej miłości zadość.

III

Chi non v'ha, Bernardino, amato e ama...

Kto nie pokochał ciebie, Bernardine luby,
Niech nikogo już więcej nie kocha, a jeśli,
Niech kocha złe, zaś innym, co nad złe przenieśli
Dobro, niech pozostawi miłość czystej próby
W tobie bowiem miłości najsłodszej są śluby,
Twoja miłość widoki najpiękniejsze kreśli.
Wszystko w Tobie. A przeto miłośnik twój myśli,
Że musi ciebie kochać, aby złej ujść zguby.
A tudzież dufam mocno, że gdy w tym sposobie
Służyć będę ci wiernie, nagrodę zarobię,
Jaka miłującemu słusznie się należy.
Bo jeżeli jest prawdą, w co się zwykle wierzy,
że kochający wzajem wymieniają dusze,
Ty mnie pokochasz, od cię kochanym być muszę.

(W powyższym tłumaczeniu została zachowana oryginalna pisownia).

Louis Bouyer[1]

MUZYKA BOGA[2] ŚW. FILIP NERI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rzymski plac w zaledwie rozproszonym skwarze popołudnia. Na niebie bezlitośnie bezchmurnym, zarys wielkich białych pałaców o fasadach wyblakłych od światła. W oddali wyróżniające się drzewa na Pincio i dwie małe wieże kościoła Trinità dei Monti. Kryształowe pióropusze fontann leniwie chlupoczą na głowy urwisów, którzy chlapią się w basenach. Ich przytłumione głosy w mieniącym się pyle wodnym rozbrzmiewają owym dźwięcznym i wyraźnym tonem, jaki ma tutaj każdy przedmiot.

Jest koniec sjesty, kwiaciarki już przyjmują pierwszych wieczornych klientów. Temu, kto nie prosi o kwiaty, proponuje się ogromne słodkie cytryny z Neapolu, lub te arbuzy, których miąższ, czerwony lub biały, ścieka z kawałków owocu dla wywołania pragnienia oczu jak i pragnienia ust.

Nie przejmuje się nimi owa bardzo piękna dama, która w swoim powozie błyszczącym wisiorkami i dźwięczącym obrożami z dzwonkami, spieszy w kierunku via Giulia. Ale ten młody prałat, który w swoich prałackich fioletach ma jeszcze wygląd dziecka, dałby się skusić, gdyby nie powściągliwość, jaką za wszelką cenę trzeba zachować, kiedy się jest protonotariuszem i długimi krokami zdąża się do Collegio Romano. Taką powściągliwością nie odznaczają się ci buntowniczy młodzieńcy, którzy teraz łączą się w grupy, jedni wychodzący z ich banku, inni z ich sklepu, a niektórzy, po prostu, z wąskiej uliczki, gdzie spokojnie spali lub marzyli, w cieniu jakiejś bramy, przez cały ten czas, dopóki dzień nie rozproszył swojego skwaru.

Ruch odciągnął andrusów od fontann, którzy, jeszcze bardziej brudni niż przedtem, byli tak bardzo rozpromienieni pod ich zmoczonymi łachmanami i poplątanymi długimi włosami, że z przyjemnością rzucano w ich małe łapczywe ręce monety, o które prosili błagalnym biadoleniem.

[1] Ks. Louis Bouyer, ur. w 1913 roku w rodzinie protestanckiej, w 1936 roku został pastorem luterańskim. Na łono Kościoła katolickiego przeszedł w 1939 roku, wstąpił do oratorianów francuskich i został księdzem. Wybitny teolog, autor wielu dzieł, tłumaczonych również na język polski (np. "Kościół Boży"). Był wykładowcą teologii w Institut Catholique w Paryżu (przyp. tłum.).

[2] Tytuł francuskiego oryginału: "Un Socrate romain Saint Philippe Neri", Editions S.O.S, Paris 1979. Niniejsze tłumaczenie zostało dokonane, z powodu niedostępności oryginału, z przekładu włoskiego (przyp. tłum.).

Ale co to za dziwny orszak posuwa się wśród wybuchów śmiechu? Dlaczego ten młody elegancki pan, wspaniały w swoim kaftanie z żyłkowanego jedwabiu, ukrywa wstydliwy uśmiech pod kaskadą pukli archanioła, opadających na koronkowy kołnierz? Co on z taką troskliwością trzyma w ramionach? To coś, całe obrzękłe od słodyczy i tłustości, i do tego wystrojone ogromną i śmieszną różową wstęgą, jest szkaradnym mopsem, który, gniewnie warcząc, szczerzy swoje zęby. A za nim postępuje grupa, która ma jeszcze bardziej szalony wygląd od innych. Przynajmniej nie ma tam jakiejś innej grupy, której wybuchy śmiechu, której żarty i piosenki rozbrzmiewałyby tak głośno i tak szczerze. Jednak kim jest ten, kto ją prowadzi? Pośrodku tego hałaśliwego orszaku postrzeleńców, mały starzec, ubrany na czarno, ksiądz. Ale czy rzeczywiście starzec? To prawda, że włosy i broda są siwe, lecz promienne oblicze ma rysy dziecka, a oczy, które przenoszą się od twarzy do twarzy, zdają się wszystkim przekazywać swoją niezmienną wesołość.

Z tłoku, który go otacza, besztają go, a on nieznużenie odparowuje, jednemu ciętym dowcipem, innemu porozumiewawczym gestem przeźroczystą dłonią. Dla wszystkich ma uśmiech i dla każdego inny, także dla tego zasmarkanego, który niespodzianie mu na plecach wyciera brudną gębę i jemu, promieniejący, daje kwiat oraz przyjazny prztyczek, który ma coś z szturchnięcia w tył głowy jak i z pieszczoty.

I oto zgraja wtargnęła do sklepu księgarza. Zacny człowiek spieszy przedstawić ostatnie nowości teologiczne. Starzec gratuluje mu bardziej z uprzejmości niż z entuzjazmu. Ale czy nie ma zbioru laud dominikańskich, który dopiero co się ukazał? Natychmiast, rozproszona między kontuarami grupa, zbiera się i zaimprowizowany chór intonuje z Ojcem kilka wierszy Fra Serafina Razzi.

Powracają na ulicę, i oto spotykają całkiem inną postać. Jest nią franciszkanin o brodatym, wyżłobionym przez posty obliczu, jego bose nogi są naznaczone ranami, ma na sobie zniszczony habit. Na grzbiecie niesie ciężką sakwę a na ramionach baryłeczkę wina.

Jego pojawienie się bynajmniej nie zasmuca towarzystwa. Zresztą, można powiedzieć, jest on starym znajomym. „Jak to", woła do niego ksiądz, nie pozostawiając mu czasu na zbliżenie się, „jeszcze cię nie posłano na stos, stary heretyku?" „A ty", odpowiada zakonnik bez zmrużenia oka, „na co czekają, aby wystawić cię na pośmiewisko?" Wymiana ciosów ciągnie się dalej. Ale co się dzieje? Zakonnik rzucił wyzwanie starcowi?

Ten zajął się baryłką i, wśród zabawy, wypija ze szpuntu szybki łyk. Następnie, jak gdyby chciał wziąć odwet, oddaje baryłkę zakonnikowi, zdejmuje swój kapelusz i wsadza go na głowę zakonnika, który, bez najmniejszego wahania, pośród wybuchów śmiechu, udaje się w swoją drogę. Ze swej strony, radosne towarzystwo oddala się w kierunku Tybru.

Ponownie zapanował spokój. Weszli w cień kościoła, w którym odprawiane są nieszpory. Jest to kościół św. Agnieszki na piazza Navona. Ci szaleńczy młodzieńcy śpiewają psalmy, zdyscyplinowani jak mnisi. To prawda, że w chwilę później, kiedy ponownie się zebrali, tym razem w pokoju Ojca, powrócili do tak ogłuszającego harmidru, że spowodowali, iż inny ksiądz, który nosi taki sam biały kołnierzyk na prostej sutannie, zdumiony zaglądnął przez szczelinę w drzwiach. Nic nie rzeknie: Ojca tam już nie ma. Ale wie, gdzie go znaleźć. Jego masywna sylwetka ciężko wspina się w górę po krętych schodach, i niespodziewanie wyłania się w loggii nad dachami. „Ojcze", mówi do niego, wahając się jak nieśmiałe i nadąsane dziecko, „Ojciec ich stąd słyszy... Jak Ojciec chce, abym pracował przy tej wielkiej wrzawie?" Odpowiedział mu serdeczny uśmieszek: „Tak bardzo ci przeszkadzają? Idź! Co do mnie, byleby nie grzeszyli, jeżeli im to sprawi przyjemność, mogą nawet rąbać belkę na moich plecach!" Uczony Baroniusz zszedł gderając, uległy, ale bynajmniej nie przekonany.

Jasne oczy starca wpatrują się z czułością w horyzont, który wydaje się z minuty na minutę zyskiwać na przezroczystości. Słońce zachodzi za Janikulum, gdzie morska bryza, która się wzmaga, potrząsa plątaniną wierzchołków drzew. Po prawej stronie, wielki kwiat powstającej kopuły, która zarysowuje się wśród belek, jakie jeszcze ją zaciskają. Światło, które nie jest światłem tego najczystszego i słodkiego zmierzchu, rozlało się na jego osobliwej twarzy. Raz wygląda ona tak młodo, to znowu tak staro, że wydaje się nie mieć lat. Ale jego samotność nie może trwać. Młodzieńcy, jeden po drugim, ponownie stając się milczący, ale zawsze uśmiechnięci, wymykają się wąskimi schodami. I prędko, nie wiadomo jak, wszyscy są zebrani wokół niego. Przeniknięci całym tym spokojem i całym tym światłem, które waha się jeszcze na krawędzi nocy, gromadzą się bez słowa, zebrani jak dzieci wokół Ojca. Niespodziewanie, dzwony rozgłaszają nad Miastem swój Angelus, jeden po drugim, od burdonu Lateranu po krystaliczne dzwony Santa Maria Maggiore. Wtedy, przed zejściem z powrotem i wejściem w noc, jak gdyby dla egzorcyzmowania upiorów, ich głosy łączą się jeszcze w Pozdrowieniu anielskim. Poszli. Filip pozostaje sam

i Duch, który przez cały dzień nie opuszczał go na chwilę, spokojnie znowu bierze go w posiadanie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Skąd pochodził ten osobliwy rzymski Sokrates, ten święty uwodziciel tamtej złotej młodzieży? Filip Neri urodził się we Florencji, w tym samym roku co Marignano, 12 lipca 1515 roku. Woda chrzcielna spłynęła na jego głowę w owym „okazałym San Giovanni", które Dante na wygnaniu wspominał z szczególną czułością. Florentczyk, syn florentczyków, chociaż następnie stał się rzymianinem, on, który razem z świętym Apostołami Piotrem i Pawłem, obecnie jest patronem Wiecznego Miasta, zawsze będzie przechowywał, jak trwały zapach, wyjątkową atmosferę swojego rodzinnego miasta.

Ojciec, zdaje się, roztrwonił pieniądze matki, Lukrecji da Mosciano. Zresztą skromna córka stolarza nie wniosła mu zbyt wielkiego posagu. Nie, żeby rzetelny notariusz był hulaką. Opanowała go inna pasja: kamień filozoficzny. Z drugiej strony, jego młoda żona umrze wcześnie, i Filip będzie znał tylko macochę (z którą, powiedzmy w nawiasie, bardzo dobrze się rozumiał, dlatego stała się ona pierwszym obiektem jego ustawicznych psot). Dość ubodzy, Neriowie nie mieszkali w centrum miasta, lecz w robotniczej dzielnicy San Giorgio, na lewym brzegu rzeki, u stóp wzgórz San Miniato. Filip zawsze będzie rozmiłowany w krajobrazach. Czyż jego dziecinne oczy nie były nasycane codziennym widokiem zachwycającego miasta: kopuła Santa Maria del Fiore, obok campanili Giotta; dalej, wysoka sylwetka wieży Signorii, stojąca obok niej wieżyczka Bargello i pinakiel Santa Croce? W tyle ciemnoniebiesko - srebrzysta sylweta Monte Morello, na froncie nieprzeliczonego stada Apeninów. A, w dole, poprzez labirynt ogrodów, płynie żółty i gwałtowny strumień Arno, atakujący mosty zgięte w łuk pod ciężarem malowniczych domów. Ale jak opisać chłodne światło, łagodne i przenikliwe światło toskańskiego nieba, które napełnia inteligencją i wdziękiem wszystkie te młodzieńcze i harmonijne formy? Po opuszczeniu jego spokojnej dzielnicy klasztorów i ogrodów, „dobremu Filipkowi" wystarcza przejść przez Ponte Vecchio, aby zanurzyć się w mieście czerwonej lilii; a są to lata w których, w innym Wawrzyńcu, utrzymuje się *promienna radość* Wawrzyńca Wspaniałego.

Po ekscentrycznym epizodzie Savonaroli, w tym mieście zbudowanym tylko z piękna, rajskie życie Medyceuszów, ukształtowane jedynie z muzyki i poezji, wydaje się rozkwitać na nowo.

Powróciła wiosna Botticellego. Popularna postać jak Pievano Arlotto, ów proboszcz błazen, zresztą wspaniały kapłan, o nadzwyczaj bystrej inteligencji pod zabawną powierzchownością, zachwycająco tłumaczy świetne wyrafinowanie, które z arystokratów z *Orti Oricellani* wydaje się być przekazywane bystrości ludzi z niższych warstw społecznych. W tym zacnym człowieku, i w jego książce, w której jego ostre dowcipy pozostaną dla florentczyków nieśmiertelne, Filip zakocha się na całe życie. „Czyż nie znajduje się w nim ów szorstki rys, naturalny i subtelnie dowcipny, którym on zaczepiał rzeczy i ludzi, i który zwykle łączy się z doskonałą dobrocią charakteru?" Jego najlepsi biografowie rozpoznawali w tym jego zasadniczy sposób stawiania czoła życiu, ziemską osnowę jego świętości, która także ucieleśnia jego najbardziej florencką cechę.

Ale za fasadą tej wspaniałej i lekkomyślnie ekstrawaganckiej Florencji, jeszcze tli się gorejący żar San Marco. Wkrótce stanie się on widoczny, gdy, po ponownym wygnaniu Medyceuszy, miasto poddane Francji, po raz ostatni będzie chciało odzyskać swoją wolność, powtórnie ogłaszając Jezusa Chrystusa królem Florencji. Nikt bardziej niż młody Filip nie był gotów podzielać tych nadziei. Jego zaskakująco żywe i promienne spojrzenie dziecka nie było już tak spragnione widowiska udekorowanych ulic dla powitania papieża Leona, jak spokojnych i jasnych obrazów klasztoru, w którym były jeszcze żywe pamięć i duch Savonaroli. „Wszystko, co mam dobrego, zawdzięczam waszym ojcom od Świętego Marka" powie później do ich współbraci z Minerwy lub San Onofrio w Rzymie.

Jego nawet bardziej pobożni biografowie nie mogli ukryć tego, że był on dzieckiem jak inne, pozbawionym tych religijnych zachwytów, jakie mogą zdarzać się mniej niebiańskim dzieciom, zwłaszcza gdy pobudza się je do sentymentalnej pobożności. Nie, z tym trzeba się pogodzić: „Pippo" nie miał skłonności do sklecania sobie małych ołtarzyków, i nigdy nie mówił, że chce zostać księdzem lub mnichem. Jednak wydaje się, że pamięć o tylko jednej chwili jego złości dotyczy okoliczności, kiedy z siostrą Elżbietą czytał Psalmy a jego młodsza siostra Katarzyna przyszła przeszkadzać starszym. Cała czystość jego dziecięcego serca objawia się w żalu, jaki, jak powiadają, nastąpił po tej lekkomyślnej reakcji.

Ma zaledwie osiemnaście lat, gdy emigruje. Bez wątpienia skromność rodzinnych zasobów skłania go do pokonania sześciuset kilometrów, aby spróbować szczęścia u boku zamożnego wuja. Zacny Romolo przyjmuje go jak syna w swoim miasteczku San Germano, w cieniu Monte Cassino, i marzy, aby możliwie najprędzej przekazać mu swój handel. Filip poświęca się interesom w swoim stałym dobrym nastroju. Ale cóż się stało? Nie wydaje się, żeby miał scysję z wujem, on, który nawiązywał przyjaźń z wszystkimi, jakich spotykał. Wiadomo tylko, że po krótkim czasie opuszcza wszystko, jednak dokładnie nie wiadomo, co jest tego przyczyną. Po ponownym wyruszeniu w drogę, przybywa do Rzymu, aby w nim zamieszkać na stałe i już nigdy go nie opuścić.

Tu i tam powstawały liczne domysły. Nawiązują one do dość starych tradycji, ale nie można z pewnością nazywać ich autentycznymi. Czy obecność w całym tego słowa znaczeniu sanktuarium benedyktyńskiego, na Monte Cassino, które dominuje nad osadą, oraz również bliskość kaplicy Trójcy Świętej w Gaecie, ustawionej fasadą do morza, między skalnymi urwiskami powstałymi, jak twierdzi legenda, przy śmierci Chrystusa, wystarczają do wytłumaczenia decydującego i natychmiastowego wewnętrznego przewrotu? Pięknie byłoby w to wierzyć.

Newman przysłużył się ukazaniem, ile konkretnie elementu benedyktyńskiego jest w duchowości, która będzie duchowością Filipa. Pismo Święte, święta Liturgia, Ojcowie pustyni, on nie zna innych źródeł; ale z tych czerpie w oczywisty sposób. W jego prostocie, tak cudownie naturalnej, od razu przystępnej dla umysłów bardziej nowoczesnych, rozpoznaje się chrześcijaństwo, bynajmniej nie archaiczne, lecz o całkiem pierwotnej sile i pełni. A co do pielgrzymki do Gaety, ona cudownie zgadza się z jego upodobaniem do medytacji wobec bezgranicznych horyzontów, dlatego nie ulegajmy pokusie przypisywania jej jego nagłej decyzji.

Jakkolwiek mają się sprawy (pod impulsem jakiego niewytłumaczalnego instynktu, lub przez jaki iluzoryczny przypadek?), po spędzeniu w San Germano co najwyżej kilku miesięcy, Filip znów wyruszył do Rzymu. Wydaje się, że dotarł do niego pod koniec 1535 roku; warto powiedzieć, jak to zakomunikowali biografowie, w tej chwili, lub nieco wcześniej, w której Rzym opuścił Benvenuto Cellini. Wizerunek Rzymu, jaki przekazał, jest taki sam, w jakim Filip się ulokował.

Powiedziano, że Renesans umarł w 1527 roku, wraz z sacco di Roma dokonanym przez wojska Konetabla Burbona. Bez wątpienia, zrezygnowa-

ni starsi ludzie mogli myśleć, że już nigdy nie powróci baśń minionych dni, jak pisał Michał Anioł do Vittorii Colonna. I jest to także tym samym, co nasza świadomość wyraża o latach, które nadchodzą. Ale na pewno nie jest to opinia ówczesnych młodych. Z beztroską młodości, która, nie mając przeszłości, nie ma nawet pamięci, w Rzymie Pawła III ponownie prowadzili takie życie jak w przeszłości.

Nie ma wątpliwości, że utrzymało się zamiłowanie do starożytności, z bujnym rozkwitem sztuk i poezji, wraz z zamętem myśli i euforii, jakie ono wzbudzało. Natomiast, obok tego, *Oratorio del Divino Amore*, którego pobożni członkowie swój zapał przekładają na praktykę miłosierdzia w hospicjum Św. Jakuba dla nieuleczalnych, zaczyna powodować dojrzewanie owoców swojego trudu. Surowa kongregacja kapłanów łagodnego św. Kajetana i fanatycznego Caraffy wzięła początek z umiarkowanego dzieła Ettora Vernazza, krewnego i ucznia św. Katarzyny z Genui. Ich teatyni w końcu znajdują posłuch u ludu, jeżeli nie jego zmądrzenie, to przynajmniej wstrząśnienie przez klęskę. A przede wszystkim, pośrodku pogańskiego karnawału, pojawiają się dziwne postacie, jako apokaliptyczni zwiastuni. Oto Brandini, słynny eremita z okresu sacco, który przepowiada inne katastrofy i ponowne ciosy losu na nową zatwardziałą Niniwę. A oto jeszcze lepszy, brat laik Matteo da Boscio, który, zszedłszy z swoich umbryjskich gór po to, aby od papieża otrzymać zezwolenie na indywidualny powrót do franciszkańskiego ubóstwa początków, jednak rezygnując z starania się o nie, zakłada kapucynów. Wśród jego przyszłych uczniów jest Titelmans, zadziwiający profesor holenderski, który porzuca tam katedrę i, na moście Sant'Angelo, zatrzymuje próżniaków krzycząc do nich: „Do piekła, grzesznicy! Do piekła, cudzołożnicy!...”.

Jednakże, zawsze są tam owi niezliczeni florentczycy, których przyciągnęli do Rzymu dwaj papieże Medyceusze, Leon X i Klemens VII, i którzy niczego nie stracili z ich beztroski. Zapewnili sobie całą dzielnicę Rzymu, na lewym brzegu, dokładnie u wejścia na most, który, poprzez mauzoleum Hadriana, prowadzi wprost do Watykanu. Ich kościół, okazały i nie dokończony, na brzegach Tybru, na którego korycie musiał przedłużyć swoje kolumnady, doskonale symbolizuje ich nachalną pychę, oraz ich rozczarowanie, gdy skończy się podwójny pontyfikat Medyceuszy. Te pracownie malarzy, złotników lub cyzelatorów, lub te banki z ich lichwiarskimi stopami, gromadzą całą młodzież inteligentną, sympatyczną, arogancką, a przede wszystkim straszliwie zepsutą przez te ich przymioty.

Nie bezkarnie rozwija się, tak jak we Florencji, kultura w pełni estetyczna. Nikt lepiej niż Leon X nie ukazał wyrafinowania tego nowego epikureizmu, i zaniechał dostrzegania znikomości. Z nim, życie moralnie poprawne, nawet nienaganne, jest już tylko najwyższą elegancją: uleganie namiętnościom budzi wstręt estety za bardzo nastawionego na harmonię. Jednak taka słaba bariera nie może się oprzeć: zachodzi także potrzeba, aby wyjałowienie jednego pokolenia i zaczynająca się skleroza cywilizacji, która zużywa się w swojej wykwintności, złagodziły apetyty ciała i niepokoje ducha. Nie można tego samego powiedzieć o tych, pełnych niepokojów, młodych. Głos starożytnych syren znowu zdobył zbyt wielką władzę nad ich młodzieńczą wrażliwością, przedwcześnie rozbudzoną na uroki tak wielkiej piękności, nie znającą żadnego hamulca, pozbawioną wszelkiej powściągliwości. W tych środowiskach, wśród tych dusz, chociaż ochrzczonych, oddycha się męczącą atmosferą nowego pogaństwa, nieskończenie bardziej niepokojącego od tego antycznego. Albowiem nie ma już tam śladu zwierzęcej niewinności. Wołania zmysłów okrywają się podejrzanym urokiem dla zdeprawowanego ducha. Dla tych chrześcijan z atawizmu, którym objawiła się magia tego, co ludzkie, niczego innego, jak tylko tego, co ludzkie, zakazana dziedzina ciała ukazuje się, pod zasłoną nostalgii, jako utracony raj ducha. Byle tylko, jak płaszczem, okryła się ona pięknem, a najbardziej perwersyjny grzech nie będzie niczym więcej niż cennym doświadczeniem. Co, w istocie, przede wszystkim podziwia się w tym środowisku? Otóż to, co Macchiavelli nazwie „cnotą", już nie w znaczeniu stoickim lub chrześcijańskim, której wybór zakłada poświęcenie, lecz jako niestrudzoną zdolnością podążania za wszelką obietnicą zmysłów lub serca. „Działać, bez stawiania sobie pytania, czy uczynek jest dobry lub zły. Kochać, nie niepokojąc się, czy to jest dobrze czy źle". Iluż jest Natanaelów niezdolnych oprzeć się tym antycznym głosom, których długie milczenie i zapomnienie, wydaje się, uczyniły ten czar nieodpartym! W tych chrześcijanach, którzy już nie słyszą wezwania Ducha Bożego, głębie, jakie ono wydrążyło w ich wrażliwości, stają się jaskiniami, w których nadmiernie rozbrzmiewają najbardziej pospolite głosy instynktu.

Istnieje ciekawa anegdota z czasów panowania Innocentego VIII, która cudownie odmalowuje odurzenie, w jakie odkryta starożytność wtrąca te chrześcijańskie dusze. Za bardzo odczuwa się, jak te dusze, oderwane od swojego Boga, jednak na ustach zachowały jego smak nieskończoności, a teraz gotowe są go przenieść na bardziej ziemskie pożywienie. W okoli-

cach Via Appia, murarze wydobyli na światło dzienne sarkofag rzymskiej dziewczyny. *Julia Claudii Filia* jedynie głosił marmurowy napis. Sarkofag, po zdjęciu pokrywy, odsłonił nietknięte ciało dziewczyny o wyjątkowej piękności. Po przeniesieniu jej na Kapitol, wiadomość o niezwykłym i makabrycznym odkryciu w jednej chwili rozniosła się po mieście. Wywołała ona niesłychane uniesienie: martwa dziewczyna zdawała się przyciągać do siebie miłość i entuzjazm serc całego miasta. Zmieszany z tłumem poetów i artystów, lud nadbiegał aby nasycić swój iluzoryczny głód zaginionych bóstw oraz ich nie starzejącej się wiosny. Papież, zaskoczony i przerażony, kazał ciało wykraść w nocy, aby potajemnie przenieść je stamtąd na Pincio. Florenccy młodzieńcy z XVI wieku, których Filip miał spotkać w Wiecznym Mieście, niczym nie różnili się od rzymskich młodzieńców z XV wieku. Paradoksalne połączenie idealizmu z namiętnością cielesną, w którym odzwierciedla się niezaspokojony mistycyzm. Lakoniczne zapiski zeszytów Leonarda da Vinci lub dwuznaczny uśmiech jego postaci, ale jeszcze lepiej smutny żar sonetów Michała Anioła, przekazują zagubienie bardziej wzniosłych od tych duchów, których zawrót głowy powoduje zatonięcie w wulgarnościach, w jakich utrzymuje się Benvenuto Cellini.

Co będzie robił czysty i jasny Filip w tym ogrodzie, w którym najpiękniejsze kwiaty wydzielają tak potężną woń siarki? Powołanie, które w jednej chwili spadło na niego w jego spokojnym zaciszu w San Germano, aby w sercu wprowadzić go w wewnętrzny niepokój Rzymu, bez wątpienia jest powołaniem apostolskim. Słusznie zwraca się on do tej młodości, z którą czuje się spokrewniony i którą wyczuwa, jako straconą dla Chrystusa. Chce odzyskać ją dla Tego, od którego on nigdy się nie oddalił, i który, wydaje się, dopiero co, w jednej chwili, pozwolił mu dostrzec jego nieporównywalne piękno.

Ale jakimi środkami będzie się posługiwał przeciwko nowym fascynacjom, które wskrzesiły stare pogańskie magie? Zdają się nie pociągać go narzędzia chrześcijańskiego ponownego podboju z minionych epok. Przyjaciel i uczeń kaznodziejów Dominika, nie przyłączy się do ich białej gromady podobnie, jak patriarcha z Monte Cassino nie mógł przyciągnąć go na łono jego czarnych uczniów. Ani nawet kapucyni, u których spotka, w osobie św. Feliksa z Cantalice, jedną z dusz, jakie staną się dla niego spontanicznie bliskie, nigdy nie będą go pociągali do siebie.

W tym samym czasie, inny młodzieniec, który również przybył do Rzymu, zrozumie, że nowym potrzebom muszą zostać przeciwstawione

nowe mechanizmy, i, niezwykłym nieporządkom, nowe rygory. Filip będzie posyłał Ignacemu nowicjuszów, tak licznych, że Ignacy złośliwie nazwie go „dzwonem Towarzystwa", który innych wzywa do wstępowania... ale sam pozostaje na zewnątrz. No nie: jak mówił Newman, na tym wolnym florentczyku strategia świętego Hidalga będzie sprawiała takie samo wrażenie, jak na Dawidzie zbroja Saula. Odradzającemu się pogaństwu i jego subtelnym urokom nie będzie on przeciwstawiał innej broni, jak jeszcze potężniejszy urok czystości i prawdy.

Nie, żeby potępiał metody, stare lub nowe: pozwala, aby posługiwali się nimi ci, dla których zostały one stworzone, lub którzy zostali stworzeni dla nich. Co do niego, nie potrafiłby przystosować się do nich. Jest zresztą zbyt przeźroczysty, zbyt bezpośredni, zbyt żywy na to, aby między sobą a światem do pokonania i do zdobycia stawiać jakikolwiek pancerz. Niewątpliwie traci w ten sposób bezmiar środków do ataku i do obrony. Ale w ten sposób unika wszelkich martwych punktów, wszelkich nadbudówek, dzięki którym nieprzyjaciel mógłby wymknąć się, zatrzymać się, wykręcić się, uciec przed bezpośrednim kontaktem z duszą, która szuka jego duszy! On dla wszystkich otwiera bezpośredni dostęp do swojej myśli i do swojego serca. Ale, dokładnie tak, w jego osobliwej taktyce wszystko jest duszą, i temu, kto nie odrzucił spotkania na starcie, lub raczej dialogu, bardzo trudno będzie uchylić się od jego wpływu.

Zatem oto i on, jeszcze raz jak Sokrates, wałęsający się w labiryntach rzymskich ulic z miną, jak gdyby w ogóle nie miał nic innego do roboty. Bezceremonialnie włącza się do obojętnie jakiej grupy, zawsze gotów przyłączyć się do zawodów w rzucaniu płaskimi kamykami (piastrelle), lub zatrzymać się w jakimś sklepie, i nie ma kupca, który nie martwiłby się widokiem klientów rozwodzących się w niekończących się rozmowach, nigdy niczego u niego nie kupując.

Kpiny nie tylko go nie przestraszają, ale szybko zdobył reputację wirtuoza uszczypliwych odpowiedzi.

Jego obecność przyciąga gaduły i żartownisiów: są pewni, że kiedy on jest, nie można się nudzić. Nieokreślona obawa przed odczuciem, że wyjawia się trochę prawdy o sobie, powoduje przyłączenie się do ciętego starcia. Niewątpliwie, nie nosił on przy sobie religii w kieszeni. Lecz same jego napominania przybierają wygląd ciętej odpowiedzi, tak jak jego dowcipy pozostawiają w duszy iskierkę, która tak łatwo nie zgaśnie. „Bracia", mówi do młodych zatrudnionych u Cavalcantich, nieuczciwych bankierów,

którym wydrze Prospera Crivelliego, o ile nie jest u Buoncompagnich, którym wykrada siostrzeńca, Simone Grazziano, z ich urzędnikiem Giovannim Manzolo, „Bracia, kiedy przygotujemy się do czynienia dobra?" Ironia wobec tych chłopców do posyłki u odrażających lichwiarzy była mówieniem na próżno! Ale takie wyrażenia na ustach człowieka jak on, miały bulwersującą moc. Dzięki skrycie rzuconej strzale, która zawsze trafiała do celu, a niekiedy radykalnie zmieniała całe życie, odkrywa się w nim szczególną przenikliwość. Jednym słowem ujawniając człowieka jemu samemu, przypadkowo on sam odkrywał swoje własne przenikanie do wnętrza dusz i miłość Chrystusa, która w nim płonęła dla nich. „Torpeda": on sam nie mógłby znaleźć lepszego słowa niż to na określenie siebie. Styczność z nim elektryzowała bardziej ociężałe sumienia. Jedno potrząśnięcie budziło je z letargu. I fascynacja łączyła ich w radosną kompanię, która wyruszała na pielgrzymkę, jak idzie się na miłą rozrywkę.

Nie zapominajmy, że Filip nie nauczał jakiejś szczególnej doktryny, nie narzucał jakiejś specjalnej praktyki. On nie nakazuje niczego; jest to już wiele, jeżeli sugeruje. Chociaż nie ma potrzeby nakłaniania, jak tylko jakimś żartem, którego sens najpierw mógł umknąć, nie jest możliwe żyć z nim przez jakiś czas, nie stając się odmiennymi od tych, jakimi się było przedtem. Samym sobie będzie się narzucało zmiany, których on nawet nie proponował. Jeżeli wtedy interweniuje, czyni to raczej dla złagodzenia nadmiernych zapałów niż dla ich pobudzania. I to w jaki sposób! Wspaniały Tarugi, którego zetknięcie z nim pobudza do pokory i pokuty, pyta go, czy robiłby dobrze nosząc włosiennicę. „Oczywiście, pod warunkiem, że *na* ubraniu".

Ten niezwykły apostolat, jaki całkowicie zależy od osobistego oddziaływania, który zaczyna się i kończy, jako szczera przyjaźń, gdy tymczasem całe życie jednej duszy udzieliło się drugiej, jest już najbardziej trwałą cechą metod oratoryjnych, jeżeli kiedykolwiek takie metody będą. Pewnego dnia, nasz Bossuet powie: „Otóż, święta wolność rodzi święte powołanie; jest się posłusznym bez bycia zależnym; rządzi się bez nakazywania; cały autorytet znajduje się w łagodności, a szacunek utrzymuje się bez pomocy bojaźni. Miłość, która odrzuca strach, rzeczywiście dokonuje wielkiego cudu; bez wątpienia jest nim nie tylko jarzmo, jakie ona sama potrafi sobie nałożyć, ale jeszcze bardziej unicestwienie woli".

Budzi to podziw? Niewątpliwie, ale najpierw zdumiewa! I dalszy ciąg mowy pogrzebowej Ojca Bourgoing[3] doskonale ukazuje, jak orzeł z Meaux[4] sądził zbyt logicznie, że dzieło oparte na takich podstawach bardzo szybko zniszczeje. Czym ten piękny program jest w rzeczywistości, jeżeli nie programem opactwa de Thélème? „Całe ich życie toczyło się nie według praw, statutów lub reguł, lecz według ich pragnienia i wolnej woli... W ich regule była tylko ta klauzula: Rób to, co chcesz, ponieważ ludzie wolni, dobrze urodzeni, należycie wykształceni, obracający się w przyzwoitym towarzystwie, z natury mają instynkt i zachętę, która zawsze ich pobudza do czynów cnotliwych i dalekich od wad; oni nazywają to honorem".

Czy Filip, w istocie, po prostu nie uległ optymizmowi Renesansu? Czy jego apostolat, oparty na zaufaniu i na wolności, nie bierze pod uwagę grzechu pierworodnego? Czy jego religia bez łez nie oczekuje od natury pozostawionej samej sobie tego, co łaska powinna wydobyć z niej siłą ascezy?

Daremne byłoby zaprzeczanie temu: to właśnie będzie stałą pokusą Oratorium. Zawsze będzie ono musiało strzec się przed pomieszaniem moralności ludzkiego honoru z mistyką Bożej miłości. Ale jeżeli filipini, jak wszyscy epigoni ich patrona, wiele razy karykaturowali Filipa, przyczyna znajduje się w tym, że jego obraz odwracali do góry nogami.

Jeżeli atakowanie sił demonicznych, jak tych, które krążyły pod kwiatami Renesansu, samą miłością, było niewątpliwie niebezpiecznym przedsięwzięciem, jeszcze bardziej było nim wystawianie na ich niepokojące iluzje pozornie bezbronnej naiwności, jak ta Filipa. A jednak to on, a raczej łaska, która w nim była, przezwyciężała ją. Jego gorsząca metoda nie uczyniłaby go zwycięskim apostołem ulegającego na nowo pogaństwu Rzymu. Ponieważ to, co u niego spostrzegano w tym samym czasie, było pozornym równoważeniem i rzeczywistym wykwitem innego obszaru jego egzystencji, dotąd zupełnie nieznanego, ale który odtąd będziemy starali się odkrywać.

Dotykamy tutaj sekretu Filipa; jest on jego najbardziej konsternującym paradoksem, i także jest jego jedyną możliwą definicją.

[3] Bourgoing, François, (1585-1662), proboszcz w Clichy, brał udział w 1611 roku w zakładaniu francuskiego Oratorium. W 1641 został superiorem generalnym. Był znany jako kaznodzieja i rekolekcjonista (przyp. tłum.).

[4] Nicolas Malebranche (1638-1715), francuski oratorianin, filozof, teolog, matematyk, zafascynowany Kartezjuszem. Jego filozofia budziła pewne kontrowersje. Po polsku ukazało się ostatnio jego dzieło "Medytacje chrześcijańskie i metafizyczne", Znak 2002. (przyp. tłum.).

Istotnie, nie trzeba pozwalać na wprowadzanie się w błąd. Ten człowiek, który całe dnie spędza na ulicach, jak wielu południowców, nie przez to ma życie nie tylko wewnętrzne, jednak zazdrośnie ukrywane przed tymi, którzy uważają się za świadków całej jego egzystencji. A w ogóle, z czego on żyje? Z niczego, lub wystarcza mu niewiele. Ten włóczęga, ten wieczny próżniak jednakże posiada pewną pozycję społeczną, którą zdaje się znalazł dzięki szczęśliwemu spotkaniu po swoim przybyciu do Rzymu. Będzie pozostawał z nią związany tak długo, jak to możliwe, niewątpliwie dlatego, że ona pozostawiała mu bardzo szeroką swobodę poruszania się, ale także z tego powodu, że jest dokładnie pozycją, jaka była mu potrzebna i jakiej pragnął: pozycją, która nie pozwalała mu umrzeć z głodu. Galeotto del Caccia, oczywiście florentczyk, dyrektor urzędu celnego, pozostawił mu całkowitą swobodę w wychowywaniu jego dwóch synów: Michała i Hipolita. Był to dobry początek dla jego apostolatu (i rodzice z entuzjazmem poświadczą końcowe rezultaty eksperymentu). Ale, przede wszystkim, raz na zawsze służyła mu płaca, którą określa, jako odpowiadającą jego osobistym upodobaniom: miejsce do spania w urzędzie celnym, z sznurem, zamiast szafy, do rozwieszania odzieży i, jako posiłek, kawałek chleba oraz kilka oliwek na dzień. Służąca, która widywała go każdego rana połykającego jego posiłek w dyskretnym kącie podwórza, w pobliżu studni, mogłaby dokładnie poinformować krytycznych uczonych, którzy, później, tradycję filipińską będą opisywali jako mistykę bez ascezy.

Pod koniec życia, ostatnim dziełem o duchowości, jakie będzie kazał sobie czytać, będzie książka, którą zawsze uważał za podręcznik doskonałości: *Żywoty Ojców pustyni*. Może wydaje się to dziwne u tego człowieka, tak bardzo towarzyskiego i o tak łagodnym charakterze? Ale gdyby ktokolwiek śledził go, wieczorem, po tym, jak cały dzień przeżył wśród młodzieży, nie mając chwili dla siebie samego, kiedy jego członki zmęczone i wycieńczone ustawicznym bieganiem po mieście, domagały się odpoczynku, byłby zmieszany. Teraz miejsce tego uciążliwego wałęsania się zajmuje nocne życie, i ta druga egzystencja będzie bardziej przypominała *Pievana Arlotto*, niż *Historia lausiaca.* Z skórką chleba w kieszeni (oliwki są na śniadanie), może z książka pod pachą, opuszcza on swoje biedne mieszkanie. Tego wieczora jego kroki prowadzą go po drugiej stronie mostu Sant'Angelo. Okrąży Forum, i, w zapadającej nocy zapuszcza się w niezamieszkałe gaje, które rosną wzdłuż Term Caracalli. Ciemność jest niemal całkowita, kiedy przekracza bramę Świętego Pawła. Teraz jest poza

miastem. W pełni nocy, w całkowitej ciszy, idzie naprzód po płytach, między ścieśniającymi się murami, pod wawrzynami i cyprysami Via Appia. Idzie miarowym krokiem, aż do chwili, gdy księżyc zarysuje jego oczom sylwetę, jak ze snu: zwieńczony blankami grób Cecylii Metelli. Wtedy skręt w prawo i, wkrótce potem, znajduje się w pustej bazylice Świętego Sebastiana.

W kościele nie ma nikogo, oprócz tego, nad którym czuwa skwierczący płomień. Całkowicie sam z Najświętszym Sakramentem, Filip zanurza się w cichej rozmowie. Podniesie się dopiero późną nocą. Jednakże, nie ma potrzeby odpoczynku, która odciągnęłaby go od jego kontemplacji. Uświadommy sobie: to było tylko preludium. Jego krok, który nie waha się w znajomych ciemnościach prowadzi go do niespójnych stopni, którymi zanurza się w jeszcze głębszą noc. To nie krypta go przyciąga, ale całe, jeszcze tajemne, królestwo, którego instynktowne wezwanie uczyniło go jednym z pierwszych jego odkrywców. Po stopniach następują tunele, w których gmatwaninie kieruje nim pewność przyzwyczajenia. Knot, który musiał zapalić od lampy sanktuarium, służy mu, bardziej niż do kierowania kroków, odnajdywaniu ważnych inskrypcji i obrazów: oto ryba, baranek, gołębica... I na siatce tych *loculi*, które są podobne do małych izdebek ogromnego mrówkowca, gdzie życie wieczne czeka na zakwitnięcie z ostatnią wiosną, te słowa, ustawicznie nakreślane purpurowymi literami: *...in pace*. Osobliwy podziemny świat, który zachowuje relikwiarz nocnych ciszy oraz ukrytych świeżości, pierwotne życie chrześcijańskiego Rzymu, zaginionego lecz nienaruszonego! To królestwo umarłych, w którym wiara Filipa rozpoznaje bliską obecność ogrodu Bożego, niedalekiego od ponownego rozkwitnięcia na nasieniu żywych obietnic na ruinie, ono również należy do niego i to jeszcze bardziej, niż nasłonecznione ulice, świadkowie jego nieustannej wesołości. I tutaj, powalony na ziemię wśród tych relikwii, anonimowej przepowiedni szczęśliwego zmartwychwstania całego ludziom nieznanego tłumu, ale bardzo obecnego Bogu, odmawia on sobie snu, zastępując go szczodrze blaskiem modlitwy, w której niewidzialny świat odsłania się przed jego wewnętrznym wzrokiem. Bardziej niż starożytni mnisi, których podziwia, nie potrafi on oderwać się od tej samotności, zapełnionej obecnościami, jakimi anonimowy tłum przywłaszcza go sobie. Jak oni, chce długo, głęboko pogrążać się w tej absolutnej ciszy, która pozwala mu rozumieć głos serca Boga, mówiącego bezpośrednio do serca człowieka.

Jego nadzwyczajna wolność w płochym świecie, w którym tak wielu innych, a nawet wielu świętych, nie ośmiela się narażać na ryzyko, nie uzbrajając się w działania obronne, zależy od jego niezrozumiałego przywiązania do świętego świata tych katakumb. Ujawni się to w uchu rozbrzmiewającym niezmierzonym głosem, który zagłuszy mu wszystkie czcze głosy ziemi. Umocniony wspólnotą z męczennikami, napojony z nieskalanych źródeł chrześcijaństwa całkowicie umarłego dla świata, aby całkowicie żyć w Bogu, będzie on potrafił żyć w tym świecie, jak gdyby był już blisko Boga, używając go, według słów apostoła, jak gdyby wcale go nie używał, zanadto pamiętający o wiekach, które nadejdą, aby móc być zdobyczą tego, który się przemija.

Nigdy nie będzie miało końca kładzenie nacisku na ten, niezbędny Filipowi, dualizm. Paradoks tego podwójnego życia, które tak śmiało łączy pierwotną ascezę z wolną egzystencją uroczego humanisty, jest jedyną możliwą jego definicją. Jeżeli Filip potrafił w swoje życie tak naturalnie zwyczajne, tak celowo światowe, tak bezceremonialnie upodobnione do życia innych, włożyć taki ładunek łaski, że w jednym zetknięciu się z nim, w nieodpartej miłości, jednoczyła ona dusze bardzo dalekie od Boga, zawdzięcza to temu podłożu. Potrafi on być tak bardzo swobodnym wśród swoich braci wciągniętych w ten świat właśnie dlatego, że był to jego sposób zmylenia go.

Później, nie ma co do tego wątpliwości, już nie będzie szukał dwóch towarzyszy niezbędnych komuś oddającemu się kontemplacji, czyli samotności i ciszy, w tym swoim katakumbowym ustroniu. Odtąd będzie ich znajdował na szczytach. Malutkie obserwatorium na Vallicelli będzie zastępowało ogromne miasto podziemne. Można by usiłować dostrzegać w tym zastąpieniu obraz wewnętrznego wznoszenia się. Po latach pokuty, przeżywanych w ciemności, jego martwa i ponownie ożywiona w Chrystusie dusza, ponownie wynurzy się w świetle... Jednakże jeszcze raz jesteśmy zmuszeni do domysłów. Filip nigdy siebie nie analizował. Nigdy nie powiedział niczego, co by ustaliło etapy jego przechodzenia od życia pokutniczego do życia zjednoczeniowego.

Ale tym, w co nie możemy wątpić, jest fakt, że tę ascezę uwieńczyła mistyka. Jeżeli ten święty o zaskakującym człowieczeństwie prowadził życie ojca pustyni, to zarazem ten człowiek, tak doskonale ziemski, jest zanurzony w nadprzyrodzoności. Jak „miły święty", którego dobroduszność zachwycała Goethego, ukrywał dzielnego samotnika, mocno pokrew-

nego Antoniemu i Pachomiuszowi, florentczyk tak całkowicie związany z swoim wiekiem jednakże jest charyzmatykiem, którego nie męczy współzawodniczenie z Dziejami Apostolskimi. Wiadomo, jaka nadzwyczajna atmosfera spowijała w jej boskim płomieniu początki Kościoła. Zielone Święta, z ich ognistymi językami, z Duchem, który zstępuje jak burza i grom, i który w bojaźliwych sercach zapala nadludzki żar, dla Filipa są osobistym doświadczeniem.

Świat niewidzialny, którego szukał z tak wielką wspaniałomyślnością w wierze, z takim nastawieniem do porzucenia wszystkiego z tego świata, schwytał go dla siebie i już nigdy nie pozwoli mu uciec. On może bardzo przedłużać swój pobyt tu na dole, może ponownie bardzo się tu zanurzać, jak gdyby nie znał tamtej strony tego świata, którą pewien starożytny nazywał z przestrachem *flammantia moenia mundi*. Ten rozpalony krater pochłonął go. Zachwycająca postać starca z liliami pędzla Zuccaro jest tylko zasłoną. Głębszym, prawdziwym Filipem jest ten kapłan w szkarłatnym ornacie, jakiego Guido Reni namalował w aureoli nierealnego światła.

W jaki sposób objawi się ta obecność i to całkowite posiadanie Ducha? Zobaczymy to dokładnie w toku jego przyszłego życia. Tym, czego dotąd możemy być pewni, jest to, że nadzwyczajne bezpieczeństwo Filipa wobec uroków tego świata nie ma innego źródła jak ta obecność w nim nieugaszonego ognia...

Głęboko tajemnicze pozostaje to doświadczenie Bożej obecności w nim, a dokładniej obecności Ducha. Jak w starożytnej mistyce Ojców, wydaje się, że sprzyjało ono rozkwitaniu jego duchowości, wtajemniczając go w przemienienie obiecane naszemu materialnemu ciału. I to właśnie dzięki zagadkowemu fizycznemu ciepłu wydaje się, że żarzenie się niebiańskiego ognia jest rozprzestrzeniane poprzez jego cielesne serce. Znamię tego zostało odciśnięte w jego klatce piersiowej, w której autopsja ujawni podniesienie się dwóch żeber, spowodowane niezwykłym pulsowaniem serca. Przyczyną tego miała być owa ekstaza, o której wspomniał Consoliniemu w przeddzień śmierci... Prawdopodobnie około 1544 roku, miał wizję ognistej kuli, która przedostając się przez usta dotarła do klatki piersiowej.

W litanii, którą Newman ułożył na jego cześć, po tych słowach pogodnej słodyczy:

Sancte amabilis, Heros umbratilis,
Pater suavissime, Flor puritatis,

wybucha to wezwanie, które samo w sobie mówi wszystko:

Cor flammigerum, ora pro nobis!...

Pośrodku ścieżki opanowanej przez rośliny, na Filipa spłynęło ciemnobłękitne światło. Przynosi mu powiew powietrza, zmieszanego z zapachem roślin i wonią ziemi, bryzę poranka. On wstaje z ziemi i spieszy się, aby opuścić podziemia przy gaśnięciu ostatnich gwiazd. Na zewnątrz jest jeszcze ciemno. Jednak czerwonawa poświata zaczyna spływać pod łukami akweduktu Klaudiusza, zapalając fantastycznymi refleksami bukraniony Cecylii Metelli. Z drugiej strony zarysowują się domy Awentynu, białe wśród drzew wielkich parków, na już nasłonecznionym stoku. Czas jest odejść. Filip idzie miarowym krokiem, i wie, że przyjdzie do San Girolamo dokładnie na czas mszy Messer Persiano Rosy.

ROZDZIAŁ TRZECI

To dość indywidualistyczne życie, w punkcie, w którym napotykamy na trudność precyzyjnego przedstawienia jego przebiegu, jednakże miało punkt odniesienia. Tym centrum, tym ogniskiem był kościół i kapłan. Zresztą kościół, jak i kapłan, nie był jakim bądź kościołem. W samym sercu Rzymu, San Girolamo della Carità był do niedawnych czasów klasztorem franciszkanów Obserwantów. Później odstąpili oni kościół i klasztor Bractwu Miłości. Założone w 1518 roku przez kardynała Giulio dei Medici, na wzór florenckiego Towarzystwa o tej samej nazwie, dla pomagania godnym ubogim dyskretną jałmużną, rzeczone bractwo w momencie powstawania było najbardziej wszechstronną organizacją miłosierdzia, jaka istniała w Wiecznym Mieście i w całych Włoszech. Z drugiej strony, w San Girolamo, w celu przestrzegania umów, dla których obserwanci zrezygnowali z swojego miejsca, bracia utrzymywali wspólnotę kapłanów, których jedynym zadaniem było podjęcie, nieco absorbującego, ciężaru obsługiwania kościoła. Kapłani ci mieszkali w starym dormitorium klasztoru, podzielonym na małe pokoiki. Nie mieli superiora, precedencja wynikała ze starszeństwa. Niektórym przysługiwała minimalna płaca, byli nimi ci, którzy zgadzali się pełnić regularną służbę. Ci, którzy, przeciwnie, woleli nie podporządkowywać się niczemu, poza okazyjnym celebrowaniem mszy oraz niekiedy słuchaniem spowiedzi, mieli tylko mieszkanie. Persiano Rosa musiał należeć do tych ostatnich.

Filip przypadkowo natknął się na tego kapłana niskiego pochodzenia, skromnego i dobrodusznego. Wyspowiadał się u niego. Spodobał mu się ten dobry człowiek. Tak samo dom. Powrócił, i prędko utworzyła się mię-

dzy nimi więź. Z pewnych wzmianek, jakie zostały nam przekazane, wiemy, że ci dwaj ludzie byli stworzeni do wzajemnego rozumienia się. Persiano Rosa dogryzał młodemu i pobożnemu florentczykowi, bawiąc się nazywaniem go „Świętym Filipem". Żywił do niego wielką sympatię, I wejście penitenta do jego pokoju, gdy stary kapłan będzie w agonii, wystarczy do wyrwania go ze śpiączki i do sprowokowania go do powtarzania z werwą jedynego słowa: „Radośnie!" Nie można by wyobrazić sobie czegoś bardziej filipińskiego.

Wokół Persiano Rosy Filip spotykał kilkunastu świeckich, wszyscy byli mniej znaczącymi ludźmi. Spotykali się w niedzielę i w dni świąteczne, brali udział w nabożeństwach w San Girolamo, przystępowali do Komunii świętej (nadzwyczajny przypadek w tej epoce, kiedy częsta Komunia była ogólnie nieznana), potem szli do pokoju kapłana. Wtedy rozpoczynała się rozmowa w zachwycającej prostocie, w której każdy opowiadał po prostu, dla wzajemnego zbudowania, jakieś szczególne zdarzenie, jakąś myśl, która mu przyszła do głowy, jakąś piękną historię. Uczuciowa natura tych południowców sprawiała, że uczucia każdego udzielały się innym z bezpośrednią spontanicznością. Filip był zachwycony żarliwością i prostotą tych zebrań. W 1548 roku, w dzień Wniebowzięcia, Rosa, niewątpliwie nakłoniony przez Filipa, zaproponował przekształcenie tej małej grupy w rzeczywiste bractwo. W tym czasie, Kardynał - wikariusz, Archinto, stały bywalec domu, gorąco wzywał ich do połączenia ich trosk o osobistą pobożność z działalnością dobroczynną. Dokładniej, zasugerował im poświęcenie się przyjmowaniu pielgrzymów.

Przybywający z najdalszych zakątków Europy, i często nie posiadający środków utrzymania oraz mniej lub bardziej zdezorientowani w tej metropolii, w której wszystko było dla nich obce, odczuwali oni wielką potrzebę kogoś, kto by się nimi zajmował. Filip stał się duszą założonego w ten sposób bractwa Trójcy Świętej od Pielgrzymów. Podczas roku jubileuszowego 1550, dzieło rozwinęło się tak bardzo, że mogło dziennie gościć pięciuset pielgrzymów, w, będącej własnością Eleny Orsini, malowniczej miejscowości la Ciambella, położonej w pobliżu term Agryppy. Nie trzeba wyobrażać sobie tej rozległej organizacji na wzór zajazdów, które w naszych czasach przyjmują dobrze zaopatrzonych pielgrzymów, w Lourdes lub w Lisieux. Dla dania jakiegoś wyobrażenia o niej mogłoby raczej posłużyć schronisko Armii Zbawienia. Z ich strony, sami pielgrzymi, jakkolwiek pobożny był charakter ich włóczęgi, bardziej przypominali naszych żebrzą-

cych niż owych pobożnych turystów, którym dzisiaj nadaje się nazwę pielgrzymów. Filip i jego towarzysze bez ustanku poświęcali się umywaniu nóg tych biedaków, odżywianiu ich, przyodziewaniu ich, i pielęgnowaniu ich, gdy zachorowali, co się często zdarzało. Lecz ta dobroczynna działalność zupełnie nie pozbawiała ich czasu przeznaczonego na pobożne rozmowy i religijne ćwiczenia początków. Po różnych przenosinach, wspólnota, ze względu na tę drugą część jej programu, ulokowała się w San Salvatore in Monte; w 1563 roku przeniesie się ona do San Benedetto in Arenula, które to miejsce papież Pius IV specjalnie wyznaczył im na ich zebrania. W tym czasie te zebrania w istotny sposób zwróciły na siebie uwagę. W 1551 roku, bracia wprowadzili praktykę zupełnie nowego nabożeństwa Czterdziestu Godzin. Na początku każdego miesiąca, przed uroczyście wystawionym Najświętszym Sakramentem, kolejno zmieniano się na nieustającej modlitwie przerywanej krótkimi kazaniami (*fervorini*), w których Filip oczywiście się wyróżniał.

Gdy Persiano Rosa widział go zaangażowanego w tej wielorakiej działalności, w jego umyśle powstał pewien pomysł. Wreszcie, po wahaniu się przez pewien czas, ponieważ mogło mu się to wydawać dziwnym, że pomysł ten nie pojawił się w umyśle zainteresowanego, powiedział: „Dlaczego czekasz, aby zostać kapłanem?" Z godną podziwu szczerością, Filip odpowiedział, że taka myśl nigdy mu nie przyszła do głowy. Pokora? Z pewnością, ale niewątpliwie także sprzeciw wobec wejścia w inne, wcześniej przygotowane otoczenie. Persiano nie ustępował. Musiał odpowiedzieć na wszystkie obiekcje Filipa, starając się go przekonać o całkowitej wolności, z jakiej korzystałby w swoim kapłańskim posługiwaniu, w San Girolamo della Caritа. Dostosowując się do wskazówek doradcy, do którego żywił zaufanie, z tą samą łatwością, z jaką mu zawierzył, Filip dał się przekonać. Wydaje się, że już uczęszczał, niewątpliwie wyłącznie dla swojej przyjemności, mniej lub bardziej regularnie, na studia teologiczne, podczas swoich lat samotnego wędrowania. Ponadto, w tym okresie zbytnio nie zważało się na subtelności. Persiano Rosa, powiedzieliśmy to, był bywalcem u Wikariusza Rzymu. Powierzył mu on ostateczne przygotowanie kandydata do święceń. Po zadecydowaniu sprawy, nie tracono czasu. W ciągu sześciu miesięcy Filip otrzymał wszystkie święcenia, diakonem został w Wielką Sobotę podczas wielkich święceń na Lateranie, święcenia kapłańskie otrzymał 23 maja w kościele San Tomaso in Parione.

Kiedy został kapłanem, „Wielebnym Messer Filippo”, nie wypadało mu już mieszkać między urzędem celnym a katakumbami, jak to było dotąd, i było już szczęściem, kiedy nie spędzał nocy pod perystylem jakiejś bazyliki. Czyni przeto przygotowania do zajęcia jednego z mieszkań w San Girolamo. Do tego stopnia przywiąże się do tego pokoiku, do którego światło wpada z ciasnego wirydarza, całego ukwieconego drzewami pomarańczowymi, że potrzebny będzie wyraźny rozkaz papieża, aby przekonać go do opuszczenia tego pokoiku. Po trzydziestu dwóch latach, zostanie podobnie zmuszony do połączenia się, jako założyciel i superior wbrew swojej woli, z kongregacją, którą wydał na świat niejako nie spostrzegłszy się.

Jakie tymczasem będzie jego nowe życie w San Girolamo?

Dwie funkcje kapłańskie będą zajmować go od zaraz i na zawsze: spowiedź i celebracja świętych tajemnic.

Wtedy była szczególna sytuacja. Zrozumie się ją lepiej, kiedy zwrócimy uwagę na to, że regułą, nawet dla pobożnych, były doroczna spowiedź i Komunia, wyjątek stanowiły rzadko spotykane małe grupy, jak ta Persiano Rosy. Co do Mszy, prałaci i wszyscy inni beneficjanci, na przykładzie najbardziej religijnych papieży, celebrowali ją najwyżej dwa lub trzy razy w roku. Tylko niższy kler, zmuszony racjami finansowymi do częstszego celebrowania, uznawał Mszę przynajmniej tygodniową.

San Girolamo, od czasu franciszkanów, wyróżniał się swoimi licznymi codziennymi nabożeństwami, i zadanie kapelanów, którzy nastąpili po zakonnikach, przede wszystkim polegało na ich zapewnianiu. Jednak Filip zawsze będzie bardzo starał się nie przyjmować żadnych reguł, które by go zobowiązywały do pełnienia stałych funkcji. Co nie przeszkadza, że jego sposób wykorzystywania czasu zostanie szybko ustalony: wszystkie ranki, oprócz wyjątków, będzie spędzał w kościele na słuchaniu spowiedzi, i Msza, ostatnia w ciągu dnia, celebrowana około południa, zakończy to długie zadanie. W pierwszych czasach, pomimo, że tłoczno było przy jego konfesjonale, jego poranek miał trochę wolnych chwil. Zużyje je na odmawianie brewiarza lub różańca, albo na czytanie czy medytację. Ale te przerwy szybko ulegną skróceniu i staną się rzadsze. Skąd się wywodzi ta jego klientela? Dominują w niej, nietrudno to odgadnąć, młodzi, którzy przybywali do niego jako pierwsi: wszyscy ci, których, w swoim czasie, zagadywał podczas swoich spacerów i swoich rozmów w mieście; niewątpliwie także przychodzili ludzie z bractwa Trinità dei Pellegrini, których widywał

przy pracy wśród chorych, lub których słuchał przy okazji nabożeństwa Czterdziestu Godzin...

Do tego trzeba dodać, że po jego zamieszkaniu w San Girolamo, napotykał na inne grono pobożnych. Jego wpływ natychmiast znajdzie tam nowe pole do działania. Panuje tam zupełnie inna atmosfera niż wśród grup wyemancypowanych młodych, w których do tego czasu dokonywał się jego apostolat. Wielką oryginalnością San Girolamo, z racji prawie całkowitej niezależności kapelanów, było to, że każdy działał w całkowicie własnym kontekście, podejmując inicjatywy, jakie bardziej mu odpowiadały, przyjmując każdego, kto się tam do czegoś nadawał. Stąd prawdziwa kolonia grup, każda z nich miała swoją siedzibę w tej lub innej celi dawnego dormitorium. Najbardziej osobliwą, do której Filip natychmiast wstępuje, jest grupa, która się zbiera wokół chorego kapłana, przedwcześnie postarzałego, Buonsignora Cacciaguerry. Jego historia przywołuje na myśl opowieść z Tysiąca i jednej nocy. Ten sjeneńczyk, urodzony pod koniec XV wieku z wielkiego kupieckiego rodu, przeniósł się do Palermo ze względu na swoje sprawy handlowe. Kiedy stał się bajecznie bogatym, zdumiewał Sycylię swoim sposobem życia, manifestowaniem całkowicie orientalnego luksusu (i rozwiązłości). Jednakże, z jednego dnia na drugi jakieś zaćmienie przerwało te bachanalia. Cacciaguerra odprawił swoich przyjaciół i rozpędził swój harem, zdjął swoje książęce szaty, zrezygnował z pachnideł, z muzyki i z tańców: udał się do wielkanocnej Spowiedzi i Komunii, a także poruszył go widok żebraka u drzwi przytułku. Przyprowadziwszy nieszczęśliwego do swojego pałacu, pielęgnował go płacząc i usługiwał mu przy swoim stole. Nazajutrz, co prawda, powrócił do swojej aktualnej kochanki. Ale w dniu, w którym tak bardzo spieszył się do swoich przerwanych przyjemności, jakiś zmęczony, niezwykły krok, zmusił go do odwrócenia się. I co widzi za sobą? Chrystusa, który niesie swój krzyż.

Tymczasem, gromadzą się katastrofy. Jego okręty toną jeden za drugim. Jego fatalna przygoda miłosna pozostawia go zeszpeconym wielu ciosami sztyletem. Pomijam bardziej niezwykłe przygody. Po różnych pokutnych pielgrzymkach poprzez Europę, które korespondują tyle samo z przygodami, znajdujemy go w Palermo. Okradziony przez brata z wszystkiego, co mu pozostawił, z ustami zniekształconymi wrzodem, zostaje przyjęty przez starą murzynkę, która była jego niewolnicą. Żyje tam w samotności; później schroni się w górach; niespodziewanie zejdzie z nich, pozostawiając za sobą w osadach, przez które przechodzi, ślad cudownych uzdrowień. Po-

nownie przebiega Europę, tym razem jako świecki apostoł codziennej Komunii. Wreszcie, w 1547 roku, przejściowo w Rzymie, daje się wyświęcić na kapłana. Od początku zbliżony do San Girolamo, zamieszka tam w 1550 roku. W krótkim czasie staje się centrum grupy, w której spotykają się egzaltowane pobożne kobiety i anielscy młodzieńcy. Dwie idee, i tylko dwie, ożywiały wiernych: codzienna Komunia, oraz mistyczne wynagrodzenie przez dobrowolne zadawanie sobie cierpień, wszystko w atmosferze gwałtownych ekstaz i wizji.

Filip, niewątpliwie, został pozyskany wszystkim tym, co było tam poważne i bolesne, oraz było autentycznym przeniesieniem w cały ten mistycyzm. Ale wydaje się, że szczególnie był czuły na myśl Cacciaguerry, że częsta Komunia nie powinna być celem, ale środkiem do bardziej żarliwego życia chrześcijańskiego. Jednakże jest jedynym, który zachował głowę w tym gronie, w którym nie zawsze panował zdrowy rozsądek. Ekstatyczni penitenci Cacciaguerry znajdą u niego umartwienia nowego rodzaju: nie zachowają się nieadekwatne spostrzeżenia, a nawet okrutne mistyfikacje, lub wymierzane silne policzki w pełnym upojeniu. Z nim wszedł szlachetny powiew świeżego powietrza, które było bardzo potrzebne. Ale zupełnie nie wydaje się, żeby oni tego chcieli, a to świadczy o rzeczywistym znaczeniu tej rozpaczliwej religii. Przez lata, chociaż absolutnie nie można było utożsamiać grupy, która grawitowała ku Cacciaguerrze z grupą, która kształtowała się wokół Filipa, nie będzie się ich nawet odróżniało. Będzie tak zarówno dla uczniów, jak i dla wrogów. Nieobecni w Rzymie, wierni jednemu, także piszą do drugiego. A kiedy współbracia z Caritą zaczną się niepokoić tymi wszystkimi innowacjami kapelanów, walka będzie kontynuowana łącznie przeciwko obydwu kapłanom.

Będą oni musieli przeżyć kilka trudnych miesięcy, może nawet kilka lat. Prześladowanie zresztą nie wyjdzie poza grubiaństwa zakrystianów. Biedny Filip, który nie cierpi niechlujstwa, i którego skupienie podczas celebrowania wnet stało się wszystkim znane, odczuje, że stał się celem dla tysięcy przykrości podczas Mszy. Do ołtarza mógł udawać się jedynie w postrzępionych paramentach. Jego cierpliwość w końcu odniesie zwycięstwo nad wszystkimi uprzedzeniami. W 1557 roku stanie się przyjacielem lekarza Tecossiego, którego Bractwo Carità mianowało ekonomem domu, i który, jak się wydaje, był organizatorem wszystkich tych utarczek. Ze swojej strony, Cacciaguerra odniósł zwycięstwo na całej linii. W następnym roku, po reorganizacji domu, i wreszcie po ustanowieniu urzędu superiora, on będzie pełnił tę funkcję.

Ale wydaje się, że to zwycięstwo stało się dla niego okazją do wycofania się. Teraz będzie dążył do ograniczenia się do coraz węższej grupy, w której będzie kultywował mistyczność coraz mniej wspólnotową. Filipowi, któremu dał wolną rękę, pozostawi, nie zachowując sobie żadnego w tym udziału, wszelki inny wpływ.

Istotnie, w tym momencie Filip stał się centrum czegoś, czego jeszcze nie można nazywać instytucją, ale co już, bez potrzeby jakiejś reguły, zyskało prawdziwą regularność.

Wśród młodych, którzy przychodzą spowiadać się u niego, Filip szybko wyodrębnił tych, którzy są zdolni dać Bogu więcej niż minimum. Nie zawsze chodzi, o tych, którzy od początku okazują się najbardziej przykładnymi, wręcz przeciwnie. Takich, jakimi są, nie potrzebuje on pobudzać do tego, żeby powracali zobaczyć się z nim w wolnej chwili po południu. Tworzy się zwyczaj codziennego spotkania u Ojca, przed stałym wieczornym spacerem rzymian. Na początku, biorąc pod uwagę szczupłość lokalu, ich napływ musiał być niewielki: najwyżej siedmiu lub ośmiu. Zresztą nie było nic bardziej nieformalnego, niż to małe zgromadzenie. Filip zwykle zajmował półsiedzącą pozycję na łóżku. Rozmawia poufale, albo, kiedy jest zmęczony lub boi się, że gdy będzie mówił o Bogu, ulegnie ekstazie, zleca, aby ktoś inny wdrażał rozmowę. W początkowym okresie oczywiście inspiruje się prostymi rozmowami, jakie w przeszłości były prowadzone u Persiana Rosy. Ale zwykle ma do czynienia z ludźmi bardziej wzniosłymi, z umysłami bardziej żywymi i bardziej znakomitymi. A więc będzie się brało do ręki książkę. Po kilku stronach odkłada się ją. Na przykład Ewangelię, najchętniej św. Jana. Lub też jest to autor mistyczny; ale zawsze unika się czystej spekulacji i wszystkiego tego, co by groziło byciem czymś nierealnym dla tego młodego audytorium. Komentowana lektura jest naturalnym wprowadzeniem do napominania. Chyba, że Filip woli rzuconym pytaniem natychmiast prowokować chłopców do mówienia. Na wszelki sposób unika monologu i stara się pobudzać grupę do pouczania się wzajemnie.

Wyruszenie na spacer nie przerywa rozmowy; przeciwnie. Zwykle udają się do którejś z wielkich bazylik. Kiedy jest do dyspozycji trochę czasu, najbardziej wskazane są Św. Jana na Lateranie lub Świętego Krzyża Jerozolimskiego, chyba, że przekraczając Tyber, idą się pomodlić na grobie

Apostoła pod powstającą kopułą. Lecz niełatwo jest zgodzić się na opuszczenie tak pełnej uroku osoby. Kiedy więc po zapadnięciu nocy wraca on do domu, nierzadko większość grupy odprowadza go do San Girolamo. Pokój jest teraz pogrążony w ciemności. Filip zapala tylko małą lampkę. Wszyscy klękają w mroku. Wtedy rozpoczyna się, krótkie lub długie, według nastroju chwili, zebranie na improwizowanej modlitwie, w którą kapłan, bez wysiłku, wciąga te młode zawojowane dusze w żarliwość swojej własnej modlitwy.

W niedługim czasie, napływ będzie zmuszał do otwarcia dla popołudniowego zgromadzenia drzwi do sąsiedniego pokoju. Ale to rozwiązanie szybko stanie się niewystarczające. Będzie musiał zostać obrany strych nad kościołem, w przeszłości przeznaczony na spichlerz. W 1558 roku, kiedy Caciaguerra był rektorem San Girolamo, jednym z pierwszych jego postanowień będzie definitywne przeznaczenie tego miejsca na zebrania Filipa i, oczywiście, zgoda na zaadaptowanie go. Od tego nowego lokalu, który będzie się nazywał Oratorium, zostanie zaczerpnięta nazwa dla ćwiczenia, które się tam odbywa, później nazwa dla kongregacji, która kiedyś powstanie.

To rozszerzenie zmusi Filipa do porzucenia czegoś z wolności i z improwizacji początków. Oratorium, gromadząc tak wielu ludzi, nie będzie już mogło być jakąś zwyczajną rozmową. Zatem Filip będzie zobowiązywał jednego lub innego z uczniów do przygotowania przemówienia, i zresztą będzie chciał, aby było ono zawsze związane z konkretem. Do końca będzie odrzucał kazanie scholastyczne lub akademickie. (Później, gdy oratorianie staną się już rzeczywistością i otrzymają do administrowania kościół, w którym będą musieli głosić kazania, jednemu z nich, Agostinowi Manni, ponieważ wkładał w głoszenie kazań swoje własne upodobania, Filip będzie kazał powtarzać kolejno siedem razy jego najpiękniejsze kazanie, żeby sprawić, aby odeszła mu na to ochota raz na zawsze!). Tym, co Filip będzie preferował aż do końca, jest pierwotne ćwiczenie: „Rozmowa na temat książki", jak to zostanie nazwane.

Interesującą rzeczą jest przejrzeć teksty wybrane przez Ojca. Podstawę zawsze będą stanowili starożytni autorzy religijni, jak Kasjan lub Jan Klimak. Do nich dołączają niektórzy więksi autorzy średniowieczni, Gerson, Dionizy Kartuz, Ryszard od św. Wiktora, *Dialogi* św. Katarzyny ze Sjeny. Oczywiście, pochłaniane są również wszystkie biografie duchowne, a Filip szczególnie będzie lubił powracać do *Żywotów Ojców Pustyni*. Z swoją niezrównaną mieszanką humoru i spontanicznego entuzjazmu, powie do

Gallonia, spotykając go gdy ponownie odkrywa coś o sobie: „Zobacz! To, co w tym czytam, jest historią starców o mojej sile!"

Z Florencji Filip przyniósł z sobą także dwa nowsze dzieła, które cudownie oddają atmosferę pierwotnego Oratorium. Pierwszym z nich był *Żywot Błogosławionego Colombini*. Można powiedzieć, że widział on w nim urzeczywistniony ideał, jaki chciałby przekazać swojej grupie: zawsze mieć na ustach Chrystusa i Jego miłość, aby zawsze mieć je w sercu; ale trzeba bardziej przedkładać ludzką miłość braterską, a równocześnie bardziej chrześcijańską ponad wszelkie głoszenie kazań - lub raczej widzieć w niej najlepsze ze wszystkich kazań -; wreszcie stawać się wolnymi przez wspaniałomyślne umartwienie. Drugim dziełem były *Laudy* Jacopona da Todi (1230-1306). W tych umbryjskich utworach poetyckich, franciszkańskiej mistyce ubóstwa niewątpliwie towarzyszy szczęśliwe uniesienie *Pieśni stworzeń*, ale w wylewności lirycznej pokuty, która rzuca do stóp krzyża uczucia serca poruszonego wiarą i miłością.

Nie zadowalano się tylko czytaniem tych laud lub ich komentowaniem. Filip unikał nawet najmniejszego podejrzenia o dydaktyzm. Nie tylko ożywia te rozmowy, przerywając je swoimi dowcipnymi wypowiedziami, mistycznością lub jakimś błazeństwem, w tej samej mierze moralnym co i radosnym, ale będzie chciał, aby towarzyszył im śpiew i aby całe zebranie nim się kończyło.

Wśród ogółu artystów, którzy zapełniają Oratorium, nie będzie brakowało muzyków z papieskich kapeli. Dopiero co skomponowane motety zawsze znajdą tam chór bardzo skwapliwy do otulenia wieczoru harmoniami Palestriny.

Będzie potrzeba około dwunastu lat na to, aby program posiedzeń został ostatecznie ustalony. W końcu będzie wyglądał mniej więcej tak: komentowane czytanie, komentarz, który z kolei przyjmuje formę dialogu, potem napomnienie, ustami innego mówcy; ten ostatni z kolei ustąpi miejsca wykładowi z historii Kościoła; w końcu następuje ostatnie czytanie komentowane lub raczej parafrazowane, o życiu jakiegoś świętego. Wszystko przerywane krótkimi modlitwami i pieśniami, i zebranie zawsze kończy się śpiewem specjalnie skomponowanym dla niego. Oczywiście, każdy wchodzi i wychodzi jak uważa; Filip daje przykład. On sam i inni mówcy siedzą bezceremonialnie na ławce nieco podwyższonej, która stoi naprzeciwko audytorium. Porównaliśmy już działalność Filipa do działalności Armii Zbawienia. To samo porównanie nasuwa się, kiedy się mówi o tych bezceremonialnych

posiedzeniach. Ogólnie mówiąc, rodzaj popularnych zebrań ewangelizacyjnych, o którym anglosaskie odrodzenia uważa, że wymyśliło je w XVIII wieku, nie jest niczym innym, jak podjęciem doświadczenia tego rzymskiego kapłana z XVI wieku. Ta sama spontaniczność starannie przeciwna wszelkiej regule, która ujarzmiałaby natchnienie lub tworzyłaby umowność i sztuczność. Takie same porywy odczuwanego zapału. A, nade wszystko, taki sam wysiłek skierowany do pojmowania Ewangelii i do wyrażania jej zwykłym ludziom, bez czegokolwiek, co pachniałoby szkołą lub zakrystią. Ale ponadto w Oratorium filipińskim znajduje się: zdrowy rozsądek, subtelna dobroduszność, radosna świętość, którą Filip potrafi podtrzymywać lub powstrzymywać aż do szczytów mistycyzmu. Poza tym, bez żadnego wysiłku, we wszystkim tym panuje, przez co Oratorium zajmuje pozycję jako celowo popularne, wrażliwość, delikatność, coś z czystej atmosfery toskańskiego nieba. Jest ścisłą prawdą, że tylko piękny motet Animuccii mógł w sobie zawrzeć duszę Oratorium i przekazać ją całą innym.

Z kolei, zebranie wieczorne prawie przypominałoby wolne zgromadzenie metodystów lub kwakrów. Zawsze rozpoczyna się ono dłuższą chwilą milczącej wspólnej modlitwy. Potem nastąpi czytanie duchowne. Kończy się różnymi modlitwami, bardziej lub mniej improwizowanymi. To na tym modlitewnym zebraniu, zastrzeżonym dla najbardziej żarliwych, ale z którego nikt nie zostaje wykluczony, Filip kazał czytać listy, które dopiero co się ukazały, jezuickich misjonarzy na Dalekim Wschodzie. W tej grupce pojawiła się mistyczna chętka udania się wszystkich razem do Indii w celu szukania tam męczeństwa. Podczas przechadzki poproszony o radę opat Świętego Pawła za Murami, poradził wszystkim, aby poprzez dolinę udali się prosić o radę pewnego pobożnego cystersa z Tre Fontane. Bardziej lub mniej natchniona odpowiedź świętego człowieka stała się klasyczną formułą dla tej wesołej grupy: „Twoimi Indiami jest Rzym", tak brzmiała wyrocznia. Trzeba przeczytać list, w którym sam Filip opowiada tę historię przyjacielowi! Mieszanka złośliwości i żarliwości jest bardziej nie do rozplątania, niż kiedykolwiek.

Co się odnosi do sprawy spacerów. Oratorium nigdy nie było pomieszczeniem zamkniętym. Szczególnie w niedziele i w dni świąteczne, po wcześnie odśpiewanych nieszporach, Filip, w kapeluszu na głowie, w pelerynie założonej na ramiona, czekał na swoich ludzi na dziedzińcu kościelnym. Grupa, szybko uformowana, wesoło wyruszała w drogę. Bardzo rzadko bywało, żeby się po drodze nie powiększała. Dokąd się udawano? Nieważne dokąd. Nie było potrzeby, wtedy mniej niż kiedykolwiek, wychodzenia z miasta, aby znaleźć cel. Trzeba było tylko wybrać, czy pójdzie się do Term Dioklecjana, czy przeciwnie, na stoki Janikulum. Tutaj czy gdzieindziej, imponujące ruiny stapiały się z dającą wytchnienie świeżością malowniczej roślinności, nigdy nie dalekie od marmurów fontann. Siadano pod wielkimi drzewami, i odbywało się pewnego rodzaju oratorium na świeżym powietrzu, którego forma, była wówczas bardziej pełna życia i bardziej artystyczna od zwyczajnego. Ulubionym urozmaiceniem, w tym wypadku, było jedno z tych małych kazań, które rzymianie, jeszcze obecnie, w kościele Ara Coeli, na przykład w święto Trzech Króli (Befana) lubią kazać wygłaszać małym dzieciom, pełnym wdzięku i naiwnego afektowanego aktorstwa (Jezu, kocham ciebie!... Trzeba widzieć te gesty i ekspresje!). Mały Pallavicino, przyszły kardynał, w tamtym czasie chórzysta domu i stały uczeń uczonego Baroniusza, cudownie nadaje się do tego rodzaju rzeczy i Filip bawi się dawaniem mu lekcji. W tych dniach muzyka zajmuje więcej miejsca niż kiedykolwiek. Animuccia przyprowadza z sobą cały kwiat bazylikowych chórów kościelnych. *Adoramus te Christe* Orlanda de Lassus, albo *O vos omnes* Vittorii, stapiają się ze srebrnymi kataraktami fontann, z szelestem liści na morskim wietrze, i ujawniają przechodniowi, że miły święty jest niedaleko. Zresztą program niczego nie ogranicza. Z Filipem rzeczy nieprzewidziane są regułą. Można wiele mówić o odwiedzinach w szpitalu, który znajduje się przy drodze, lub o wielkiej kpinie, której najbardziej oczywistą ofiarą będzie zwykle wspaniały Baroniusz, który został już wspomniany. W inne dni, w długie letnie popołudnia, wychodzą z miasta. Udają się, powiedzieliśmy to już, do Tre Fontane, albo do Tivoli lub do Frascati, ale najpiękniejszą i najbardziej cenioną z tych wycieczek jest oczywiście pielgrzymka do siedmiu bazylik.

Droga jest długa i, według stałego zwyczaju, w poprzedzający wieczór przekraczają Tyber, aby udać się do Świętego Piotra, na modlitwę w pobliżu złocistego odblasku trzeszczących lamp, które otaczają konfesję. Nazajutrz, o wczesnej godzinie, udają się swobodnie drogą Ostyjską do Świętego Pawła. Gromadzą się w obszernej wiejskiej bazylice, której wielkie białe mury są potrącane przez złociste fale żniw. Stamtąd, przez pola , drogą Ardeatyńską, docierają do Świętego Sebastiana, o którym pamięć jest tak bardzo Filipowi droga. Idąc drogą, w słodyczy pierwszych godzin letniego poranka na rzymskiej kampanii, rozciągającej się między blisko

znajdującym się morzem a fioletową linią Gór Albańskich, śpiewają *Laudy* ze zbioru Serafina Razzi na przemian z gregoriańskim litaniami.

U Świętego Sebastiana ci, którzy nie wyspowiadali się wcześniej, spieszą się, aby to uczynić. Potem jest śpiewana piękna msza polifoniczna, na przykład cudowna *Messa di papa Marcello* Palestriny, lub *Ecce Sacerdos magnus*. Wszyscy ci, którzy przyszli na czczo, przyjmują Komunię świętą. Znowu wyruszają, wciąż śpiewając, przez via Appia. Przed powrotem do miasta, wchodzą do jakiejś winnicy, jak ta Crescenzich, w pobliżu piramidy Cestiusza. Rozmieszczają się w cieniu, aby spożyć zasłużony braterski posiłek. Ale zupełnie nie zapominają, że są na pielgrzymce, dlatego nie rozmawiają podniesionym głosem. Orkiestra dęta z Zamku Świętego Anioła, mali śpiewacy z jakiejś bazyliki, lub jakaś orkiestra złożona z lutni i z rogów wmiesza się do bardziej ukrytego koncertu ptasiego. Dbano o to, aby pożywienie było takie samo dla wszystkich: „chleb, perna", jak w czasach dawnych stacji, świeży chleb i salami, sławna rzymska szynka, z jajkiem i z owocem. nie gardzi się też łykiem winka z okolicy. Wyruszają zanim stanie się zbyt parno. Przed południem udają się do archibazyliki na Lateranie. Jeżeli podczas krótkiego kazania w katedrze, *Caput et mater ecclesiarum omnium per totam terram*, ktoś zasnął, to podjęty śpiew laud natychmiast go budzi. Niedaleko stamtąd, Schody Święte, na które nie zaniedbują wspinać się na kolanach, przypominają im one, że pielgrzymka, jakkolwiek byłaby radosna, przecież zawsze jest ćwiczeniem ascetycznym. Stąd do Świętego Krzyża Jerozolimskiego są tylko dwa kroki. Dalej trzeba tylko iść wewnątrz murów Hadriana, starą trasą świętego Pomerium[5], aby dojść do bazyliki św. Wawrzyńca na Campo Verano. W pogodnym cieniu wielkich cyprysów, na obrzeżach rozległej nekropolii, sanktuarium rzymskiego diakona jest miejscem ostatniej medytacji. Potem dojdą do centrum miasta, aby wejść do najbliższej z bazylik patriarchalnych, starożytnego kościoła Matki Bożej, Santa Maria sull'Esquilino - Matki Bożej Śnieżnej. Pod stropem, który Aleksander VI dopiero co pokrył pierwszym złotem z Ameryki, przywiezionym z Peru przez Krzysztofa Kolumba, wśród wspaniałych kolumn jońskich z białego marmuru, dzień kończy się na ostatniej arabesce muzyki Palestriny. *Salve Regina* wypełnia noc, która zapada w swoim aromacie strumienia i z gwiazd.

[5] Poświęcona przestrzeń po obu stronach murów Rzymu, granica Rzymu, zob Cicero, Natura deorum, (przyp. tłum.).

Ale wreszcie nadszedł czas, aby przyglądnąć się z bliska, jacy to byli nowicjusze Filipa. Mogliby oni stanowić materię dla całej galerii szkiców zabawnie różnych. Wspólnymi cechami byłyby tylko, oprócz młodości, taka sama wspaniałomyślność serca, spowita iskrzeniem tej wesołości, która jest jak gdyby znamieniem Filipa. Braterstwo, które chce ignorować wszystkie różnice szlachectwa i stanu gromadzi w pokoju Ojca, w początkowym gronie terminatorów i urzędników florenckich banków, wielkich panów, muzyków i śpiewaków, drobnych rzemieślników, młodych Izraelitów, których urok Filipa wyrywa z ich getta, domowników prałatów, a nawet opryszków z ulicy. Filip jest taki sam z wszystkimi, a jednak zawsze wie, jak każdego traktować. Rozglądając się po sali, podczas gdy rozpoczyna się Oratorium, czyż nie dostrzega nieśmiało siedzącego bokiem na jednej z ostatnich ławek szewca? Idzie prosto do niego i mówi mu mnóstwo komplementów. Co robi na tym miejscu? Musi przenieść się do pierwszego rzędu! Poczciwy człowiek pogrąża się w usprawiedliwieniach. Ale Filip chwyta go za kołnierz koszuli i przyjaznym popychaniem i sadza go wygodnie blisko siebie. Wobec wielkiej osobistości, jak Giambattisty Salviati, kuzyna królowej Francji, rozumie się samo przez się, że ta poufałość będzie się miała inne odcienie. Ale ta sama uprzejmość, tak bardzo gotowa do czułości jak do ironii, owłada nim przy pierwszym spotkaniu. Mówiłem o opryszkach. Rzeczywiście, pewnego dnia, wałęsając się w celu odkrycia nowych twarzy, czyż Filip nie dostrzega zakazanej gęby okropnie szubienicznej, kierowany ku niej nie wiadomo jak, gorliwością nie wiadomo czyją? Z łatwością włoskich sposobów bycia w tych czasach, rzuca się na szyję tego hultaja, jak gdyby chodziło o jakąś starą znajomość. Tamten, skonsternowany, początkowo trochę zrzędzi. Ale niespodziewanie został opanowany i w kilka chwil potem, po wejściu do pokoju Ojca, wyspowiada się jak dziecko.

Nie mogąc opisać ich wszystkich, wybrałem z nich dwóch. Jeden i drugi wejdą do najściślejszego grona uczniów, a jednak Bóg wie, jak bardzo się różnią! Jeden, Tarugi, jest doskonałym przykładem *Dworzanina* Baldassara Castiglione[6]. Ten szambelan papieski, kuzyn Juliusza III i Marcelego II, domownik kardynała Ranuccia Farnese, nepota Pawła III, łączy w sobie wszystkie cechy człowieka światowego. Znany z swojej urody, jak i z ele-

[6] Castiglione, Baldassar (1478-1529), włoski pisarz i dyplomata, dworzanin książąt Mantui i Urbino; traktat *Il cortegiano* przedstawia ideał renesansowego dworzanina [polska przeróbka Łukasza Górnickiego (1527-1603) *Dworzanin polski*] (przyp. tłum.).

gancji, po staniu się mistrzem we wszystkich ćwiczeniach fizycznych, dzielny żołnierz, odważny przywódca, odziedziczył od ciotecznego dziadka, Angela Poliziano, wszystkie talenty artystyczne i literackie, tak jak od ojca chłodne cechy prawnika. Jego przyjaźń z owym *viveur* w wielkim stylu, jakim jest kardynał Innocenzo di Monte, wystarczająco tłumaczy dlaczego on, w wieku trzydziestu lat, miał opinię całkowicie zdeprawowanego; jednak nie był kimś bez wyrzutów sumienia. Prędzej lub później wyspowiada się u Filipa, a oczarowanie nim zrobi swoje. Będzie postępował tak dobrze, że Filip dość dużo się natrudzi, aby mu przeszkodzić zostać kapucynem. On zbyt dobrze wie o tym czego brakuje młodzieńcowi, który błyszczy takim prestiżem: pokuta, bardzo teatralna, nie byłaby pożyteczna dla spowodowania u niego prawdziwej pokuty. Filip, umyślnie, woli wlec go przez ulice w jego aksamitnym ubraniu, niosącego w ramionach Capriccia (straszny agresywny piesek kardynała Ascania Sforza, który, wprowadzony przez majordomusa Tassona do pokoju Ojca, nie chciał go już opuścić). Kiedy te próby przyniosą swój skutek, Tarugi stanie się prawie jak rozpuszczony syn Filipa; który, wręcz przeciwnie, nie będzie chciał mówić, że on, swoimi manierami przesyconymi ironicznymi uprzejmościami, wymaga od niego mniej niż inni.

Z zupełnie innej gliny był zrobiony ten, który był predestynowany do tego, aby zostać drugim kardynałem filipińskim, Cezary Baroniusz. Ten wielki góral z Abruzzów przybył do Rzymu w 1577 roku. Jego rodzina nie szczędziła wydatków, aby mógł kontynuować studia rozpoczęte w Neapolu. Pewien znajomy zaprowadził go do Filipa, i oto został ujęty także on, „barbarzyńca", jak go będzie nazywał Ojciec śmiejąc się rozbawiony. Jego niezłomny rozsądek, jego twarde przykładanie się do pracy, jego cierpliwość i jego wierność pudelka (zresztą warczącego), wszystko to będzie niewymownie radowało serce świętego oraz będą podobne powody, dla których z poczciwego Cezara uczyni on swój uprzywilejowany obiekt kpin. W Oratorium Tarugi pozyskuje wszystkich swoją naturalną elokwencją i zawsze jest gotów popisywać się nią na obojętnie jaki temat. Baroniusz przeciwnie, przygnębiająco poważny, zna tylko jeden temat: cokolwiek się czyni, zawsze obstaje przy wiecznych mękach, opisywanych tak szczegółowo, że powodują gęsią skórkę. To właśnie dla odciągnięcia go od tego tematu, Filip zobowiązuje go do mówienia o historii Kościoła. Cezary, posłuszny, będzie gromadził dokumenty. Jego poczucie obowiązku i uporczywe przykładanie się do pracy dostarczą *Annali ecclesiastici*, których powalająca erudycja odnowi całą tę dyscyplinę.

Kiedy jeden i drugi wejdą w skład Świętego Kolegium, Tarugi będzie się tam odznaczał zarówno swoim wielkim duchem religijnym, jak i wirtuozerią polityczną. U Baroniusza do końca pozostanie nienaruszona właściwa mu szorstkość. Ale jego topornie uformowana prawość nie przyniesie mu mniej szacunku niż zdumiewające „kombinacje" współbrata. Kardynał Joyeuse, w liście do Henryka IV, pozostawił nam jego sympatyczny obraz. Na konklawe z 1605 roku, francuscy kardynałowie zwrócili uwagę na pobożnego i uczonego ucznia Filipa, którego frankofilskie sentymenty były dobrze znane. Ale nie wzięli pod uwagę jego skrupulatnego sumienia... i jego uporu. Popychany z prawa i z lewa do kaplicy Paulińskiej na skrutinium dla aklamacji, trzeba było widzieć, jak wtedy „barbarzyńca" rozpaczliwie uczepiał się kolumn i rzeźb drzwi krzycząc: „Nie chcę być papieżem! Wybierzcie innego, który będzie godnym Stolicy Świętej!"

Ale uprzedzamy daleką jeszcze przyszłość. Przed dojściem do kardynalstwa, Baroniusz i Tarugi zaczną od Oratorium. Pozostaje nam opowiedzieć, jak Filip je utworzył, z całą pewnością w ogóle go nie planując.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Filip został wyświęcony na kapłana za pontyfikatu Juliusza III: dla Renesansu był to czas pewnego rodzaju babiego lata. Sobór Trydencki trwa, ale bez entuzjazmu. W Rzymie, obłędy karnawału szaleją jak zawsze. Jednakże, wielkie przemiany Reformy katolickiej, wreszcie zapoczątkowanej, posuwają się naprzód. W szczególności, właśnie w tych latach Towarzystwo Jezusowe zdobywa całkowitą równowagę i przygotowuje się do rozszerzania się jeszcze dalej. Ale, w 1555 roku, od wstąpienia na tron groźnego Caraffy, wszystko się zmienia. Po raz pierwszy samej kurii zostaje postawione wymaganie przekształcenia się. Paweł III zadowolił się powołaniem do niej niektórych z najlepszych nazwisk chrześcijańskiego humanizmu, jak Contarini, Sadolet lub Reginald Pole. Paweł IV nakaże tym, którzy są na urzędzie, całkowitą zmianę systemu; w przeciwnym wypadku rozbije ich jak szkło. Stary kardynał du Bellay ironizuje: czyż papież go nie uprzedził, że on, dziekan, ma stać się kozłem ofiarnym? Po dojrzałym namyśle, oświadcza, że jest to jak danie najbardziej pijanemu klucza do piwnicy (piękne wyrażenie, bardzo godne protektora pisarza François Rabelais)! Ale szybko przestano się śmiać: aresztowania i banicje „dostojnych

panów" się mnożą. Co więcej, antyhiszpańska polityka papieża przenosi wojnę do Włoch i spycha Rzym na skraj nowej katastrofy. Wydarzenia dają wielu ludziom do myślenia, i publiczność Oratorium gwałtownie powiększa się przez napływ konwertytów.

Jednakże, od 1558 roku niebo zaciągają chmury. Paweł IV, który przygotowuje pierwsze wydanie Indeksu książek zakazanych, czy nie będzie zamierzał włączyć do niego Savonarolę? Filip, pamiętamy o jego szacunku, w pełni florenckiego, dla proroka z Świętego Marka, jest całym sercem z dominikanami z Minerwy. Ich połączone modlitwy oddalają niebezpieczeństwo. Ale następnego roku, kiedy Papież reformator, po zorientowaniu się o wymuszaniu łapówek i o zbrodniach swojego własnego domu, ostro wystąpi przeciwko własnej rodzinie, atmosfera staje się bardziej uciążliwa. Jak, w bezpośrednim cieniu tej duchowej dyktatury bez precedensu, która posuwa się do podejrzewania, na pierwszym miejscu, jej przedstawicieli, instytucja tak wolna jak Oratorium, mogłaby nie przyciągać gromu? W poście, zwyczajowa pielgrzymka do siedmiu Kościołów zostaje zakazana, a Filip ponaglony do stawienia się przed kardynałem wikariuszem Rosario, bardziej inkwizytorskim od samego papieża. Ale, kilka dni po dramatycznej rozmowie, w której Ojciec dostrzegł sygnał oznajmiający bardziej gwałtowne zagrożenia dla swojego dzieła i dla swojej osoby, kardynał niespodziewanie umiera, kiedy udaje się na papieską audiencję! Papież łagodnieje, odwołuje podjęte środki. Z drugiej strony, pozostaje mu tylko kilka miesięcy życia. Filip, niezdolny do chowania urazy, 19 sierpnia, uczestnicząc w komplecie w Minerwie, kiedy lud, ulegając mściwej radości, na Kapitolu dopiero co wywrócił posąg zmarłego Papieża, będzie płakał w swojej stalli.

Za pontyfikatu Piusa IV można było swobodniej odetchnąć. Podczas wielkiego reformatorskiego pontyfikatu Piusa V, Oratorium jeszcze dozna przykrości. Kontrreformacja została już zainaugurowana. Teraz nikt, trzeba to przyznać, nie doświadcza bardziej stanu oblężenia, w który Kościół, wydaje się, wszedł ostatecznie, od dzieła filipińskiego, pomimo, że ono samo, na swój sposób, jest głęboko reformatorskie. Kilka razy Papież zarządzi śledztwa. Kilka razy Filip poczuje się bezpośrednio zagrożony. Wydaje się, że przez chwilę poważnie zastanawiał się nad możliwością przeniesienia się chyba do Mediolanu, gdzie inny święty usilnie go prosi o jego pomoc. Ale za każdym razem będą interweniowały wpływowe protekcje, a w szczególności protekcja kardynała Boromeusza. W końcu burza się

rozproszy, nie wybuchając. Począwszy od dobrodusznego Grzegorza XIII, Filip już nie będzie musiał niczego się obawiać. Grzegorz XIV i Klemens VIII będą, bardziej niż protektorami, przyjaciółmi.

Kiedy dojdzie do tych dwóch ostatnich pontyfikatów, „buon Pippo" będzie już wszystkim znany jedynie jako nowy apostoł Rzymu; będzie miał nimb patriarchy. Pomyślnie rozwijająca się, założona przez niego kongregacja, wtedy mogłaby stać się wielkim zakonem, gdyby jego uparty sprzeciw definitywnie temu nie przeszkodził.

Jak to mogło się zdarzyć? W sposób na pozór przypadkowy. Jego rodacy, w 1564 roku, skierowali do niego formalne poselstwo, aby prosić go o przyjęcie stanowiska rektora San Giovanni, wciąż jeszcze nieukończonego kościoła kolonii czerwonej lilii na brzegu Tybru. W tym momencie Filip przychodził do siebie po poważnej chorobie. Za nic na świecie nie chce opuścić San Girolamo. Co więcej, nie potrafiłby wyobrazić sobie opuszczenie, choćby na chwilę, Oratorium, które jest dziełem jego życia. Jednakże nie chce zawieść swoich umiłowanych rodaków. Jedyne rozwiązanie: powierzyć kapelanię kilku z jego zaufanych uczniów, pod jego, bardziej lub mniej nominalnym kierownictwem. Ale żaden z nich nie jest kapłanem. Jeżeli chodzi tylko o to, Baroniusz nie potrzebuje żadnego przygotowania, aby nim zostać. Dwaj inni, Bordini i Fedeli, jak on apostołowie Oratorium, szybko idą w ślad za nim. Nie ma potrzeby dodawać, że nie jest dla nich problemem opuszczenie ich obecnego posługiwania. Wypełniali je jako świeccy. Teraz gdy są kapłanami, będą mogli przejąć część kierownictwa duchowego, które dotąd całe spoczywało na barkach Filipa, a które przez nieprzewidziane rozszerzenie się Oratorium nadmiernie się powiększyło. Rozwiązanie wydaje się być, pod wszystkimi aspektami, opatrznościowe. To prawda, że ono będzie ich zobowiązywało do powracania każdego dnia z San Giovanni dei Fiorentini do San Girolamo, ale spacery nigdy nie przerażały towarzyszy Filipa.

Kiedy wszystko zostanie już urządzone i rozpoczęte, Kongregacja Oratorium stanie się faktem. To prawda, że będzie potrzeba jeszcze około dwunastu lat, aby to sobie uświadomić, ale decydujący krok został zrobiony. Jedyna więź stworzona między nimi przez ojcostwo Filipa sprawia, że nowi kapelani żyją w coraz ściślejszej wspólnocie myśli i uczuć. Z kolei kapłaństwo, przyjęte w perspektywie wspólnego dzieła, może tylko ten związek wzmacniać. Równocześnie, duch filipiński będzie zasilał w nich

duchowość kapłańską, której Filip już doświadczał do głębi, nigdy nawet nie podejrzewając, że ją stworzył.

Z drugiej strony, nie mają żadnego zamiaru być zakonnikami. Chcą, jak sam Filip, być tylko kapłanami, jak wszyscy inni, lub jak wszyscy powinni być. Po prostu będą kapłanami Oratorium: warto powiedzieć, jak bardzo dobrze określi ich Talpa, jeden z ich przyszłych nabytków (tak bardzo żądny wprowadzenia struktur, że Filip się tym nieco zaniepokoi), kapłanami, którzy głoszą słowo Boże, ale „słowo Boże codzienne i bezpośrednie". Pod banalną powierzchownością, zdanie to kryje w sobie to, co jest w tej sprawie istotne. Wyróżniającą cechą kapłaństwa Filipa jest dokładnie całkiem osobisty sposób, w jaki zrozumiał oraz spełnił tę funkcję kapłaństwa, która jest jego celem: głoszenie kazań (innym jest udzielanie sakramentów). I sprecyzowanie Talpy, gdy się je drąży do dna, doskonale wyraża to, co wyróżnia głoszenie kazań przez Filipa. „Słowo Boże codzienne i bezpośrednie", jest głoszeniem kazań, w którym już nie ma niczego konwencjonalnego. Nie jest kazaniem, jakie się głosi w szczególnym dniu, w szczególnym miejscu, w szczególnej formie. Jest ono nauczaniem na wszystkich miejscach i w każdej chwili, najlepsze jest ono wtedy, kiedy jest najbardziej naturalne. I to nauczanie naprawdę jest „słowem", bezpośrednim przekazywaniem z duszy do duszy. Cor ad cor loquitur, taka będzie kardynalska dewiza Newmana, chyba najbardziej filipińska, jedna z najbardziej oryginalnych, wśród uczniów, którzy mają nadejść w przyszłości. Jest tak dlatego, że „bezpośrednie i codzienne" są nierozerwalnie z sobą złączone. Dla ludzi, którzy już „nie zdają sobie sprawy" z tego, jakie życiowe wartości zawierają się w chrześcijańskich formułach, na pewno nie będą to przemówienia i argumentacje, które uczynią z miłości instrument wiary. To zawdzięcza się tylko osobistemu doświadczeniu chrześcijaństwa, intensywnie doznawanemu, i to doznawanemu w najbardziej bezpośrednim kontakcie z własnym życiem. Otóż właśnie tutaj znajduje się rdzeń podwójnej egzystencji Filipa: noc, rozmowa z Duchem; dzień, nie mniej serdeczna rozmowa z ludźmi.

Oratorium było tylko spontanicznym wykwitem tego zalążka w warunkach, jakie nastręczał Rzym szesnastego wieku. To jest właśnie źródło, z którego cała kongregacja na początku czerpała swojego ducha i swoje reguły, i od którego później, kiedy inne warunki będą wymagały innych realizacji zapożyczonych z tej samej bardzo prostej reguły życiowej, będzie mogła się oderwać. Ale na razie jeszcze tam nie jesteśmy.

Wszystko to stopniowo objawia się w doświadczeniu pierwszych kapłanów Oratorium, jeszcze zanim oni zdają sobie z tego sprawę. Tymczasem, samo Oratorium nie przestaje rozwijać się. Florentczycy, aby dokonać miłej rzeczy dla nowych rektorów, zdobędą dla nich nową siedzibę: stary kościół Sant'Orsola della Pietà, prawie naprzeciw San Giovanni. Teraz już nie będą musieli przenosić się; obecnie jest kolej na Ojca. Ale fakty szybko udowodnią, że nie daje się łatwo realizować i posuwać naprzód dwóch tak różnych zadań: posługi w rozległej parafii (zwłaszcza bardzo specyficznego typu San Giovanni), oraz dzieła Oratorium. Zatem w 1575 roku filipini opuszczą ich parafię i jej obowiązki dla małego kościoła Santa Maria della Vallicella.

Krok jest decydujący, ponieważ bulla, która przydziela im to drugie sanktuarium, równocześnie udziela kanonicznego potwierdzenia istnienia kongregacji. Bulla wyraźnie oświadcza, że w tym kościele zostaje erygowana na zawsze „kongregacja kapłanów i kleryków świeckich nazywana Oratorium".

Ta data 15 lipca 1575 roku powinna być pamiętana bardziej przez to, co sankcjonuje, niż przez, to co ona tworzy. Chodzi o fakt pod pewnymi względami tak bardzo oryginalny, że stwierdzanie go mogło wydawać się sprzecznością w zestawieniu terminów (contradictio in terminis): istnienie „kongregacji kapłanów świeckich". A ponadto zostaje przeniesiona na stowarzyszenie, w ten sposób prawnie ustanowione, nazwa poprzednio przypisywana działaniu, z którego ono wzięło początek.

Chwilowo nie będziemy mówić o fundacjach paralelnych lub połączonych, które będą się mnożyły, najpierw w Neapolu a potem gdzie indziej, przy większej lub mniejszej niechęci Filipa, lub, w całkowitym braku jego uznania, dzięki samym zdolnościom naśladowania go wbrew jego sprzeciwowi.

Rzymskie Oratorium, jego i jedyne Oratorium, znalazło własny ośrodek. Ale mała bazylika Vallicelli była całkowitą ruiną. Największym zadaniem, które przez lata będzie pochłaniało wysiłki powstającej kongregacji, będzie zastąpienie jej wspaniałą Chiesa Nuova. Uwikłano się w ogromne przedsięwzięcie nie mając prawie grosza przy duszy. Miano szczęście, przypisywane nadprzyrodzonemu przeczuciu Filipa, natrafić na starożytny mur, dzięki któremu położenie fundamentu okazało się odpowiednio ułatwione. Różne darowizny, a w szczególności darowizna kardynała Cesi, pozwolą powoli dokończyć prace.

Uprzednio, w 1583 roku, miało miejsce wielkie zewnętrzne wydarzenie w życiu Filipa, o niemałym znaczeniu: jego przeprowadzka. On czekał do tego czasu, już o tym była mowa, i potrzebna był osobista interwencja Papieża, aby nakłonić go do opuszczenia jego starego San Girolamo i przeprowadzenia się z kongregacją, która ogłosiła go swoim jedynym superiorem. Gdy udało się przymusić go, on powetuje to sobie organizując wspaniałą maskaradę. Najwierniejsi uczniowie musieli iść przez miasto wśród kpin przechodniów, każdy niosąc, z wielką troskliwością, część ubogich mebli Filipa. Jest faktem, że gdy stał się oficjalną osobistością, na czele religijnej organizacji, z której ówcześni rzymianie stawali się coraz bardziej dumni, Filip nie był nawet odrobinę bardziej „czcigodnym"! Ku wielkiemu zadowoleniu Tarugiego, Capriccio od dawna był martwy i już nie wchodził w grę. To prawda, że zastąpiła go kotka, ale bardziej wierna, jak wszystkie jej podobne, zarówno kamieniom jak ludziom, nie chciała ona pójść za Filipem. Do jednego z nowszych nowicjuszy Oratorium należał dodatkowy obowiązek zabezpieczania jej miseczki mleka.

Młodość, w istocie, bez wytchnienia odnawiała się wokół Filipa. Po przywiązanym Galloniu, niezbędnym towarzyszu ostatnich lat, będącym zresztą przedmiotem docinków od rana do wieczora, ale którego Filip będzie pocieszał słowem, gdy spostrzegał najmniejszą oznakę przygnębienia: „Antonio, chodź natychmiast uścisnąć twojego starego Ojca!", jest Giovenale Ancina, przyszły biskup Saluzzo i przyjaciel Franciszka Salezego. Należał do ostatnich przedstawicieli uniwersalnego humanizmu, a jednak o prostocie, która zachwyciła serce Filipa, także on był gwarantowany do beatyfikacji. I jest także Consolini; jest on naprawdę ulubieńcem, któremu stary Ojciec będzie okazywał wszelkie czułości.

Ponieważ Filip jest już starcem, jego siły są na wyczerpaniu. Jednakże nie daje po sobie tego poznać. Jego głos zawsze pozostaje czysty. Potrzeba wiele trudu, aby nakłonić go do zażycia choćby odrobiny odpoczynku, do osiągnięcia tego, żeby zarówno odciążył swoją posługę jak i zwiększył swoje pożywienie, albowiem w porównaniu z nim pożywienie trapisty sprawiałoby wrażenie hulanki. Uzyskano tylko to, że słucha spowiedzi w swoim pokoju zamiast w kościele. Wychodzi o obojętnie jakiej godzinie i, jak w przeszłości wałęsając się po mieście, okazuje się w tym zawsze taki sam: umysł bynajmniej nie jest mniej żywy, ani serce mniej gorące. Jednakże coraz częściej wycofuje się do dwóch małych pokoi, jakie zajmuje, dokładnie na szczycie domu, w Vallicelli. Teraz niekończące się godziny

spędza w ciasnej loggii, którą kazał sobie urządzić ponad dachami. Trudno zrozumieć, jak potrafi zimą pozostawać tam przez cały ten czas, owinięty tylko starą dzianiną z czerwonej wełny, nie umierając z zimna. Samotność zdaje się stopniowo go pochłaniać. Oczywiście, zawsze przyjmuje każdego, kto się pojawia, i nie będzie można od niego uzyskać tego, aby jego drzwi były zamknięte. Ale, w sposób widzialny, Duch stopniowo opanowuje coraz bardziej.

Nade wszystko, są owe nadzwyczajne msze, które teraz celebruje w jednym z swoich pokoi. Na *Domine non sum dignus*, ministrant zamyka okiennice, gasi świece, które zastępuje małą lampą. Będzie mógł powrócić po dwóch godzinach, usuwając napis, jaki pozostawił na drzwiach: „Cisza! Ojciec odprawia mszę". Filip z trudem oderwie się od Komunii, która stała się codzienną ekstazą.

Najwyższe osobistości następują u niego po sobie, zawsze wmieszani w pospólstwo Rzymu i w tę całą florencką młodzież. Po św. Karolu Boromeuszu, inny kardynał Boromeusz, Fryderyk, zastąpił go w przyjaźni Filipa.

Liczni inni purpuraci stali się stałymi bywalcami pokoiku u szczytu schodów, jak Cusano, lub Vallier. Pisząc zachwycający pseudoplatoński dialog, *Filip, czyli Radość chrześcijańska*, jako pierwszy nada mu przydomek Sokratesa chrześcijańskiego, który tak bardzo jest dla niego odpowiedni.

Wiosną 1594 roku będzie musiał położyć się do łóżka. Cały Rzym jest tym przygnębiony. Papież jest zdenerwowany wiadomościami o nim. Powroty do zdrowia i ponowne popadanie w chorobę. Niespodziewanie, kiedy już stracono nadzieję, wizja Matki Bożej znowu stawia go na nogi.

Rok później, o tej samej dacie, ponownie zapada w chorobę. Tym razem uważa się go za straconego. Ale on dobrze wie, że pierwszego maja, w dzień swojego patrona, odprawi mszę. Jest faktem, że tego dnia znowu wstaje i zdaje się był uleczonym. Niemniej jednak, jego wieczny katar, z gwałtownymi atakami gorączki, jakie on wywołuje, kończy się ponownym zaatakowaniem go przez chorobę.

Dnia 12 maja gwałtownie wymiotuje krwią. Baroniusz udziela mu ostatniego namaszczenia. Kardynał Boromeusz początkowo uważa go za zbyt słabego na to, aby mógł przyjąć wiatyk. W końcu decyduje się jemu go przynieść. Zaledwie zobaczył hostię Filip ponownie się ożywia. Swoim, jak zawsze, mocnym i pełnym głosem, woła: „Oto moja miłość! Oto moja miłość!...", potem: „Dajcie mi ją natychmiast!" Kiedy kardynał mówi *Do-*

mine non sum dignus, łzy wypływają strumieniem z jego oczu i powtarza: „Nigdy nie zrobiłem niczego dobrego! Niczego...”.

Kilka dni potem, ku zdumieniu lekarzy, jeszcze raz odzyskuje siły, ponownie podejmuje swoje zajęcia. W zaufaniu wyznaje staremu kapucynowi, swojemu przyjacielowi: „Kiedy wyzdrowieję, chcę zmienić życie”. Od długiego czasu nigdy nie czuł się lepiej. Wszędzie rozpowszechnia się dobra wiadomość. Ale on nie ma złudzeń. Consolini w jego obecności mówi, że nie ma już potrzeby odprawiania mszy w jego intencji. Odpiera: „Przeciwnie, odprawcie za mnie mszę żałobną. Ja wiem, jak się czuję”.

Dnia 25, słucha spowiedzi przez cały poranek, następnie odprawia mszę. Przychodzi odwiedzić go kilku gości, wśród nich kardynał Cusano, który spowiada się przed nim. Potem obydwaj razem odmawiają brewiarz w obecności kilku innych. Z nadejściem nocy, po skromnej kolacji, zgodnie z swoim zwyczajem, kładzie się do łóżka. Ojcowie przychodzą na koniec wieczora prosić go o błogosławieństwo. On pyta, która jest godzina. Odpowiedź brzmi: „Trzecia godzina nocy” (jedenasta wieczorem). Wtedy powtarza, niejako machinalnie: „Trzy i trzy sześć, trzy i trzy sześć”. Nikt nie zwraca na to uwagi. Ale, o szóstej godzinie nocy, Gallonio, który śpi na piętrze, rozpoznaje niespodziewane uderzenia trzciną w podłogę. Przybiega, Filip jest na nogach. Z trudem oddycha i mówi mu: „Pomocy! Antonio, odchodzę”. Wezwany natychmiast lekarz przykłada mu bańki, ale Filip jedynie mówi: „Jeżeli nie macie innego lekarstwa, przepadło: umieram”. Jednakże dyszenie piersi stopniowo się zmniejsza.

Tymczasem ojcowie zebrali się w pokoju. Baroniusz odmawia modlitwy za konających, następnie mówi do Filipa, wciąż siedzącego na jego łóżku, ale z zamkniętymi oczami: „Ojcze, odchodzisz bez udzielenia nam błogosławieństwa?” Na to Filip otwiera oczy, na chwilę podnosi je. Potem powoli pochyla głowę i, w jednym westchnieniu, jego ziemskie życie zostało zakończone.

Można powiedzieć, że jego zwłoki, pochowane w dwa dni później, szybko stały się przedmiotem kultu dla całego Wiecznego Miasta. Jednakże, dopiero w 1615 roku będzie on ogłoszony błogosławionym. Dnia 12 marca 1622 roku, Grzegorz XIV ogłasza go świętym i przedstawia do kultu całemu Kościołowi powszechnemu razem z Ignacym Loyolą, Franciszkiem Ksawerym, Teresą z Avila i Izydorem Oraczem.

Jak w kilku i zwięzłych słowach wyrazić ducha Filipa? Jaka jest istota tego czaru, którym ten łowca dusz, jak określał samego siebie, je chwytał?

Powtórzmy to, tym co przede wszystkim przyciągało do Filipa, było nieuniknione wyczuwanie w nim obecności Ducha. Nie wszyscy to odczuwali, a zwłaszcza nie wszyscy to wyrażali w ten sam sposób, ale nikt, kto by żył w pobliżu przez jakiś czas, nigdy nie mógłby w to wątpić. Trzeba powrócić do nadzwyczajnych objawów tego daru. Czy może nie ma w nich czegoś, co zdumiewało ludzi prostych, co konsternowało mądrych, nawet jeżeli głębsze świadectwa musiały w następstwie zawładnąć sercami?

Filip, półsiedząc na swoim łóżku w San Girolamo, mówił o Chrystusie czy o Bogu? Łatwo wstrząsało nim konwulsyjne drżenie. Poruszenie było tak gwałtowne, że udzielało się łóżku, często wydawało się, że także obecnym, całemu pokoikowi. Rzecz jeszcze bardziej dziwna, on sam podczas tych poruszeń odczuwał ogień w swojej piersi. W pełni zimy, aby go złagodzić, trzeba było otwierać okno. Wspomnieliśmy o niekończących się godzinach spędzanych przez starca na zimnej loggii Vallicelli. Wydaje się, że wrażenie nie było tylko subiektywne. Niezliczone są świadectwa tych, którzy stwierdzają, że realnie odczuwali, w uścisku Filipa, obecność tego wewnętrznego ognia. Czyż zresztą Święty nie chciał uśmierzać męczących pokus, przynosić ulgę udrękom zaniepokojonej duszy? Opierał głowę penitenta na swojej piersi, i ta prosta bliskość tego tajemniczego ognia rozjaśniała oraz oczyszczała sumienia. Streszczamy tylko świadectwa procesu kanonizacyjnego. (W historii świętości można by zasygnalizować inne przykłady tego osobliwego fenomenu. Większość należy do wschodniej tradycji „starców”, do których zresztą Filip jest podobny przez wiele innych cech. Przytoczmy tylko kontrast między życiem pustelniczej kontemplacji, które poprzedza posługę kierownictwa duchowego nadzwyczaj precyzyjnego i ojcowskiego. Zauważamy, że nic nie ukazuje tak zaskakującego podobieństwa z przypadkiem Filipa, jak podobieństwo, bliższe naszym czasom, sławnego „starca”, którego rosyjscy chrześcijanie nazywają świętym Serafinem z Sarowa).

Ta obecność Ducha będzie się jeszcze przekładała na częste ekstazy. W pewnych chwilach Filip nie będzie potrafił wyrecytować „Ojcze nasz”, nie popadając w ekstazę. Jeszcze mniej: wystarcza jedna myśl... Zdarzyło się, że pewien uczeń, wszedłszy rano do jego pokoju, zastał go na nogach, z górną częścią ubrania w ręce, widocznie zaskoczonego ekstazą w chwili, gdy się zabierał do jej ubrania. Naturalnie, msza była niejako uprzywilejowanym momentem tych doświadczeń. I tutaj wspomnimy o ekscentrycznościach, do których, później, trzeba nam będzie powrócić. Filip, który za

wszelką cenę chce unikać tych kłopotliwych objawów, tym bardziej, że zbytnio podnoszą go one w oczach tych, którzy są ich świadkami, nie będzie wiedział co wymyślić, aby im zapobiegać. W zakrystii będzie się bawił pieskami lub ptakami. Dojdzie do tego, że będzie kazał czytać sobie zbiory ulubionych dykteryjek. Przy ołtarzu, gdy owłada nim atak, będzie używał najrozmaitszych środków zaradczych, aby im zapobiec. Będzie zmieniał miejsce na stopniach ołtarza, zwracając się do ministranta lub wiernych. Albo czytając Ewangelię, będzie się bawił swoimi kluczami lub zegarkiem. Daremne środki zaradcze. W miarę, jak będzie posuwał się naprzód w świętej Ofierze, będzie unosił go zachwyt, nad którym już nie udaje mu się zapanować. Raczej będzie słowa śpiewał niż je wypowiadał. Zaledwie dokona konsekracji, będzie zdawał się podnosić nad ziemię. W końcu dojdzie do tego samotnego celebrowania mszy, której porządek już opisaliśmy. A ministrant, w momencie jednej z jego niekończących się Komunii, usłyszy go powtarzającego z świętą konsternacją: „To jest krew! Rzeczywiście, to jest krew!"

Przeto nie należy się już dziwić, że on, w jego ostatnich latach, poza kilku słowami, zrezygnował z wypowiadania się publicznie. Każde mówienie o sprawach Bożych, w ciągu jednej lub dwóch minut, zatracało się w bełkocie i we łzach. Pewnego dnia widziano go schodzącego z ambony, ponieważ nie był w stanie wypowiedzieć żadnego słowa. Najbliżej znajdujący się koło stopni słyszeli go jak mówił do siebie: „Ci, którzy żądają ekstazy, nie wiedzą czego żądają!"

Bez wątpienia, i najsłuszniej, to wszystko, jako nadzwyczajny anewryzm, o którym mówiliśmy, bynajmniej nie jest czymś nadprzyrodzonym, i nikt bardziej niż on nie był tego pewny: tutaj tylko rozpatrujemy jego reperkusję na ludzki organizm zmiażdżony presją Ducha.

Te fenomeny, oddzielone od ich źródła, pojawiałyby się jedynie jako symptomy patologiczne. Jednak w tym miejscu są one inne, bardziej bezpośrednio psychologiczne, na które się przekłada nieziemski charakter tych ekstaz. Najbardziej znaczącym, i najbardziej znanym, jest jasnowidzenie. Pomijam przepowiednie o papieżach, którzy mieli wyjść z tego lub innego konklawe, oraz wiele innych tak samo banalnych przykładów, a ponadto zawsze bardziej lub mniej dyskusyjnych. Niewątpliwie, w tym delikatnym florentczyku były anteny naturalnej, nieprzeciętnej wrażliwości. Dodajmy ponadto, że niemal nieprzerwana praktyka konfesjonału dostarczyła mu niezwykle przenikliwej intuicji. Jest pewne, że nie mają znaczenia penitenci, którym od razy wypowie całą listę ich grzechów, jeśli nie wręcz ich tajemne myśli, zaledwie uklęknęli obok niego. Gdy ktoś wyznaje mu swój podziw, on na pytanie odpowiada wymijająco jakimś żartem, jak miało to miejsce z owym naiwnym brodaczem, który go zapytał: „Ojcze, jak to zrobiłeś, że rozpoznałeś moje grzechy?" „Po twojej brodzie!"

Nie mówiąc o owej młodej wdowie, która będzie się spowiadała z swoich zuchwałych myśli o zniechęceniu, i usłyszy od niego w jednej chwili sformułowaną odpowiedź: „Twój mąż, Messer Virgilio, nie żyje, on, który był młody, a ja, nieznośny staruch, jeszcze tutaj jestem, nieprawda?" Filip, oprócz Ducha Świętego, dysponował tak wielkim dowcipem *tout court*, którym zawsze trafiał w sedno. Ale sprawy się zmieniają, kiedy widzi się go wychodzącego z konfesjonału, aby zatrzymać obiboka, jakiego widział przechodzącego przez kościół, który, chwilę później, będzie wyznawał płacząc u jego stóp smutną historię, o której sądził, że zna ją tylko on sam, a którą Ojciec wyszeptał mu od ucha. Teraz, takie impulsy są u niego na porządku dziennym. W końcu, przyzwyczajono się do nich tak bardzo, że jeden z jego młodych uczniów, namawiany w jego nieobecności do ciężkiego wykroczenia, będzie się ratował przed upadkiem, mówiąc sobie: „Nie! Ojciec natychmiast będzie o tym wiedział!"

Z cudów uzdrowienia, jakie przypisywano mu za życia, przytoczę tylko jeden. Ten jest najbardziej sławny: wskrzeszenie na chwilę małego Paola de Massimi, którego chciał się przywołać do życia, jeżeli nie dla wyspowiadania go z zapomnianego grzechu ciężkiego, jak chce legenda, to przynajmniej w celu przekazania go śmierci z duszą doskonale uspokojoną. Liczne zresztą wydają się być uzdrowienia, których on dokonał błagając poprzez upartą wiarę, której zuchwałość nas przestrasza. („Nie chcę, abyś umarł!" często będzie mówił). Wszystkie sceny są do siebie podobne, a gorąca modlitwa świętego jest postrzegana jako kojarzona z praktyką starożytnych proroków, Eliasza lub Elizeusza, nie tylko z powodu wkładania rąk na chorego, ale rozciągania się na nim (niewątpliwie, dla szczegółowego opisania jego gestu zawsze będzie służyła idea obecności Ducha w jego sercu).

Jeżeli do tego dodamy przeświadczenie, któremu towarzyszy wyraźna prostota w najróżniejszych przedsięwzięciach, że Duch go prowadzi przez bezpośrednie natchnienia, trzeba będzie uznać, że niewielu jest świętych, którzy z większą naturalnością żyli w nadprzyrodzoności, lub że, tak jak Filip, codziennie doprowadzali do zanurzania się w niej swoich naśladowców.

Ale właśnie tutaj wieczny paradoks Filipa będzie dążył do eksplozji. W tym samym mistycyzmie i nie tylko w przemienności z nim, nasz święty zachowuje naturę ludzką niewiarygodnie bliską najbardziej prostym wśród ludzi. I tym, co ma największe znaczenie jest to, że najzwyklejszy zdrowy rozsądek wydaje się znajdować upodobanie w przenikaniu go w momencie bezpośredniego zbliżania się ekstazy. Powtórzmy to dla uniknięcia niejasności: nikt, jak on, nie potrafił tak chłodno oceniać tych zdumiewających fenomenów i jeżeli kiedykolwiek żył mistyk, który nie ufał nie tylko iluzjom, ale po prostu każdej zewnętrznej oznace tego, co nadprzyrodzone, właśnie jest nim Filip. Nie zatrzymujemy się na ostrożności, pozornie bardzo przyziemnej, z jaką przyjmował opowiadanie o nadzwyczajnych łaskach (mówiono mu o mistycznym kryzysie pewnej pobożnej młodej dziewczyny: „Niech wyjdzie za mąż!" odparował natychmiast). Ograniczamy się tylko do rozważania jego własnych doświadczeń, i to tych, co do których on sam na pewno nie ma wątpliwości, że mają nadprzyrodzoną podstawę.

Inna scena w konfesjonale, która cudownie to odmalowuje. Sulpizia Sirleta widziała go odprawiającego mszę. Niewątpliwie nie znała go jeszcze, i mogła być tylko zdumiona. Niedługo potem spowiada się u niego. Chce wyznać to, co teraz uważa za pochopną opinię, ale oddajmy jej słowo: „«Ojcze, powiedziałam mu.... potem wstydzę się mówić dalej». Wtedy Błogosławiony Filip mi mówi: «Głupia, obgadywałaś mnie, nie prawda?» i ja odpowiadam: «Ojcze, tak». On mi mówi: «Tak? Co powiedziałaś?» «Ojcze, widziałam cię unoszącego się nad ziemią, gdy odprawiałeś mszę...» i błogosławiony Filip natychmiast odpowiada: «Milcz! Milcz!» kładąc sobie rękę na ustach. A ja wtedy mu mówię, że powiedziałam sobie: «Och, ten Ojciec musi być opętany!...» Wtedy Ojciec Filip zaczyna się śmiać i mówi mi: «To prawda! To prawda!...»".

Niewątpliwie owładnięty paroksyzmem śmiechu, w cieniu konfesjonału powtarza szczęśliwy: „Tak, jestem opętany! Jestem opętany!...". Potem będzie lubował się opowiadaniem tej historii swoim bliskim, że tylko jeden raz Duch nie objawił mu tajemnicy serc!

Ogólniej i głębiej nie wiemy, co najbardziej przyciągało do niego. Czy objawy Ducha, które widzialnie podnosiły go ponad naturę ludzką, czy ten objaw, bardziej popularny, który cały polegał na oddaniu tej natury ludzkiej samej sobie. Oczyszczając ją z wszystkich mrocznych pozostałości grzechu, oświecając ją Bożą miłością, Duch naturze ludzkiej Filipa daje coś

z głębokiej jasności, z bezdennej prostoty, która odróżnia postać Chrystusa od postaci największych świętych, na przykład Jana Chrzciciela. Natura ludzka jest bardziej ludzka po prostu dlatego, że jest boska, oto co się odkrywa ze zdumieniem. Wszystko może zawierać się w jednym działaniu: związek najbardziej wrażliwej czułości z najmężniejszą lub najsubtelniejszą czystością.

Niewielu świętych na równi z nim płakało z ludźmi, weseliło się z nimi, dawało im wrażenie podzielania z nimi ich radości i ich kłopotów, może doznawania ich bardziej intensywnie niż oni sami. Jakiż nauczyciel, poza Naszym Panem, wkładał tak bardzo wiele odczuwalnego entuzjazmu w swoje więzi z uczniami? Nikt bardziej niż Filip nie wydawał się tak bardzo spontanicznie ulegać najżywszym i najprawdziwszym uczuciom. Łzy i śmiech zabarwiają się w nim głęboką prawdą, która ma wielką wartość w oczach prostych ludzi, tak wielką, że wydaje się nieocenioną, to jest ten „milk of human kindness" („mleko ludzkiej życzliwości"), Shakespeare przedstawia nam wszystkich, którzy są go spragnieni.

Ale, jeżeli pozwolicie, idźmy dalej. Z tą samą wrodzoną przeźroczystością, a jednak tak bardzo świadomy wszystkich pułapek ciała i Ducha, wzrok Filipa nie będzie obawiał się spocząć na pięknych twarzach, jak i na pięknych krajobrazach... Ale rzeczywiście, z niego emanuje taka, niejako dotykalna, atmosfera, nie wiem, jaki zapach śniegu i lilii, która rozprasza wszelką złość. Można by powiedzieć, że on w świetle rozwiewa prochy nocy. Ten starzec o jasnych oczach, którego ciało, w jego zgrzybiałości, zachowuje młodość anielskich rysów twarzy, rozsiewa czysty urok, w którym same z siebie rozwiązują się spętane dusze. Magia jego tchnienia oczyszcza serce z jego błota. Zdeprawowane wrażliwości Renesansu w styczności z nim rozjaśniają się nie wiadomo jak. Nie tylko pospolici rozpustnicy, ale nawet ten dwuznaczny platonizm, który unosi się wokół namiętnych przyjaźni odradzających się z przeszłości, wszystko to, zaledwie on się do tam zbliża, rozluźnia uścisk jego fatalności. Zaczarowanie zostaje rozproszone przez samą jego obecność, a dusze zniewolone stają się wolne.

Do tego, nie będzie tu konieczna heroiczna niewrażliwość okrutnej ascezy, aby odnieść zwycięstwo nad głosem syren. Swoim uczniom nie przedstawi on samego triumfu Ducha nad powalonym na ziemię ciałem, ale bardziej tajemne i wyższe zwycięstwo, które ciało uzdrowionego serca oddaje prawdziwej miłości. Jest to z pewnością najwyższym osiągnięciem

Filipa: czyż może nie jest to najbardziej oczywistym przeczuciem tego, co Duch może dzisiaj ofiarować duszy ukrzyżowanej w Chrystusie zmartwychwstania, które oczekuje ją z nim?

I tutaj trzeba to powtórzyć: dla tego najwyższego cudu nie ma punktu kluczowego, punktu metodycznego, aby dojść do niego, punktu praktycznego, aby go uchwycić, jest tylko głębia tego wchłaniania w Bożego Ducha otrzymanego przez spokojną wytrwałość bezpośredniej wiary. W tym momencie, trzeba to przyznać, jesteśmy w istotnym punkcie. Jeśli chodzi o pytanie o najwyższy dar Filipa, możemy tylko powiedzieć: prostota, tak prostota, która ujednolica całą duszę, aż do jej nieświadomych głębin, pod spojrzeniem Boga. Ale, jeżeli się stawia pytanie o drogę, nie będziemy mieć innej odpowiedzi. Jeszcze raz, prostota, ta prostota, która polega na postępowaniu krok w krok z Bogiem, ręka w rękę, w pełni wierni Łasce obecnej chwili, w ten sposób otwierając na oścież drzwi tej chwili, która nastąpi, dopóki, po przekroczeniu wiecznych katarakt, nie dotrzemy do bezkresnego oceanu pokoju. Ale to mieści w sobie, zarówno całkowitą religię, która potrafi, kiedy trzeba, wyłączyć całe stworzenie, aby dotrzeć wyłącznie do Jedynego, oraz całkowitą wspaniałomyślność, która potrafi jednakowo dobrze, wtedy kiedy trzeba, według słów innego świętego, „pozostawić Boga dla Boga".

Tym niemniej, gdybyśmy się zatrzymali tutaj, wprowadzilibyśmy czytelnika w błąd. Pozostaje tajemnica do wyjaśnienia w prostocie, równocześnie ludzkiej i boskiej Filipa.

I w tej samej mierze pozostaje wskazanie na ową nutę, która jest dla niego charakterystyczna w koncercie chrześcijańskiej świętości.

Mogliśmy już zobaczyć oryginalność, odważymy się powiedzieć: ekscentryczność Filipa. Jednak nie można się ograniczyć tylko do wspomnienia o niej. Filip nie tylko daje wyjątkowy przykład miłego świętego, jak mówił Goethe, ale takiego, którego trzeba nazwać świętym mistyfikatorem.

Inne przykłady oprócz tych, jakie zdołaliśmy zebrać na poprzednich stronicach? O polskich szlachcicach, którzy przyszli odwiedzić go na Vallicelli jako budującą osobliwość, którą ktoś polecił im w szczególny sposób? Filip przyjmuje ich z wielkim smutkiem i prosi ich, aby posłuchali jednej z dobrych książek, z której czerpie swoją lekturę duchowną. Wtedy, na jego polecenie jeden z uczniów czyta poważnie najgorsze bzdury Piovana Arlotto.

Biada wielkiej damie rzymskiej, która zaprosi świętego kierownika duchowego, aby popisać się nim w kręgu jej powiązań światowych! On przyjdzie, uprzejmy i ujmujący jak nigdy, świeżo ogolony: ale tylko z jednej strony twarzy, podczas gdy druga afiszuje się ośmiodniową brodą.

Jak pewien prałat humanista, i w dodatku mało skłonny do doceniania żartów, uczestniczy w jego Mszy? Filip, niewzruszony, namnoży barbaryzmów. I w dodatku, po powrocie do zakrystii będzie się dowiadywał od ministranta o minę, jaką miał dostojny i uczony monsignore. Nie zatrzymuję się przy skromnych błazenadach: przystrojenie się w śmieszny sposób, (ogromne białe buty, futrzany płaszcz lub czerwony sweter na sutannie); przechadzanie się z wiązanką żółtych kwiatów przybierając ekstatyczne pozy; wykonywanie przed całym ogółem kardynałów zabawnego tańca, improwizując humorystyczne wiersze. Do tego dołączają się szelmowskie dowcipy, których wszyscy wokół niego są ustawicznie ofiarami, a które mogą przyjmować różnorodne formy, od improwizowanych dziwactw: pociągnięcie za brodę surowego gwardzistę szwajcarskiego, lub włożenie pary okularów na nos poczciwych kobiet, które chcą pocałować jego rękę, do żartów staranniej opracowanych. Pośle Baroniusza, żeby skosztował wszystkie wina pewnej gospody...., aby w końcu kupić z nich pół litra, posuwając przewrotność do tego stopnia, że kazał mu poprosić o wydanie reszty ze złotej monety. Jeszcze bardziej skandaliczny był zwyczaj powierzania temu, kto prosił go o jego interwencję uważaną za cudowną, liturgicznej bursy, nakazując, żeby bardzo strzec się przed otwarciem jej, i polecając położenie jej na chore miejsce. Po jego śmierci, pobożne damy, które nią zawładnęły, nie będą mogły się doczekać otwarcia jej i, po jej otwarciu, znajdą w niej, jak we wszystkich tego rodzaju bursach, kawałek płótna, do którego kpiarz przyczepił, niewątpliwie po to, aby go obciążyć, medal za dwa soldy...

Dobry Bacci, w swoim życiorysie Filipa, rozdział, w którym gromadzi wszystkie te szczegóły i wiele innych, tytułuje niewinnie: Praktyka umartwienia, jaką Filip stosował... Na pewno! Filip, widać to z poprzednich przykładów, potrafił zręcznie wyciągać korzyści z wszystkich elementów swojego charakteru, jak i z wszystkich okoliczności swojego życia, aby podnosić się wobec Boga poniżając się w oczach ludzi. Bądźcie pokorni, bądźcie skromni, było jego refrenem.

Co nie przeszkadza, że wielka liczba świętych, chociaż sami umartwieni, z trudnością by rozumiała, że za pomocą tych środków można szukać

pokory. Dlaczego Filip? Większość jego biografów usiłuje usprawiedliwiać, wyjaśniać, wreszcie szukać wykrętów. Nam bardziej stosowne wydaje się mówić o tym otwarcie.

Jeżeli on do takiego stopnia mnożył tego rodzaju żarty, to przede wszystkim dlatego, że pobudzał go do tego jego charakter, a nie widząc grzechu u podstawy tej skłonności, nie uważał, że powinien się jej przeciwstawiać. Ale, z pewnością, w tym jest coś więcej. Sposób całkowicie systematyczny, w jaki uprawiał to błazeństwo, kryje głęboki sens. Co się tyczy tego, hagiografowie mają rację. Jedynie, ich interpretacja jest zbyt ograniczająca. Filip nie mnożył dziwactw dla prostego celu posiadania świętej satysfakcji przez bycie uważanym za pomylonego. Jego nieokiełznany humor jest spontanicznym przekładem tej najwyższej wolności, która, w nim, jest nierozerwalnie związana ze stanem łaski. Przypomnijmy sobie słowa Newmana odnośnie Dawida i zbroi Saula. Ta spokojna obojętność w stosunku do każdej instytucji religijnej, która nie jest Boża (lub, lepiej, która nie jest tym samym Kościołem Chrystusa), ta nieprzezwyciężona nieufność w stosunku do tego, co „wcześniej ukonstytuowane": reguł, metod, abstrakcyjnych zasad, a przede wszystkim uporczywe odrzucanie bycia osobistością, są jednakowo zbieżnymi aspektami, w konfrontacji, z którymi wybucha iskra tej komiczności. Filip odruchowo wie, że fundamentalną przebiegłością demona, i najbardziej subtelną, jest usiłowanie naturalizowania łaski. Cała religia, wreszcie całe chrześcijaństwo są tylko praktykowaniem zależności: najwyższym podstępem szatana jest pobudzenie człowieka do zawładnięcia darem Bożym przez przypisywanie go sobie. Lecz humor Filipa zapobiega braniu siebie na serio. On ustawicznie wypiera się tego co stworzone, on wiecznie zapomina o przepaści między bożym Modelem a obrazem, jaki chciałoby ono zaproponować. Czyż ulubioną modlitwą świętego nie było to piękne zdanie: „Panie, nie ufaj Filipowi"? Baroniusz chciał w każdej chwili przypominać ludziom, że każda sprawa ludzka kończy się sądem. Nie był on tak bardzo daleki od swojego nauczyciela, jak można by sądzić, ale ten ostatni znalazł, dla wpajania lekcji, lepszy system. Do jego szaleństwa należy w końcu zdanie włożone przez Księgę Przysłów w usta kobiety silnej, uosobienia prawdziwej mądrości: „Ridebit in die novissimo", będzie się śmiała w ostatni dzień.

Ale jeszcze raz znajdujemy się w obecności tego samego uśmiechu, i zbytnie zatrzymywanie się przy nim mogłoby okazać się dla nas gorzkie. Antidotum na śmiertelną powagę, do której pobudza nas pycha, jest ostatecznie pogodna prostota dzieci Bożych. Po powrocie w ramiona Ojca, odmłodzeni nieprzerwanym wlewaniem ciągle nowego życia, dlaczego mieliby chcieć być wyniosłymi? Są na tym świecie jedynymi, którzy posiadają tajemnicę prawdziwej radości. A radość dla tego, kto nie jest w stanie zgłębić jej przyczyn, zawsze będzie wydawała się szalona. Zawsze, kiedy będzie ona tak czystą jak u Filipa, spokojnie będzie mogła beztrosko się śmiać i mówić, znowu i zawsze z Mądrością: Delectabar per singulos dies, ludens coram eo omni tempore, ludens in orbe terrarum, et deliciae meae esse cum filiis hominum: I byłam przy Nim mistrzynią, rozkoszą Jego dzień po dniu, cały czas igrając przed Nim. Igrając na okręgu ziemi, radowałam się przy synach ludzkich.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Oratorium zrodziło się ze spotkania, w św. Filipie, duszy wyjątkowo duchowej i umysłu wyjątkowo otwartego. Apostolat ukształtowany z bezgranicznego przystosowania, z szczerego entuzjazmu dla współczesnej natury ludzkiej, który jednakże karmi się z wielkich źródeł Bożego Słowa, liturgii i chrześcijańskiej starożytności: taką jest i na zawsze taką pozostanie jego znamienna cecha. Filip jest człowiekiem forum: już nie mówca, który wchodzi na rostrę (mównica na forum), lecz obibok, który bawi swoich towarzyszy może kosztem samego mówcy, który jednak przekonuje ich o wiele łatwiej i o wiele głębiej od niego. Ale Filip jest także i przede wszystkim samotnikiem, który w pielgrzymce udaje się do konstantyńskich bazylik, który rozmyśla wśród męczenników, który Ojców pustyni traktuje jako swoją ulubioną lekturę. Bez obawy możemy określić go najbardziej nowoczesnym apostołem, ponieważ jest nie tylko najbardziej uduchowionym człowiekiem, jaki wtedy istnieje, ale także całkowicie zanurzonym w najgłębszych źródłach chrześcijańskich. Bezpośrednie poczucie religijnych tradycji najbardziej kościelnych, najbardziej apostolskich, w pierwotnym znaczeniu słowa, jest podporą, nieporównywalnie bardziej solidną od wszelkiego wyposażenia zewnętrznego, dla niezależnego apostolatu, jak ten jego.

Z kolei, wspólnota oratoryjna będzie potrafiła wpływać na wszystkie warstwy społeczeństwa, chroniąc się przed duchem świata dzięki jedynie obecności Ducha Bożego, zachowywanego w niej przez charakter całkowicie apostolski jej wspólnego życia. Będzie ona potrafiła zanurzyć się w świecie i wzbudzać w świecie pragnienie przyjścia do niej, jednak nie będąc ze świata, ponieważ tym, co ją cementuje, jest tą samą rzeczą, która

ponownie łączy Kościół i niczym innym: słowo Chrystusa, obecność Chrystusa, działanie kapłańskie Chrystusa.

A teraz, w całkiem innym otoczeniu. Jesteśmy we Francji, tego samego roku, który następuje po śmierci Henryka IV: 1611. W tej Francji szarpanej, niespokojnej, za młodego Ludwika XIII, jakież wrzenie! Wojny domowe, w tym samym czasie wojny religijne, uspokoiły się za panowania zmarłego króla. Ale wystarczyłby jakiś błahy powód, aby ponownie się rozszalały. Jednakże Francja podnosi się na nogi, i to szybciej i mocniej, niż mogłoby się wydawać. Ale wszystko zachowuje swobodę, coś rycerskiego, coś romantycznego, czego wielkość Ludwika Wielkiego nie będzie mogła wyeliminować bez pozostawiania wielu żalów. Postacie pełne życia i malownicze wycofują się w tej epoce jak w kilku innych epokach francuskiej historii.

Ale gdzie jest w tym wszystkim chrześcijaństwo? Nie bezkarnie religia przez jeden wiek stała się łupem stronnictw. Wierność, która zachowała się dla Kościoła, jest zbyt często rodzaju zilustrowanego przez Montaigne'a: rozważny konserwatyzm społeczny ledwie zakrywa nieuleczalny sceptycyzm. Bycie wtedy katolikami, jest byciem wrogami radykalnych zmian, które tak wiele zła wyrządziły Francji. Ale to niekoniecznie znaczy bycie religijnymi. Ale najgorsze jest to, że kiedy podobni chrześcijanie mają potrzeby duchowe, jak sam Montaigne[7] lub jak Pierre Charron[8], zwracają się raczej do stoicyzmu niż do ich wiary.

Jednakże, pośrodku tych aberracji lub tych nieszczęść, zaczęło się odrodzenie religijne. Objawia ono ten sam sok, który płynie w tym człowieczeństwie rycerskim, awanturniczym, stąd powieści płaszcza i szpady prędko będą spotykane w wartościowej literaturze. Święty Franciszek Salezy, sabaudzki szlachcic, odważnie chrystianizuje światowość epoki. Będzie miał tak wielki sukces, że będzie skierowywał do swoich nowych klasztorów Wizytek wiele szlachetnych kobiet, które, rozpocząwszy z pobożną afektacją od *Wprowadzenia do pobożnego życia*, skończą na męskiej pobożności *Traktatu o miłości Bożej*.

[7] Montaigne, Michel Eyquem de, (1533-92), francuski pisarz i filozof; główne dzieło *Próby* (Essais) (przyp. tłum.).

[8] Charron, Pierre (1541-1603), filozof, teolog, kaznodzieja, ksiądz, przyjaciel Montaigne'a, humanista, głosił postulat filoofii dostarczającej praktycznych reguł życia *De la Sagesse* (przyp. tłum.).

Jego młody przyjaciel, Bérulle[9], będzie wolał postępować odwrotnie. Ten syn wyższego urzędnika, ten początkujący doktor, wychowany wśród dorosłych, których przewyższa mądrością, przeżywane chrześcijaństwo odkryje w środowisku swojej kuzynki, Madame Acarie[10], za pośrednictwem szczytów mistyki. Podczas pobytów u Kartuzów, przede wszystkim ujmie go aspekt równocześnie bardziej duchowy i bardziej tradycyjny religii. Jak św. Franciszek Salezy, protestantom - którzy, w momencie porażek, bardziej niebezpiecznie niż ich bronią, zagrażali francuskiemu katolicyzmowi szczerością ich pobożności, ich poszukiwaniem chrześcijaństwa czystego i pierwotnego - przeciwstawi on pobożność jeszcze bardziej szczerą, głębszy i rozleglejszy powrót do źródeł.

Jezus Chrystus, tylko Jezus Chrystus, ale Jezus odnaleziony w pełni Kościoła, odnaleziony w najczystszej tradycji Ojców, która oświetla Pismo światłem, jakiego protestanci nie są zdolni na nie rzucić: to dla niego jest już pełna odpowiedź jaką należy dać Reformie, warto powiedzieć najprawdziwszej Reformie.

Aby przeniknąć Francję katolicyzmem bardziej duchowym, bardziej nadprzyrodzonym niż chrześcijaństwo Hugonotów, sprowadza do nas, za pomocą kuzynki, zreformowany Karmel z Hiszpanii. Następnie, rozpocząwszy wzmacnianie życia we wspólnocie z Bogiem, na tej podstawie będzie odnawiał autentyczny apostolat.

W związku z tym zupełnie nie miał zamiaru zakładania nowego zakonu. Dla niego zakonem apostolskim tylko i jedynie jest stan kapłański. Zatem chce działać jako zaczyn w kapłaństwie, nadać sens jego misji, jego charakterowi, odciągnąć je od życia zeświecczonego, aby uczynić je zdolnym do przenikania świata w miejscu, w którym powinien zostać przeniknięty. Model Oratorium filipińskiego, Oratoriów, które na wzór rzymskiego rozmnożyły się w Włoszech a nawet w Prowansji, był najbardziej gotów odpowiedzieć na ten zamiar. Jedyną różnicą jest zadanie, które trzeba podjąć, podobnie jak Filipowi przedstawiało się ono na planie miejskim, w sytuacji Rzymu, jemu przedstawia się na planie narodowym, warto dodać, we Francji podejmującej

[9] Bérulle, Pierre de (1575-1629), założyciel Oratorium francuskiego (1611), jego szczególną zasługą było założenie "École Française", kardynałem został w 1627 roku. Najważniejsze dzieło: "*Discours de l'état et des grandeurs de Jésus"*. (przyp. tłum.).

[10] Acarie, Barbe (1566-1618), jej dom w Paryżu był miejscem spotkań czołowych postaci francuskiej duchowości, m. i. Bérulle, Franciszek Salezy i inni. Była matką 6 dzieci, po śmierci męża (1614) został karmelitanką w Pontoise. Beatyfikowana w 1791 roku. (przyp. tłum.).

wielki wysiłek zjednoczenia. Oratorium francuskie zaledwie zostało założone, musiało być gotowe do działania na terenie całego kraju. Zatem nie będzie ono skromną wspólnotą lokalną, lecz wspólnotą, jaka rozszerza się i rozwija licznymi odroślami, które wszystkie zachowują ich jedność inspiracji i dążenia, jednakże w bardziej elastycznej organizacji.

Pierwszą i jedyną oryginalnością, do której Oratorianie francuscy dążą wśród innych kapłanów, jest zapoczątkowanie bycia wiernymi religii, której są duchownymi. Nie chcą konkurować z współczesnymi zakonami w specyficznych formach apostolatu, które są im właściwe: systematyczne ćwiczenia duchowne, spowiedź i kierownictwo wielkich tego świata, arystokratyczne kolegia. Nie chcą być proboszczami i wikariuszami jak inni. Ale chcą poznawać Słowo Boże, aby móc je głosić, nie chcą celebrować Mszy jako zwykłego świadczenia dla zainkasowania honorarium. Brewiarz nie jest dla nich brzemieniem, jakie należy znosić, aby zatrzymać korzyści z ich beneficjum, ale publiczną modlitwą Ciała Chrystusa, jako klerycy, są nadmiernie szczęśliwi z tego, że uczestniczą w niej jako pierwsi.

Życie Filipa, w miarę jak upływały lata, było coraz bardziej absorbowane celebracją eucharystyczną, rozmową z Chrystusem poprzez dar Jego ofiary. Dla Bérulle'a początkiem reformy kapłaństwa jest to odkrycie Chrystusa, Chrystusa żyjącego w kapłanie przez Mszę, i z kapłanem żyjącym w Mszy dzięki całemu Jego Ciału mistycznemu.

Zatem Oratorianin będzie człowiekiem modlitwy. Bérulle i jego uczniowie zawsze będą się cieszyli z przybliżania Oratorium do modlitwy, dokładnie jak dom na Vallicelli w Rzymie, przyjęli jako dewizę słowo Pisma: Domus mea, domus orationis vocabitur. Jednak nie będzie chodziło o jakąkolwiek modlitwę, ale o modlitwę berulliańską. Jak modlitwa Jezusa w Wieczerniku i w Ogrodzie Oliwnym, będzie ona modlitwą istotnie apostolską. Jednakże, będzie nią, jako przede wszystkim wizja wiary. Najlepszym sposobem jej określenia będzie nazywanie jej kontemplacją apostolską. Poza tym nie będzie to kontemplacją jakiegokolwiek przedmiotu, lecz Chrystusa jako Głowy Ciała Mistycznego, tak jak Ojcowie z Kościołem rozpoznawali Go w Piśmie Świętym. Ta kontemplacja każdego kapłana, wszystkich kapłanów zgromadzonych w Oratorium będzie utożsamiała z Jedynym Kapłanem, utożsamieniem, które nie będzie jedynie myślowe, ale przeżyte. W celebracji eucharystycznej kapłan będzie sobie uświadamiał, że jest prawdziwie drugim Chrystusem, lub raczej, że jest w jedności z Chrystusem. Jako święto francuskiego Oratorium, które nazywa on Oratorium Jezusa, Bérulle ustanowi uroczystość Jezusa, w której wszystkie teksty i wszystkie modlitwy będą rozważały Jezusa w Jego całości.

Takie rozwinięcia prowadzą nas dosyć daleko od św. Filipa, tak bardzo prostego, tak mało teologa, a jednak utrzymują nas bardzo blisko niego, całkowicie opanowanego przez Chrystusa Mszy. Ta duchowość berulliańska i, jeszcze bardziej niż powszechnie przyjęte formuły, powroty do źródeł, które są jej właściwe, Biblia, Ojcowie, Liturgia, będą stanowiły nić przewodnią dla francuskiego Oratorium. Jak dla Oratorium filipińskiego, ta nić nigdy nie będzie jakim bądź duchem, lecz będzie, Bérulle dobrze to widział, duchem samego Kościoła. Po prostu, to co z Filipem i jego różnorodną grupą młodych Włochów zostało zawierzone instynktowi, z Bérullem i jego towarzyszami, wielkimi francuskimi patrycjuszami, mądrymi i wykształconymi (obfitują w nim doktorzy Sorbony) stanie się celem całej wypracowywanej kultury kapłańskiej. Dla łączenia jednych z drugimi służy świadomość, że wszystko to przechodzi tylko przez miłość. Nadprzyrodzona miłość, dar ducha, który staje się duszą kapłańskiej wspólnoty, jest tym, co, z Filipem, stało się duchem pierwotnego Oratorium. I będzie jeszcze miłość, miłość podsycana przez wiedzę religijną całkowicie skierowaną do miłowania, która nie chce być czymś innym, jak poznawaniem Jezusa Chrystusa i to Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego, w celu ożywiania Oratorium berulliańskiego.

Nawet nie będzie on chciał dodawać innego autorytetu do autorytetu biskupów, innego prawa do Prawa Kanonicznego, innej formy pobożności do pobożności Kościoła. Ale miłość kapłańska rozwijana przez kontemplację berulliańską wdroży Oratorianów do wszystkich zadań apostolskich, jakich wymaga Kościół. Siła Oratorium będzie tkwiła w jego naturalności. Będzie ono w stanie przystosować się do wszystkich wymagań chwili, nie mając innego kryterium, jak tylko istotne i trwałe. Sama jego nieskażona wierność dla tradycji przeszkodzi mu raz na zawsze w znalezieniu się wtłoczonym w specyficzne tradycje, które zawsze zmierzają do rutyny. Oparte na fundamentalnych tajemnicach wiary, przeznaczone wyłącznie do centralnych funkcji kapłaństwa, będzie mogło zachować się nieskazitelne bez zagrożenia, że skończy wessaniem go przez ducha tego świata, lub zostanie odwiedzione od świętej swojej misji do trosk światowych. Nie nakazując niczego innego swoim członkom poza tym, co jest nakazane wszystkim kapłanom, ono będzie ich ubogacało i uzupełniało jednych drugimi poprzez

ich indywidualne odmienności, zamiast modelować ich w wcześniej przygotowanej formie.

Jego jedność, w pełni nadprzyrodzona, będzie szczerze katolicka; w równej mierze takim będzie mogło być jej działanie. Wolność w miłości, starożytność tradycji, która chce być tylko samą tradycją Kościoła, aktualność powołania, które dąży do tego, aby zawsze być w pełni otwarte na wszystkie wezwania Ducha, taka będzie nie formuła, ponieważ nie ma tam formuł, lecz duch oratoryjnej wspólnoty: wspólnota życia realizowana we wspólnocie służby, która jest służbą Kościoła, służbą Jezusa, który jest sługą w najwyższym stopniu.

Po Bérulle'u, bardzo szybko francuscy Oratorianie zostali zmuszeni wymaganiami rodaków, począwszy od króla, do przyjęcia tych szczególnych zadań, dla których powstawały nowe zakony. Zostanie im narzucone kierowanie wielkimi kolegiami dla młodzieży, jak tymi, które wszędzie w tym momencie były zakładane. Jednakże Bérulle był tak bardzo daleki od chęci zaangażowania się na tej drodze, że sprawił, iż w Bulli założenia została dodana specjalna klauzula, która zabraniała, aby kiedykolwiek przyjęto takie zadanie. Papież odmówił zatwierdzenia tej restrykcji i Ludwik XIII dzięki tej odmowie dodał sobie odwagi do tego, aby zmusić Oratorianów, nie tylko do przyjęcia kolegiów, ale do założenia kolegium szczególnie przeznaczonego dla szlachty. W Juilly, oratorium XVII wieku będzie miało wyjątkowe szczęście zrealizowania nadziei na pewnego rodzaju francuskiego Eton, które inni wymyślili, a którym ono samo się nie interesowało. Ale Juilly nie będzie niczym więcej jak szczególnie sławną nazwą, wśród wielu innych, coraz liczniejszych. W końcu, Oratorium zacznie uchodzić za kongregację najbardziej wyspecjalizowaną w nauczaniu, do momentu, kiedy Traktat o Studiach Rollina[11], którego wiele poglądów pozostaje u podstaw naszego nauczania drugiego stopnia, ogranicza się do stworzenia reguły z doświadczeń Juilly.

Taka okoliczność musiała stać u początku najcięższych rozczarowań Oratorium francuskiego, jednak pozostawała jego sława, bez wątpienia w oczach świata, ale może nie tylko w oczach świata. Kiedy wielki międzynarodowy zakon, zakazany we Francji, a potem zniesiony przez Stolicę Świętą, będzie musiał opuścić swoje szkoły, mała francuska kongregacja zostanie pochopnie zobowiązana do rozszerzenia się, aby je wchłonąć.

[11] Rollin, Charles (1661-1741), francuski pedagog. Prof. teologii, od 1730 roku rektor Sorbony. Zwolennik jansenizmu. Przeprowadził reformę szkolnictwa średniego (przyp. tłum.).

Jednak jest pewne, że to nie przyniesie jej dodatkowych sympatii w środowiskach, w których już teraz nie była szczególnie miłowana. Ale gorsze jest to, że ta nieoczekiwana hipertrofia, zgadzania się z kolei na ich zbyt rozległe odpowiedzialności, przygotowywała upadek jego ducha. Kiedy rewolucja unicestwi Oratorium z innymi kongregacjami, będzie się rozwiewał tylko jego wyolbrzymiony cień, *major sed non pulchrior imago* (większy ale nie piękniejszy obraz).

Jednakże, zadanie kształcenia młodzieży nie zawierało w sobie, pod warunkiem, że się je dobrze rozumiało, niezbędnej niewierności wobec oratoryjnego ideału. Jeżeli Oratorianin przede wszystkim jest kapłanem, kapłan jest przede wszystkim ojcem. Jest on ojcem wszystkich, ale głównie jest on nim dla tych, których sam wiek kształtowania się czyni bardziej zdatnymi do tego, aby byli wdrażania do życia, tam w niebiosach, jak dopiero co zostali wdrożeni do życia tutaj na ziemi. Czyż sam Filip nie był apostołem młodych? I pomimo wszystkich różnic między surowymi Francuzami XVII wieku a dowcipnym florentczykiem z XVI wieku, Oratorianie będą apostołami jak on. Warto powiedzieć, że jeżeli przyjęli oni kolegia, ich kolegia z kolei przybierają bardzo określony charakter.

Kolegia oratoriańskie nigdy nie były „opactwami de Thélème”[12], jak chciano je pojmować. Ale jest pewne, że one rzadko starały się odróżniać od innych przez wojskowy charakter ich dyscypliny. Pewien wielki pedagog, niewątpliwie trochę zblazowany, mawiał dawniej, że zawsze istniały dwie metody wychowania, i tylko dwie: cukier i pejcz. Można je dozować na wiele różnych sposobów, ale nie można znaleźć innych. W Oratorium, na pewno, zawsze bardziej skłaniano się do cukru. Dokładniej, z dwóch środków, które Newman w sławnym studium przypisuje wychowaniu uniwersyteckiemu, autorytet i oddziaływanie, stanowczo preferuje się w nim ten drugi środek. Co wcale nie ma znaczyć, że się lekceważy ten pierwszy, lub, że z tego drugiego czyni się bożyszcze, lecz, że pierwszego stawia się na służbę drugiego i, że stara się stawiać ten drugi na służbę Bogu. Mówi się, że jeżeli młodzi nie znajdują w kapłanie wcielonej miłości Ojca, gdzież

[12] W literaturze francuskiej XVI wieku przekonanie, że człowiek jest z natury dobry. Opactwo de Thélème miało być tego obrazem. Mieszkali nim zarówno mężczyźni jak i kobiety, nie krępowały ich żadne reguły, mieli zupełną wolność i przekonanie, że to, co robią, jest zgodne z naturą, a więc dobre. Tyle pamiętam z nauki języka francuskiego w liceum, nie potrafię jednak przypomnieć sobie ani znaleźć autora, być może był nim Rabelais lub Montaigne? (przyp. tłum.).

ją spotkają? Ale przez to nie zapomina się, według słów Huxleya, że miłość ojca, na przekór pozorom, jest większa od miłości dziadka, a to właśnie dlatego, że jest on bardziej, a nie już mniej wymagający.

Ojciec Condren[13], drugi generał Oratorium francuskiego, założyciel Juilly, jest najdoskonalszym uosobieniem tej prawdy. Nikt nie odznaczał się wykwintniejszą grzecznością, bardziej pogodną uprzejmością od tego wzoru francuskiego szlachcica. Nikt nie był bardziej surowym duchownym, żaden kierownik bardziej nieubłaganym od tego kapłana, którego pojęcie ofiary ma w sobie coś oszałamiającego. Zasługuje on na to, abyśmy przez chwilę zatrzymali się przy nim. Rzeczywiście, nie istnieje osobistość, w której mocne i słabe strony Oratorium Francji byłyby reprezentowane z tak wielką mocą.

Na pierwszy rzut oka, nie można by wyobrazić sobie niczego bardziej odmiennego od św. Filipa niż ten prawie zbyt doskonały arystokrata, ani niż ten teolog o zdumiewającej metafizyce, ale bardzo daleki od ludzkiego zdrowego rozsądku, jaki Filip zachowuje nawet w swoich ekstazach. A jednak, jakże są sobie bliscy! Filip jest działaczem ludowym; ale takim, jakim potrafi się być nim we Florencji, owych drugich Atenach, gdzie każdy obywatel myślał i mówił jak książę. Condren wydaje się być żywym portretem „dworzanina" wyidealizowanego przez Baldassara Castiglione, jednego z pierwszych przykładów „porządnego człowieka (dżentelmena)" naszego XVII wieku. Ale jak mało daje się uchwycić z tego wszystkiego! Ironia, która przesyca to wszystko, co on mówi i czyni, ukazuje go jeszcze bardziej żywo, niż filipiński humor. Ponieważ, gdy Filip jest żartownisiem, o wesołości, która chętnie przekracza granicę w błaznowaniu, na sposób owego Piovana Arlotto, którego anegdoty sprawiały mu radość, Condren jest nim tak samo, ale z niewzruszoną uprzejmością, która czyni go przez to nieco dezorientującym.

Co myśleć o Superiorze Generalnym, który nakazuje modlitwę Kapitule, gdy chce go wybrać wbrew jego woli, a następnie, korzystając z faktu, że wszyscy są zaabsorbowani modlitwą, skacze z okna, wsiada na pierwszego konia, jakiego napotyka i stara się ukryć, jak najdalej to możliwe przed innymi Wielebnymi Ojcami?

[13] Condren, Charles de COr, (1588-1641), teolog i pisarz, święcenia kapłańskie 1614, doktorat z teologii na Sorbonie 1615, do Oratorium wstąpił w 1617 roku. Był przełożonym generalnym, po Bérulle'u, 1629-41, przyczynił się do liczebnego rozwoju zgromadzenia, opracowania konstytucji i ukierunkowania duchowości. Autor kilku znakomitych dzieł (przyp. tłum.).

Straszne dziecko, które miotało strzały do własnego portretu, kiedy damy nazywały go powabnym, młodzieniec, który chodził na polowanie, aby studiować tam teologię w ukryciu przed ojcem, doktor, który komentował historię kanonii zauważając, że zostały one dane biskupom, aby im pomagać czynić dobro, potem raczej służyły do przeszkadzania im w czynieniu zła, i które służyły już tylko do przeszkadzania im w czynieniu dobra, wspaniale były rozumiane przez świętego, który bawił się rzucaniem szelmowskimi dowcipami do pobożnych, którzy przychodzili go uczcić.

Pod ich łagodnym humanizmem kryje się (z trudem) ta sama nadzwyczajna pogarda dla świata. Nikt bardziej od nich nie wystawia się wszystkim na to, co rozwesela innych ludzi. I dochodzą do znajdowania w tym przyjemności nawet oni. Niekiedy, znajdują głównie przyjemność w drwieniu z tych, którzy uważają siebie za bardzo ważnych, jak Condren kiedy zdobywa szacunek kardynała Richelieu, stawiając mu horoskopy. Często jest przyjemność gry dla gry, jak tenże Condren, który powtórnie czyta Cycerona w roku jego śmierci. Ale nie zapominajmy na chwilę, że gra jest grą, czy to odmawiają, jak Filip, być czymś więcej, niż tylko widzami, czy też, jak Condren, zgadzają się być na chwile w jej centrum. Ironii Francuza i humoru florentczyka sens jest ten sam, mianowicie, że poza Bogiem cała reszta jest niczym, i tym bardziej jest niczym, im bardziej uważa się za coś. „Bądźcie pokorni i skromni", powtarza Filip. Condren powie bardziej twardo: „Wy jesteście niczym".

Stąd, w jednym jak i w drugim, ta instynktowna nieufność do tego wszystkiego, co jest instytucjonalne. Filip założył Oratorium nie zamierzając tego i niejako nie wiedząc o tym. Kiedy kongregacja stanie się bezsporną rzeczywistością, potrzebny będzie formalny rozkaz papieża, aby naprawdę zgodził się na kierowanie nią. I do tego, dwoił się i troił, aby swoją instalację przemienić w maskaradę. Oratoriom różnym od tego w Chiesa Nuova, zezwoli na to, aby kierował nimi kto chce, ale zawsze będzie odmawiał okazywania im najmniejszego zainteresowania. Dopiero co powiedzieliśmy, z jaką bezceremonialnością Condren potraktuje swoją generalską godność. O ile bardziej Oratorium będzie przesycone jego duchem, tym bardziej ślad jego rządów będzie zdawał się niemal żaden. Bez bardzo róż-

niącego się od niego Bourgoing[14], może nie zostałyby już odnalezione, według jego przepowiedni, nawet kości.

To odrzucenie wszelkiej organizacji, wszelkiego systemu, tego wszystkiego, co ryzykuje stłumieniem Ducha, łudząc się, że się go wciela, z pewnością nie jest pozbawione narażania się na niebezpieczeństwo. Można było powiedzieć o dramatach Corneille'a[15], że nie nadawałyby się do wystawienia na scenie, gdyby znajdowały się w nim tylko postacie corneillańskie w czystym stanie. W ten sam sposób, Oratorium byłoby nie do zniesienia, gdyby miało tylko Oratorianów tak doskonałych, jak św. Filip, tak wyrafinowanych jak Condren.

Pokusa, jaką tutaj dobrze widać, jest pokusą „naturalizowania", i w ten sposób usztywniania i deformowania tego, co jest wizją całkowicie nadprzyrodzoną. To prawda, że świat, z tym wszystkim, co się w nim tworzy, temu, kto jest przeniknięty zmysłem Bożym, jego wielkością, jego nieskończoną wartością, musi wydawać się niemal nicością. Ale taka wizja wiary nie ma nic do czynienia ze zbyt ludzkim sceptycyzmem. Istnieje niebezpieczeństwo pomieszania ich i przekształcenia postawy kontemplacyjnej w postawę dyletancką, lub, prościej, pozwolenie na to, aby każda sprawa toczyła się swoją drogą, wierząc, że składa się hołd Opatrzności. Jest tak, że Malebranche wielbiącą teologię Condrena i paradoksalny liryzm jego unicestwień przełoży na zniechęconą filozofię, która czyni ze świata iluzję, ze stworzenia chimerę. Na płaszczyźnie praktycznej, wystarczy to, że Oratorianin zawsze jest wystawiony na ryzyko brania go za człowieka bez reszty oddanego wierze, podczas gdy jest tylko senatorem Pococurante (mało troszczącym się) mniejszego wymiaru, aby sprawiać wrażenie, że za świętą wolność dzieci Bożych uchodzi to, co jest tylko „tumiwisizmem" zbyt mało nadprzyrodzonym.

Dlaczego zaprzeczać, że ta pokusa istnieje, że niejednokrotnie zwyciężała w historii? Ale dlaczego wstydzić się tego? Jakaż droga świętości, jeżeli podążają nią słabi ludzie, nie może się stać drogą pychy lub mierności? Albo, czy do sukcesu powołane są tylko duchowości dynamiczne,

[14] Bourgoing, François, (1585-1662), proboszcz w Clichy, w 1611 roku brał udział w zakładaniu francuskiego Oratorium, superior generalny w 1641, starał się o nadanie Oratorium ściśle kanonicznej struktury, zakładał nowe domy, kaznodzieja i rekolekcjonista, postarał się o wydanie Dzieł Zebranych kard. Bérulle'a. Autor szeregu dzieł teologicznych (przyp. tłum.).

[15] Corneille, Pierre (1606-84), dramatopisarz francuski, twórca tragedii klasycystycznych, członek Akademii Francuskiej, autor m. i. *Cyda*, obrazującego konflikt między obowiązkiem a uczuciem (przyp. tłum.).

autokratyczne pedagogie, metody instytucjonalne? Czy trzeba wyszczególniać rezultaty religijnego korporacjonizmu? Co będzie mogło dostarczyć wychowanie nazywane chrześcijańskim, kiedy jest tylko „wskazaniem drogi" („messa al passo")? Czy konieczne jest wyjaśnianie, jakimi krzywymi drogami wola skuteczności dochodzi do poglądu, że cel usprawiedliwia środki?

Pedagogia oratoryjna, kiedy unika wyparcia się siebie i karykaturowania siebie, dąży do czynienia ludzi w pełni ludźmi, ponieważ w pełni wolnymi, ale wolnością, która wie, że jest odpowiedzialna, i odpowiedzialnością, która nie uważa siebie za wolną zanim dała wszystko. Wiedząc, według pięknego wyrażenia Bérulle'a, że „natura jest Boża", nie chce ona jej podważać ani jej okaleczać. Udziela jej ufności i pozytywnie pobudza ją do tego, aby była sobą. Jednak ją uczy, przy okazji, lub raczej jej podpowiada, że nie potrafiłaby uczynić lepszego użytku z samej siebie, jak powierzając się łasce, nie tylko bez oporu, ale także bez zastrzeżeń.

Oto dlaczego w Oratorium zawsze będzie się augustianami w teologii, podczas gdy w filozofii zawsze będzie się tak bardzo wiernymi duchowi tomizmu, że łatwo wydedukuje się z tego oskarżenie o naturalizm. W Juilly, tak pięknie opisanym, chociaż bardzo wyidealizowanym, w *Rozmowach o Naukach* Ojca Lamyego[16], nie miano zaufania do kultury i religii barokowej, do dekoracyjnego humanizmu, w którym wszystko jest kwestią wirtuozerii, do pobożnego humanizmu, w którym pobożność jest tylko ozdóbką. Przede wszystkim chce się tworzyć ludzi, w pełni ludzi ich sfery i ich czasów, którzy będą studiowali nauki na tyle, na ile trzeba dla poznania świata, jakim on jest, którzy będą tworzyli utwory francuskie (a już nie łacińskie) w celu mówienia i myślenia jak ich współcześni. Świetne przemówienia, fałszywe starożytne wiersze, jakie są uprawiane gdzie indziej, tam nie mają żadnego znaczenia. Przedkłada się tam ćwiczenie tłumaczenia, które uczy francuskiego jeszcze lepiej niż łaciny, i które równocześnie wymaga wysiłku obiektywnej inteligencji, aby wejść w ducha kogoś drugiego. Unika się tam sztucznych ogni, które przeszkadzałyby widzieć rzeczywistość. W tej samej mierze, dodaje się odwagi umysłowi krytycznemu,

[16] Lamy, Bernard, oratorianin, (1640-1715), był profesorem w różnych szkołach, z powodu kartezjańskich poglądów został odwołany z funkcji profesora, jednak po 10 latach był znowu wykładowcą w seminarium w Grenoble, potem w seminarium St. Magloire w Paryżu. Z powodu nie podobających się poglądów na Wieczerzę Paschalną został w 1689 roku odwołany i przeniesiony do Oratorium w Rouen (przyp. tłum.).

podczas gdy zraża się polot, który maskuje, przed sobą i innymi, prawdziwe problemy. Typowymi wytworami kultury oratoryjnej są historyk, jak Richard Simon, filolog jak Morin, teolog pozytywny, jak Thomassin (wszyscy trzej z Juilly).

Tego rodzaju ludziom nie będzie się nigdy proponowało chrześcijaństwa politycznego, o minimalnych wymaganiach, od momentu, gdy przyjmuje się w nim konwencjonalne ramy bez poddawania ich dyskusji, ale przedstawia się im Chrześcijaństwo Ojców, Liturgii, Ewangelii, z wszystkim jego nieograniczonymi wymaganiami, w całej jego rzeczywistej wolności.

Naturalnie, nie wszyscy na to odpowiadają. No, ale kto to powiedział, że jest wielu wezwanych, lecz mało wybranych? Czy może wszyscy zgadzają się na poddanie się modelowaniu w matrycy? Ci, którzy nie przyjmują miłości Chrystusa, przynajmniej, tutaj, nie ściągną na siebie nienawiści Kościoła. A ci, którzy ją przyjmują, dobrze wiedzą, że przyjęli zupełnie coś innego, niż prosty konformizm... Montesquieu[17] wyszedł z Juylli? Ale z Juylli wyszli także różni męczennicy z zakonu Karmelitów, generał de Sonis i wszyscy ci chrześcijanie, którzy byli tym bardziej chrześcijanami, że żyli cnotliwie.

W XIX wieku, po przebiegu wypadków Rewolucji, najprawdziwszym odrodzeniem oratoryjnym będzie nowe narodzenie: po odrośli francuskiej, pęd angielski. W 1845 roku, lider Ruchu Oksfordzkiego, John Henry Newman, prowadzony do pełni katolickiej swoim pragnieniem odnalezienia Kościoła Nowego Testamentu i Ojców, opuszcza anglikanizm i zostaje przyjęty do wspólnoty rzymskiej. W dwa lata potem, zakłada Oratorium angielskie, które, po pewnym wahaniu, zachowując formułę włoską, prędko rozpadnie się na dwa Oratoria: jedno, londyńskie, które będzie szło swoją drogą z Faberem, drugie w Birmingham, będzie podążało swoją drogą z samym Newmanem.

Newman ogromnie nas interesuje, ponieważ widział i określił z genialną jasnością, jakie mogło być zadanie Oratorium we współczesnym świecie, jakie byłyby konieczne do tego adaptacje. Ale tym, co nadaje nieporównywalną wartość jego myśli dotyczącej tej sprawy, jest to, że on w tym sa-

[17] Montesquieu, Charles Louis, de Secondat (1689-1755), francuski myśliciel społeczny, prawnik i pisarz; przedstawiciel wczesnego oświecenia. Sformułował zasadę podziału władzy (ustawodawcza, wykonawcza, sądownicza). (przyp. tłum.).

mym czasie, szczęśliwiej niż inni, dokładał starań o odzyskanie prostoty ideału filipińskiego, który pozostaje pierwotnym ideałem oratoryjnym.

Newman nigdy nie uległ skłonności, która przez pewien czas była skłonnością kilku angielskich Oratorianów: odrzucił dostrzeganie w Oratorium francuskim, jako, że było intelektualne, wynaturzonego Oratorium. Urodzony pedagog, jakim był, chociaż (lub ponieważ) nie cierpiący tego wszystkiego, co trąciło pedantycznością lub drobiazgowością, zrozumiał i wspaniale wyraził, że praca kapłana, że praca filipińska była pracą zasadniczo edukacyjną. Otóż, nie kształcą się ludzie dla świata odrzucając poznawanie człowieka i poznawanie świata. Jednakże, nikt bardziej niż on nie ostrzegał przed niebezpieczeństwem pomylenia człowieka światowego (tego, którego nazywa się gentleman) z chrześcijaninem.

Oratorianin, dla niego, jest kapłanem, który stara się rozumieć swoich współczesnych, może lepiej, niż oni znają samych siebie. Ale nie w celu pozostawienia ich w błogiej kontemplacji siebie. Ale po to, aby przekonywująco pobudzać ich do wychodzenia z siebie dla spotkania kogoś, Kogoś bożego. Cor ad cor loquitur, ta dewiza, którą nałoży na swoje insygnia kardynalskie jest dewizą całego jego życia, całego jego kapłaństwa. Uwierzą tylko ci, którzy się miłują, a miłują się tylko ci, którzy się znają. Ale, na ile się ich zna, tym, co najlepszego można dla nich zrobić, jest pobudzenie ich do rozumienia, że zupełnie nie będą mogli poznać siebie bez poznania Tego, którego są żywymi obrazami. Poznanie siebie samych, które się realizuje stając się wdzięcznością dla swojego Stworzyciela, było jego wielkim osobistym doświadczeniem Chrześcijaństwa. I jest to także wielkie doświadczenie, do którego będzie wzywał swoich współczesnych. Jego jedynym pragnieniem w odniesieniu do Oratorium jest to, aby im w tym pomagało.

Dla niego kapłan jest człowiekiem, który wyczytuje w sercu innych to, czego oni sami nie potrafią tam odczytać, który umożliwia im odkrywanie w nim Tego, który jest większy niż samo serce. Czyż to nie było w najwyższym stopniu talentem Filipa? Czy nie było to w ten sposób, że on nie podbijał serc dla siebie, lecz jedynie po to, aby powierzać je świętemu Sercu, i jedynie dlatego, że w nim, tym Sercu, Sercu Jezusa rozpalonym przez Ducha Ojca, oczyścił, odnowił serce cielesne?

Wspólnota oratoryjna przyszłości jest zatem, dla Newmana, prostym ogniskiem miłości kapłańskiej, ale w którym miłość staje się światłem. Szuka się tam światła, którego szukają wszyscy ludzie, a światło, które oświetla każdego człowieka tego świata, w ostatecznej analizie uwidacznia

się tam jako miłość Jezusa Chrystusa. Newman, którego chyba najgłębszym wyrazem jest okrzyk: „Nie zgrzeszyłem przeciwko światłu", dla nas pozostaje świętym promiennej miłości, namiętnej jasności. Nikt bardziej energicznie od niego nie ujawnił tego, co on nazywał „liberalizmem", to znaczy współczesnej woli autonomii stworzenia wobec swojego Stwórcy. Ale nikt głębiej od niego nie sympatyzował z współczesnym wolnym badaniem, na ile jest prawdziwie wolne, dąży ono, czy o tym wie lub nie, do prawdy, która nie jest czymś, lecz Kimś.

Myślał, że zatem Oratorium powinno realizować w Kościele to, co jako anglikanin, życzył sobie, aby oksfordzcy koledzy realizowali. Z jednej strony życzliwe zainteresowanie, bez zachwytów, ale także bez nieusprawiedliwionych podejrzliwości, w stosunku do wszystkich nowoczesnych ruchów myślowych, współczesnego ducha. Z drugiej strony, ustawicznie odnawiana, ustawicznie pogłębiana medytacja nad najgłębszymi, najbardziej stałymi skarbami Objawienia: Pismo Święte, Patrystyka, życie liturgiczne rozumiane jako życie mistyczne nie tej lub innej jednostki, lecz całego Ciała Mistycznego. Powołaniem wspólnoty oratoryjnej, dzisiaj jak zawsze i bardziej niż kiedykolwiek, byłoby służenie jako ogniwo, przede wszystkim w sobie samym, aby potem czynić to w świecie, między duchem dzisiejszego świata, z jego problemami, a duszą Kościoła takiego jak zawsze, który już teraz nie żyje gotowymi rozwiązaniami lecz wielkim misterium Jezusa Chrystusa, „tego samego wczoraj, dziś i jutro".

Czy należy sądzić, że chodzi o formułę zbytnio „high brow", która pachnie starym fellow z Orielu, jak ta Oratorium berulliańskiego pachniała starym doktorem z Sorbony? Tutaj niewłaściwie rozumie się znaczenie słów. To, że Oratorium powinno i chce być zawsze otwartym dla intelektualnego poszukiwania, dla którego Duch Święty dociera do umysłu ludzkiego, nikt nie rozumiał tego lepiej niż Newman, jest istotną częścią jego powołania. Rzeczywiście, istotną częścią powołania kapłańskiego jest głoszenie Słowa Bożego ludziom tego świata; ale nie jest to możliwe bez rozumienia przedtem, jeszcze raz, ludzi i świata, do których się zwraca. Jednakże, ideał oratoryjny stosuje się do wielu innych płaszczyzn oprócz tej, i nie na tej, św. Filip przede wszystkim go realizował. Oratorianie znajdują swoje miejsce tam, gdziekolwiek kapłani znajdują swoje, to znaczy wszędzie, bez ograniczeń. Wszędzie, ich powołanie jest takie samo, kształtować wspólnoty możliwie najbardziej nadające się dla wspólnoty ludzkiej, wkładając w nie równocześnie zalążek tej czysto nadprzyrodzonej wspólnoty,

której kapłaństwo jest sercem, której Kościół jest ciałem, której Chrystus jest wszystkim. Oratorianin jest kapłanem, który, wszędzie, pragnie, aby nic co ludzkie nie było mu bardziej obce aniżeli Chrystusowi, ale który, wszędzie, nie chce niczego poznawać bardziej według ciała, ale wszystko według Ducha. Jest kapłanem, który z tego powodu, wszędzie, nie chce już żyć i działać jako odizolowany, lecz jako członek jakiegoś kapłańskiego bractwa, będącego promieniującym ogniskiem miłości Chrystusa.

I właśnie to dostrzegają, we Francji, mniej więcej w tym okresie, w którym Newman zakłada Oratorium angielskie, dwaj kapłani, którzy usiłują odnowić Oratorium berulliańskie. Gratry[18], jałmużnik Wyższej Szkoły Pedagogicznej, pragnął kongregacji, która byłaby „nowoczesnym laboratorium Apologetyki". Ale nie czułby się na siłach zrealizowania jej, gdyby inny kapłan, Pététot, mający mniejsze możliwości intelektualne, ale który wydawał mu się kapłanem czystym, kapłanem parafialnym, „proboszczem", jak się u nas mówi, nie zabrał się do dzieła razem z nim. Ich osobliwy zespół chyba nie był bardziej harmonijny od zespołu Newmana i Fabera, lecz także oni niejasno czuli, że nie byłoby Oratorium, gdyby nie było, dla życia razem, kapłanów możliwie prostych i kapłanów możliwie najbardziej wykształconych. O tym, że ich intuicja była słuszna, dowodzi przeżycie i wzrastanie małej wspólnoty, którą zdołali założyć, wbrew zmiennym kolejom losu, jakich ona musiała doświadczać już od ponad wieku.

Ograbieni przez prawa przeciw zakonnikom, chociaż nie byli zakonnikami, Oratorianie, w XX wieku, musieli opuścić Francję po tym, gdy zaledwie zdołali się zreformować. Nowicjat i dom studiów we Fryburgu zachowały żywą tradycję z przebiegu tych trudnych lat. Ich siły rozpraszane między Fakultetem, seminariami, szkołami i parafiami, oratorianie, ustawicznie gromadzeni przez ducha, potrafili udowadniać, że nie na próżno nie chcieli rozłączać się z klerem diecezjalnym. Łatwość, z jaką wmieszali się w jego szeregi świadczy o tym, jak zawsze byli go bliscy. Ale, zaledwie skończyła się wojna 1914 roku, radość, z jaką się zebrali i od zera podjęli przerwane dzieło, tak samo świadczy o ich niewzruszonej wierze w ideał...

A dzisiaj?

Oratorium, powiedziano nie bez złośliwości, jest wielką nazwą i wielką przeszłością. My wierzymy, że może być także wielką przyszłością. Dzisiaj

[18] Gratry, Auguste Joseph Alphonse (1805-72), oratorianin, francuski filozof i teolog, profesor Sorbony, członek Akademii Francuskiej; przeciwnik heglizmu; kwestionował dogmat o nieomylności papieża (przyp. tłum.).

można zastosować, nie uchybiając miłości, to co św. Paweł mówił do Koryntian: „Według osądu ludzkiego niewielu wśród was jest mądrych, niewielu wpływowych i niewielu szlachetnie urodzonych...”. Ale, wierne swoim początkom, nie waha się ono wierzyć, że jego słabość może być takim samym sposobem jak inny, aby dokonała się moc Boża. Czyż obecnie nasza epoka nie jest bardziej nadająca się do tego, aby rozkwitał duch św. Filipa, Bérulle'a, Newmana?

Kler francuski dzisiaj szuka życia wspólnotowego, które równocześnie byłoby wspólnotą posłannictwa kapłańskiego, a które jednakże nie oderwie go od społeczności ludzkiej, ale pomoże poświęcić się jej, nie gubiąc się w niej. Czy może nie jest to określeniem Oratorium, jakim powinno ono być?

Kler francuski spodziewa się odnaleźć większą apostolską prostotę: życie pozbawione pewnego kościelnego funkcjonaryzmu, przestarzałej klerykalnej wystawności, spróchniałych socjologicznych zestawień. Jakiż jest lepszy przykład od Filipa, kapłana najbardziej ludzkiego, najbardziej naturalnego, najbardziej bezpośrednio obecnego dla swoich współczesnych? Ale jakże wydaje się wielka, a niekiedy także tragiczna, potrzeba nie mylenia tego wyzwolenia z zeświecczeniem, nie brania za otwarcie na świat zwykłej porażki wobec ducha świata! Jakiż przykład, bardziej niż przykład Filipa, może dzisiejszego kapłana nauczyć czerpania z bycia twarzą w twarz z Bogiem, jedynej siły zdolnej do zachowania go integralnym, bez zginania się na wszystkie strony w podmuchach tego świata?

Kler francuski, słusznie, stara się odnaleźć duchowość, która mogła by być jego duchowością, kapłanów wmieszanych w mnóstwo ludzi, a która równocześnie byłaby duchowością Kościoła od zawsze. Jaka szkoła pod tym względem lepsza niż szkoła Bérulle'a? Czy nie proponował on duchowości, która dąży do doskonałości nie takiej jak ta zakonników, ale tylko do doskonałości rzeczywiście kapłańskiej? I czy nie uczył odkrywania jej w wielkich źródłach Kościoła? We wspaniałym obrazie syntezy tomistycznej wzmocnionej przez źródła: w patrystyce, w Piśmie Świętym, w wielkiej tradycji liturgicznej a przede wszystkim w aktywnie ożywionym życiu liturgicznym, przedstawia nam on już nie duchowość surową, ale główną zasadę wszelkich duchowych odnowień prawdziwie chrześcijańskich, ponieważ prawdziwie kościelnych. Uczy nas iść prosto do istoty tradycji, idąc prosto do Jezusa Chrystusa, który przekazuje nam swoje tajemnice, ponownie odkryte w Biblii, ponownie przemyślane z Ojcami, ponownie przeżyte z Kościołem modlącym się i składającym ofiarę.

Ale, równocześnie, kler francuski, w uniesieniu gorliwości apostolskiej, która dzisiaj ponownie prowadzi go do tych wielkich źródeł, nie dowierza żadnej sztucznej odnowie przeszłości, która nie może odrodzić się taką, jaką była. Czyż Newman nie chce uczyć nas, że o tyle bardziej należymy do naszych czasów, o ile bardziej będziemy prawdziwie dziećmi Kościoła Ojców? On jest po to, aby uczyć nas swoim tak bardzo bliskim przykładem, jak kapłan mógłby i powinien by rozumieć do głębi swoich współczesnych, za nic nie wchodzić w układy z ich błędami, ani nie dawać zwyciężać siebie przez ich słabości. Wszystko rozumieć, sympatyzować z wszystkim tym, co pobudza naszą sympatię, ale wszystko rozpatrywać bez fałszywych entuzjazmów ani podjętych decyzji lub uprzedzeń, i w końcu zatrzymywać to, co jest dobre: zwłaszcza wszystko rozumieć, nie dla wszystkiego mieć uznanie, ale we wszystkim pomagać, wszystko leczyć, poprawiać wszystko to, co powinno być poprawione, głosząc Ewangelię taką jak zawsze każdemu człowiekowi: kogo innego aniżeli Newmana spośród współczesnych możemy pytać o więcej jasności i o więcej odwagi, o więcej wiary i miłości, aby być przekonującymi w tej misji, która jest *właśnie* misją dzisiejszych kapłanów?

Taki, jak zawsze, jest ideał Oratorium także przy końcu XX wieku.

Bóg wie, jaka będzie tego wszystkiego przyszłość. Rozumienie jego ideału u tych, którzy przyjdą do Oratorium, jest jedynym kryterium realizacji, którego ono im udzieli lub nie udzieli. Oby było wolą Bożą, żeby oni z tego ideału zaczerpnęli to przekonanie, iż wielkie imię i wielka przeszłość upoważniają do spodziewania się tego!

...A poza tym, jeżeli nie będą tego robili w Oratorium, lecz gdzie indziej, jakie to ma znaczenie? Oratorium lub najrozmaitsze Oratoria zawsze były tylko usiłowaniami zachowywania lub przekazywania ducha Świętego Filipa. I to jest jedyna rzecz, która ma znaczenie...

Tłumaczenie ks. Mieczysław Stebart COr